16 stron

Numer świąteczny

Cena 30 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

W numerze:
J. Chałasiński
K. I. Gałczyński
K. Górski
J. Krzyżanowski
T. Lehr Spławiński
K. Makuszyński
J. Parandowski
K. Pruszyński
J. Przyboś
J. Zaruba

Rok IV

Warszawa, dnia 6 – 13 kwietnia 1947 r.

Nr 14 – 15 (123 – 124)

Z TEKI KARYKATUR ZBIGNIEWA PRONASZKI

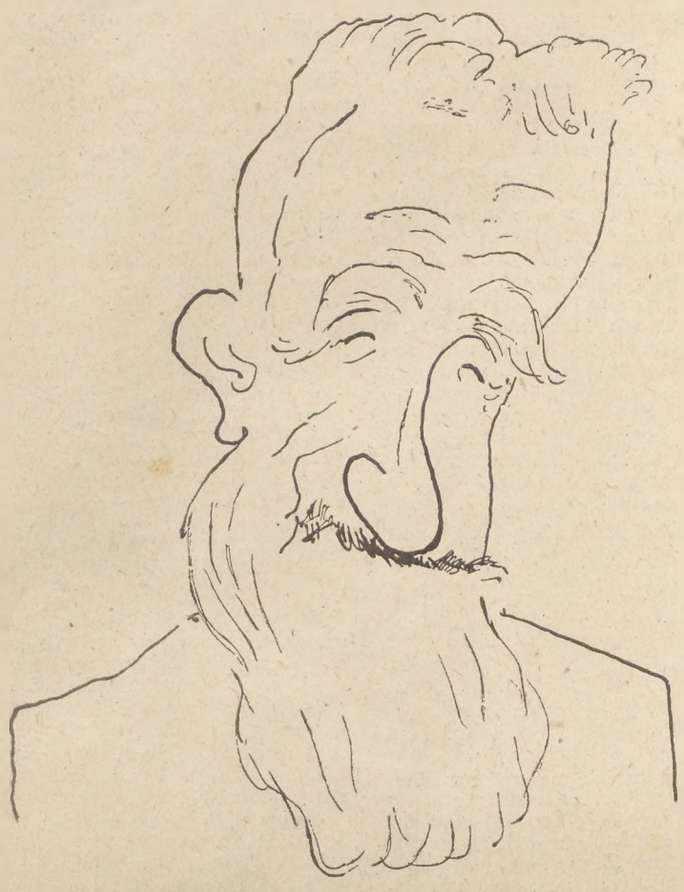

G. B. SHAW

CHARLIE CHAPLIN

ANTONI SŁONIMSKI

JAN PARANDOWSKI

KONGRES P. E. N. CLUBÓW W SZTOKHOLMIE

Kiedy w jesieni 1945 roku otrzymałem z prezydium Federacji P. E. N. list z zapytaniem, gdzie, według mego zdania, powinien się odbyć pierwszy powojenny kongres P. E. N. Clubów, odpowiedziałem bez wahania: w Sztokholmie. Mieliśmy się tu bowiem zjechać 3 września 1939 r. i nie mogliśmy teraz postąpić inaczej, jak natychmiast nawiązać ciągłość, przerwaną przez dziką i brutalną przemoc. Odpowiadało to również moim marzeniom. Szwecja pociągała mnie od dawna, od wczesnej młodości, widziana poprzez książki Selmy Lagerlöf, z którą w ostatnich latach jej życia wymieniłem szereg listów — jeden z nich mówił właśnie o mojej bliskiej wizycie.

Dziś, w zniszczonej i poćwiartowanej Europie, komunikacja między Polską a Szwecją należy do najlepszych, jakie istnieją. Ma się do wyboru samolot albo pociąg bezpośredni Warszawa — Sztokholm. Jechałem pociągiem, który swą drogę przez Bałtyk odbywa w kadłubie promu. Po latach izolacji odczułem znów rozkoszny, upajający powiew swobodnego morza. Lecz w rychle czekały mnie większe niespodzianki. Od Trelleborga zaczął się rozwijać wiosenny krajobraz Szwecji. Było to jak opowieść o utraconej szczęśliwości. W słońcu leżały zielone równiny, patrzące w niebo błękitnymi oczami jezior, wiły się rzeki i strumienie, lasy ciemniały w oddali, niekiedy przybliżały się do toru, połyskując listkami brzóz. Nieobjęty spokój ozłacał pola, drogi i domy.

Domy były ze wszystkiego najcudowniejsze. Płonęły purpurą swych ścian, na których biało obramione okna z jasnymi firankami miały w sobie coś z łagodnego westchnienia: krył się za nimi ład schludnego dobrobytu i trafnego smaku, z jakim urządzone są wnętrza szwedzkie. Tu i ówdzie pod kolumienkami sieni widziało się stół, nakryty obrusem, po środku naczynie z kwiatami, talerze i szklanki. Niewidzialne ręce przygotowały to wszystko na czas posiłku, który ma swoją porę pewną i nieodmienną.

Wśród takich widoków biegła nasza droga, droga ludzi z kraju ruin i zgliszcz, z kraju, w którym cmentarze opuściły swe murowane zagrody i dalekimi zagonami rozrzuciły swe krzyże po wszystkich polach, ogrodach, parkach i ulicach miast. Historia, jak stara dobra nauczycielka, przy tej barwnej i wesołej maple odbywała z nami lekcję, opowiadając dzieje kraju, od dwóch wieków nietkniętego wojną. Nasze utrudzone dusze zamieniały tę prawdziwą opowieść w rozmarzającą bajkę. Tak wjechaliśmy do Sztokholmu.

Nie znając go, wyobrażałem sobie jedno z tych miast północnych, gdzie szarość nieba odbija się w szarości murów, gdzie życie, które klimat spędza z ulicy, szuka wygody i przyjemności w użyciu. Czekała mnie niespodzianka. Sztokholm ma jakiś odcień południowy w swej barwności. Fasady domów w różnych kolorach, czerwone markizy nad oknami, olbrzymie parasole jak muchomory rozpięte nad stolikami kawiarń tryumfowały nad surowością niektórych gmachów, potężnych jak starożytne twierdze. Bo i to zwraca uwagę od pierwszego wejrzenia: rzetelność architektury. Sztokholm jest budowany solidnie, rozsądnie, z umiarem. Kilka pięknych budowli musi zatrzymać każdego cudzoziemca, zwłaszcza zamek królewski, tak szlachetny w swej prostocie. Architektura Sztokholmu ma pewien akcent monumentalny, nawet w ustronnych ulicach, dzięki czemu miasto wydaje się większe niż jest w istocie. Z rozgałęzionymi i dalekimi przedmieściami, może liczy dziś pół miliona, lecz energią swego życia, okazałością ulic i placów, pięknymi perspektywami zaćmiewa niejedną z ludniejszych stolic europejskich.

Plan miasta, który dostaje się za darmo w wielu restauracjach, wygląda malowniczo i powabnie jak pejzaż. I takie jest samo miasto wśród zieleni swych parków, skwerów, ukwiecone i jasne, nad świetlistą wodą kanałów i odnóg morskich — Wenecja północy. Gdy w pierwsze rano, nazajutrz po przyjeździe, otworzyłem w swoim hotelu okno wysokie jak drzwi, ulica Strandvägen, na którą spojrzałem, przypomniała mi neapolitańską via Parthenope. I odtąd w stromych ulicach, pnących się po wysokich schodach i wiążących się ze sobą mostami, w zaułkach starego miasta, w zaśniedziałej miedzi kopuł wciąż nastręczały się wspomnienia, pachnące południowymi imionami. A śliczny plac przed Konserthuset przezwałem Campo di Fiori. Tam właśnie był gmach, w którym odbywały się obrady naszego kongresu.

Konserthuset (dom koncertowy) jest oswojony z uroczystościami literackimi. Tu bowiem król, w otoczeniu rodziny i dworu, wręcza nagrody Nobla. Nasz kongres był mniej ceremonialny, lecz w dniu jego otwarcia siedział wśród nas następca tronu z żoną. Drugi zaś, młodszy syn króla, książę Wilhelm, zasiadał na estradzie, przy stole prezydialnym, jako prezes szwedzkiego P. E. N. Clubu. Nie jest on bynajmniej jakimś dostojnym dyletantem, któremu oddaje się honorowe miejsce, nie troszcząc się o jego twórczość. Bierze on czynny udział w życiu literackim, a każdy z uczestników kongresu otrzymał jego książkę o Szwecji w wydaniu angielskim, złożonym z wyjątków paru różnych publikacji w języku szwedzkim. Dyskretny wdzięk wspomnień i opisów ziemi rodzinnej, z których składa się ta książka, dał nam pojęcie o powściągliwej i pełnej umiaru jego sztuce pisarskiej. I każdy również zwrócił uwagę na ostatni rozdział pisany w r. 1941, gdzie czytało się te słowa:

„Nasz naród wyznaje zasadę: że jednostka ma prawo wybrać sobie tę formę życia, jaka jej najbardziej odpowiada — że powinna mieć wolność myśli, słowa i działania w zgodzie z przekonaniami własnymi, a nie narzucanymi przez kogokolwiek — że godność ludzka jest wyższa ponad instynkt stada i że rząd istnieje dla ludu, a nie odwrotnie — że w każdej okoliczności prawo idzie przed siłą i gwałtem — że ludzie wolni są odpowiedzialni za własne czyny, co znaczy w istocie, że oni sami, z własnej wolnej woli, w interesie solidarności i dobra publicznego, stosują się do praw i zarządzeń, które wynikły z pragnienia, by zapewnić wspólnemu życiu możliwie największą stałość i rozkwit".

Czytając te słowa, trudno było nie pomyśleć, że pisał je członek dynastii, której założyciel był przy układaniu Praw Człowieka i Obywatela, a ten i ów dodawał, że nie często zdarzało się nam odbywać kongresy w krajach, gdzie przedstawiciele rządu przemawiają takim językiem i to nie w przygotowanych na powitanie oracjach, ale w tekście, pisanym dla własnego narodu. Było to pisane w tragicznym roku 1941 i było odpowiedzią małego dzielnego narodu na szalejącą wówczas propagandę niemiecką.

Książę Wilhelm z metryki ma ponad sześćdziesiątkę (syn sędziwego Gustawa V nie może być pachołęciem), ale z żywości i tężyzny fizycznej jest znacznie młodszy. I w czasie kongresu i znacznie później spotykałem go wiele razy w różnych okolicznościach. Zawsze towarzyszyła mu ta sama prostota, łatwość w nawiązywaniu kontaktu z ludźmi, i nie było to bankietowym dowcipem, gdy nasz przyjaciel, Claude Aveline, delegat francuski, zaczął swe przemówienie zwrotem: cher confrère pod adresem Jego Królewskiej Wysokości. Bez wątpienia osobistym zaletom ks. Wilhelma należy przypisać powodzenie kongresu, który był jednym z najświetniejszych w osiemnastce naszych zjazdów międzynarodowych.

fot. R. Burzyński

Jan Parandowski

Sztokholm uczynił wszystko, by nas ugościć jak najlepiej, na jedno tylko nie było go stać, by wszystkich pomieścić w tym samym hotelu — ideał zresztą rzadko realizowany. Sztokholm ma bardzo wiele wspaniałych hoteli i pensjonatów, ale panuje w nich chroniczny natłok. Wciąż odbywają się jakieś zjazdy, wielorakie interesy ściągają ludzi ze wszystkich stron Szwecji do stolicy, która jest od dawna przeludniona i zbyt powoli się rozbudowuje. Z tych powodów uczestnicy kongresu zostali rozmieszczeni w kilkunastu hotelach (najlepszych), wskutek czego nie mogli się widywać tak często i łatwo, jakby tego pragnęli. To bowiem jest największym urokiem i sensem naszych kongresów — osobiste spotkania, rozmowy, znajomości i przyjaźnie. W tym roku było to szczególnie wzruszające. Odnajdowaliśmy się po kataklizmie, który pochłonął wielu wiernych i dobrych towarzyszy. Na próżno wyglądano asyryjskiej brody Benjamina Crémieux, którego dotąd nigdy nie brakło i który był duszą każdego kongresu, tak jak był żywą historią naszej Federacji. Niemcy go zabili. Te słowa odzywały się przy szeregu nazwisk, ja — niestety — częściej od innych musiałem je powtarzać, gdy pytano o polskich pisarzy.

Nie przyjechał również Wells, już wtedy bliski śmierci, nie zjawił się Jules Romains, który podczas wojny ustąpił ze stanowiska prezesa Federacji P. E. N. Na jego miejsce nie wybrano nikogo, lecz powierzono te funkcje Międzynarodowemu Komitetowi Prezydialnemu, który na kongresie został uzupełniony tak, że obecnie składa się z następujących pisarzy: E. M. Forster, Hu Shih, François Mauriac, Denis Saurat, Ignazio Silone, Thornton Wilder i Hermon Ould, sekretarz generalny. Ten ostatni jest jakby symbolem ciągłości i tradycji P. E. N. Clubów. Pełniąc swe funkcje od początku ich istnienia, poświęcił im wszystkie swoje myśli i ambicje. Zawsze spokojny, opanowany, dobroduszny, swym niezawodnym taktem i obiektywizmem przezwycięża wszelkie zawiłości, w swoich rękach wiąże nici 50 centrów, rozproszonych po całym globie. Tak jak mnie wzruszył obszerną i serdeczną depeszą, którą otrzymałem od niego dosłownie nazajutrz po zakończeniu wojny, tak z najżywszą radością powitałem go w Sztokholmie.

Podobnych spotkań było wiele, lecz jeszcze więcej widziało się nowych ludzi z dwudziestu kilku krajów europejskich i zamorskich. Mieliśmy u siebie przedstawicieli tak odległych ziem, jak Brazylia, Chiny, Indie, Afryka Południowa, Stany Zjednoczone, Venezuela, lecz tylko ze Stanów i Afryki Południowej rzeczywiście przyjechali delegaci, inne dalekie centra wysłały zaś tych swoich członków, którzy aktualnie znajdowali się w Europie, głównie w Paryżu i w Londynie. Nic to nie umniejszało ich znaczenia, gdyż byli to ludzie wybitni i czynni członkowie P. E. N. Najliczniejsze grupy były: belgijska, francuska, angielska i trzech krajów skandynawskich. Emigranci austriaccy i niemieccy byli reprezentowani przez literatów, zamieszkałych w samym Sztokholmie.

P. E. N. Club niemiecki przestał istnieć w r. 1933. Jeszcze na kongres w Dubrowniku przyjechała delegacja „odnowionego" czyli opanowanego przez hitlerowców P. E. N. Clubu, ale skorzystali oni z zaproszenia, wysłanego wcześniej i nie odwołanego, bo prezydium chciało, by się usprawiedliwili ze swych działań, przeciwnych zasadom P. E. N. Lecz od pierwszych słów nawet niedowierzający dotychczas (był wśród nich Wells) przekonali się, że nasza instytucja nie może mieć z nimi nic wspólnego. Tak więc centrum niemieckie zostało skasowane, po „anszlusie" ten sam los spotkał centrum austriackie, a na ich miejsce emigranci założyli swoje grupy narodowe w Londynie.

Polskim delegatem był Wacław Rogowicz, długoletni członek naszego P. E. N. Clubu, bawiący już w Szwecji od kilku tygodni, i ja, zaproszony w charakterze gościa honorowego. Jest bowiem zwyczajem naszych kongresów, że, poza delegacjami, zaprasza centrum, które kongres urządza, pewną liczbę pisarzy jako gości honorowych. Bywali nimi w różnych okresach Wells, Duhamel, Maritain, James Joyce, Guglielmo Ferrero, Johan Bojer, Tomasz i Henryk Mannowie etc.

Estrada, na której zasiadło prezydium kongresu i gdzie była mównica, wyglądała niezwykle w dniu otwarcia. Rampa udekorowana wspaniałymi kwiatami, a w jednym rogu orkiestra, która wykonała dość obszerny program muzyczny, zakończony śliczną „Wiosną" Griega. Były stosowne do okoliczności przemówienia powitalne, z nich najlepsze Stefana Selandra, poety i essayisty szwedzkiego, będące pełnym wdzięku szkicem o Szwecji, jej krajobrazie, ludziach i historii. Wystąpił również delegat czeski, Frantisek Langer, który, tłumacząc się złą wymową, oddał swój tekst angielski do odczytania Ouldowi. Langer był w mundurze generała, rzecz bez precedensu na naszych zjazdach. Ktoś nachylił się do mnie i szepnął: „Gdyby się pan tak ubrał, podniesiono by krzyk, że Polska zagraża pokojowi Europy".

Od razu zaznaczyła się stanowcza przewaga języka angielskiego. Wprawdzie ks. Wilhelm podzielił swe przemówienie na dwie części, angielską i francuską, nie zaniedbując w tej drugiej wspomnieć Bernadotta i francuskich początków dynastii, ale nikt z gospodarzy ani z gości — poza mną — nie posługiwał się tym językiem. Francuzi i Belgowie czuli się osamotnieni. Nawet Denis Saurat, członek Komitetu Prezydialnego, sam Francuz, profesor literatury francuskiej w uniwersytecie londyńskim, mówił po angielsku, co oburzyło jego rodaków. To stałe cofanie się francuszczyzny w stosunkach międzynarodowych jest smutnym następstwem klęsk Francji.

W pierwszym dniu obrad — nazajutrz po otwarciu kongresu — zaraz na wstępie delegat amerykański, dr H. G. Leach, wniósł rezolucję, potwierdzającą ideały P. E. N. W ostatecznej redakcji brzmiała ona: "I. W tym okresie odbudowy świata P. E. N. Cluby stwierdzają swą wierność zasadom niezakłóconej wymiany myśli między narodami, i w tym celu wypowiadają się przeciw samowoli cenzury w czasie pokoju i za wolnością prasy. W trosce jednak o poziom moralny i przyzwoitość, sami zobowiązujemy się przeciwstawiać złu, które przynoszą kłamliwe publikacje, rozmyślne fałszerstwa i przekręcanie faktów dla celów politycznych lub osobistych.— II. Międzynarodowy P. E. N. postanawia, by każdy z osobna i wszyscy razem użyli tej potęgi, jaką jest słowo pisane, dla zażegnania rasowych, klasowych i narodowych nienawiści i dla walki o ideały jednej ludzkości, żyjącej w pokoju na tym globie, będącym naszą wspólną ojczyzną".

Trzeci dzień obrad przyniósł wniosek holenderski o czarnej liście kolaboracjonistów. Rozwinęła się długa i namiętna dyskusja. Ostateczne sformułowanie było: „Centrum holenderskie uważa za niezbędną wymianę między poszczególnymi centrami P. E. N. — list zawierających imiona pisarzy, którzy zostali wy-

kluczeni lub uznani za niepożądanych w ich własnym centrum". Szło o to, by ci pisarze nie mogli wchodzić w stosunki z innymi centrami P. E. N. Anglicy mocno się temu sprzeciwiali, dowodząc, że nie podobna znikąd przyjmować werdyktu bez zaznajomienia się z przewodem sądowym. Przypuszczali nawet, że tego rodzaju samowolna procedura może nastręczyć w Anglii kłopoty prawne. Kongres nie wziął pod uwagę tych skrupułów i przeważającą większością uchwalił wniosek, niewątpliwie słuszny.

Następna z kolei, rezolucja katalońska, skierowana przeciw rządowi gen. Franco, jako ostatniemu w Europie regime'owi faszystowskiemu, głosiła, że w Hiszpanii zostały obalone podstawowe swobody, zwłaszcza podległy prześladowaniu języki: kataloński, baskijski i galicyjski, czyli te, którymi mówi 40% ludności. Zakazano w tych językach publikować książki, czasopisma i dzienniki, wystawiać sztuki, wypędzono je ze szkół i uniwersytetów, zniesiono instytucje naukowe tych grup narodowościowych, aby zniszczyć ich ducha i cywilizację. „Kongres — brzmiała rezolucja — potępia te metody barbarzyńskie, przesyła wyrazy sympatii demokratycznym pisarzom narodów hiszpańskich, zarówno tym, co są na wygnaniu, jak i tym, co przebywają pod rządami gen. Franco, zachęca ich do dalszej walki o wolność i prawa człowieka, i wyraża nadzieję, że niedaleki jest dzień, kiedy nasi koledzy katalońscy, baskijscy i galicyjscy, wyzwoleni spod ucisku, staną razem z nami do współpracy około wspólnego dobra ludzkości".

Emigracyjna grupa niemiecka, która ma siedzibę w Londynie, jako prawa spadkobierczyni rozwiązanego P. E. N. Clubu niemieckiego, skierowała do kongresu jedno pytanie i jedną prośbę. Pytanie: Jakie są możliwości wskrzeszenia P.E.N. Clubu w samych Niemczech. Było ono uprzednio dyskutowane na zamkniętych posiedzeniach Komitetu Wykonawczego, gdzie przyjęto moją opinię, że sprawa jest jeszcze przedwczesna, zbyt mało bowiem zaufania dają nastroje intelektualistów niemieckich, którzy tak czynny udział wzięli w ruchu hitlerowskim. Tę samą odpowiedź dał kongres. Prośba zaś grupy niemieckiej brzmiała: „Prosimy P. E. N., by w porozumieniu z odpowiednimi władzami ułatwił import do Niemiec literatury demokratycznej zarówno autorów niemieckich emigracyjnych jak i obcych." Zaakceptowano ją jednomyślnie.

Komitet Wykonawczy zaproponował pewną zmianę w swojej własnej strukturze. Członkami stałymi będą, jak dotychczas, prezes międzynarodowy i międzynarodowy sekretarz, delegaci Anglii, Francji i U. S. A., przedstawiciele centrów, urządzających poprzedni, obecny i przyszły kongres, wreszcie — co jest właśnie nowością — każde centrum, jeśli tego pragnie, może wysłać swego przedstawiciela na posiedzenie Komitetu Wykonawczego. Usuwa to wiele drażliwości z lat ubiegłych.

Trzeci dzień obrad zakończono rezolucją, zawierającą zaproszenie pisarzy sowieckich do wzięcia udziału w międzynarodowej organizacji P. E. N. i do założenia na terenie Rosji osobnego centrum.

Czwarty i ostatni dzień obrad, zagajony doskonałym szkicem fińskiego humanisty, prof. Yrjo Hirn, natemat „Humanizm w literaturze", zajął się ustaleniem tekstu niektórych rezolucji z poprzednich dni, z nowych rzeczy Pierre Bourgeois, delegat belgijski, podał następujący wniosek: „Pisarze, którzy zawodowo posługują się trzema rodzajami wyrażania myśli drukiem, słowem żywym i filmem, żądają równej swobody i równego poszanowania. Godną bowiem pożałowania rzeczą jest, że kontrakty narzucane autorom scenariuszów filmowych dopuszczają wszelkie zmiany w ich utworach, pozostawiając im tylko prawo ich niepodpisywania, gdy je uznają za zniekształcone. Równie godny pożałowania jest fakt, że umowy międzynarodowe nie liczą się z rozwojem techniki radiowej, nie rozbudowując odpowiednio stacyj emisyjnych, a co gorsza, niektóre państwa demokratyczne trzymają się w stosunku do radia systemu wyłączności, monopolu i cenzury bezpośredniej lub pośredniej, co nie pozwala radiu wypełniać jego obowiązków w służbie idei. Dyskusja wykazała, że ta rzecz wymaga dokładniejszego zbadania, postanowiono więc przekazać ją Komitetowi Wykonawczemu z zaleceniem, by ją przedstawił na przyszłym kongresie.

Znaczne wrażenie sprawiło ukazanie się na mównicy delegata żydowskiego, Józefa Leftwicha, a gdy zaczął wspominać niedawne dzieje zniszczenia kilku milionów Żydów w Europie, sala powstała, by oddać hołd tym ofiarom barbarzyńskiego szaleństwa. W imieniu obydwu centrów, hebrajskiego i yiddish, wniósł on rezolucję potępiającą te masowe mordy i wzywającą do obrony świata przed nowym kataklizmem. „XVIII Kongres P. E. N. — brzmiało zakończenie — zwraca uwagę, że ideologia nazistowska i faszystowska bynajmniej nie wygasła bez śladu i że może się odrodzić, niosąc ze sobą nowe niebezpieczeństwo. Dlatego też, walcząc o wolność słowa, nie możemy jej udzielać tym, którzy ją obrócą przeciw samej wolności i dla rozpętania nowej wojny. Nie może być członkiem P.E.N. Clubu ten, kto jest zwolennikiem idei, wrogich wolności świata."

Leftwich odczytał również referat znanej poetki żydowskiej, Racheli Korn, która przyjechała z Polski; nie mogąc się posługiwać ani językiem angielskim, ani francuskim, nie miała możności przemawiać sama.

Nastąpiły zaproszenia na przyszłe kongresy, najpierw szwajcarskie na kongres w roku bieżącym, dalej amerykańskie na rok 1948, do New Yorku, wreszcie ustalono dawniej już proponowany kongres w Rzymie na rok 1949.

Na kongresie, o czym dotychczas nie wspomniałem, bo teraz jest na to właściwe miejsce, był jeszcze z Polaków — Antoni Słonimski. Członek zarządu polskiego P.E.N. Clubu, który w roku 1937 był naszym delegatem na kongresie w Paryżu, obecnie należał tylko przez pół do naszej delegacji, mając sobie powierzone przedstawicielstwo UNESCO, gdzie jest szefem sekcji literackiej. Oczywiście, z tytułu swojego stanowiska w polskim P.E.N. Clubie również go reprezentował, biorąc czynny udział we wszystkich obradach. Jego doskonała znajomość środowiska angielskiego, z którym zżył się w czasie wojny i gdzie ma rozległe stosunki, ułatwiała porozumienie w wielu sprawach. Przede wszystkim jednak zaznajomił on kongres z planami i pracami UNESCO czyli United Nations Educational Scientific and Cultural Organization, nowej instytucji, powstałej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, a zajmującej się sprawami wychowania, nauki i kultury w życiu międzynarodowym. Po wysłuchaniu jego uwag i po dyskusji powzięto jednomyślnie następującą uchwałę: „UNESCO jest nowym organem międzynarodowym, który ma działać w interesie wolności myśli, wzajemnego porozumienia i wzajemnej współpracy narodów, co było zawsze ideałem P.E.N. Clubów, kongres więc postanawia udzielić mu całkowitego poparcia we wszystkich objawach jego działalności, zgadzających się z celami naszego stowarzyszenia."

Jest oczywiście rzeczą jak najbardziej pożądaną, aby UNESCO, ze swej strony, starało się zacieśnić współpracę z P.E.N., którego wieloletnie doświadczenie i rozległe stosunki w środowiskach intelektualnych całego świata mogą się znacznie przyczynić do żywotności tej instytucji.

Irlandzkie centrum dotknęło starej bolączki tzw. małych narodów czyli tych, których język jest ograniczony do terytorium narodowego, i wzywało P.E.N. do znalezienia środków dla rozpowszechnienia w świecie literatury tych narodów. Jest to również jedno z zadań do podjęcia przez UNESCO.

W tym ostatnim dniu obrad, zamykającym kongres, wygłosiłem przemówienie, które tu podaję w całości:

„W żadnej epoce nie było tak silnego przekonania, które nas właśnie trawi: że świat wymaga wielkiej przebudowy i naszym jest zadaniem ją podjąć. W tej pracy — każdy to czuje — nie może zabraknąć pisarzy. Ich obowiązki są nawet większe niż czyjekolwiek i są tak różnorodne, jak sama działalność literacka. Kto by się tych obowiązków wyrzekł, wchodziłby w „zdradę klerków", być może gorszą od tej, której akt oskarżenia spisał przed laty Julien Benda. Chciałbym tu zwrócić uwagę kolegów na jeden z tych obowiązków, dotyczący zawodu pracowników słowa.

Faszyzm, we wszystkich swoich odmianach, dokonał niebywałego spustoszenia, nie tylko w krajach w których panował, ale i w całej Europie. Co dzień bowiem, przez długie lata, wyrzucano setki ton zadrukowanego papieru ze słowem zemsty, nienawiści, kłamstwa. Kłamstwo stało się tak zuchwałe i tak nikczemne, że miało się wrażenie, jakby przemawiało już nie do społeczności ludzkiej, ale do roju owadów, pozbawionych sądu i pamięci. W tym diabelskim tyglu wypaczono, wynaturzono język ludzki. Rzeczom odejmowano ich nazwy, a nazwom treść. Mnóstwo niedorzecznych i przewrotnych pojęć weszło do idei, słów i czynów ludzi zajmujących się polityką, do książek uczonych i literatów, do prasy i mowy potocznej.

Te pojęcia były niesłychanie zaraźliwe, ulegało im wielu takich, co bynajmniej nie wyznawali poglądów faszystowskich. Jedni przyjmowali je tak, jak się przyjmuje obiegowe komunały — z lenistwa, drudzy nie umieli się ich ustrzec z braku kontroli nad sobą. Iluż autorów poddało się ich wpływom przez nieszczęsne pragnienie, by się wyróżnić! Szło się na lep filozofii dynamizmu, brało się za energię, za siłę, za dobroczynną i twórczą wolę to, co w istocie było pochwałą brutalności. Z dnia na dzień świat stawał się coraz bardziej barbarzyński i razem z prawdziwymi barbarzyńcami pracowali nad tym na wpół nieświadomie lub zgoła bezwiednie ludzie niewątpliwej kultury.

Jak we wszystkich okresach upadku, styl nabrzmiał przesadą i ta skłonność do przesady stała się tak zaraźliwa, że nie umieli się jej oprzeć nieraz najuczciwsi pisarze. Trudno bowiem oddychać zatrutym powietrzem. A ponad wszystkim szalała orgia złowrogiej bezmyślności. Zbyteczna dziś przypominać, dokąd zaprowadziły ludzkość słowa opętańców. Straszliwe i odrażające fakty są wyryte w pamięci świata, a proces norymberski utrwalił je dla przyszłych historyków tej nieprawdopodobnej dekadencji naszego rodzaju.

Ludzkość znalazła się nad brzegiem otchłani. Miliony osobników, żywionych pojęciami i słowami piekielnymi, zeszły już w tę otchłań i wzywały innych, by pójść za nimi. Ja, który żyłem sześć lat pod okupacją niemiecką, wśród koszmarów nieznanych w historii świata, mam dotąd pełne uszy tego głuchego i okropnego głosu otchłani.

Wychodziły z niej potwory, widzieliśmy je co dzień i oddychały one tym samym, co my powietrzem. Były podobne do istot ludzkich. Często nawet byli wśród nich uczeni w okularach, bywalcy bibliotek i laboratoriów. To oni właśnie dokonywali wiwisekcji i zbrodniczych doświadczeń na żywym ciele niewolników z obozów koncentracyjnych. To wśród nich znaleźli się ci skrupulatni erudyci, którzy klasyfikowali nasze dzieła sztuki: osobno do zniszczenia na miejscu, osobno na wywiezienie do Niemiec. Zdarzały się potwory o powierzchowności pogodnej i dobrodusznej, takiego właśnie podsuwa mi pamięć w tej chwili. Nazywał się Kaiser, w wojsku polskim dosłużył się rangi kapitana, a pod koniec września 1939 r. zamienił mundur przybranego wojska na kapelusz tyrolski i zielonkawy strój cywilny. Zrobiono go landwirtem. Urzędował w małym miasteczku — rumiany i zażywny. Pewnego dnia wybrał się do lasu i polował na ukrywających się tam Żydów, strzelał do nich jak do zajęcy.

Każda godzina tych okrutnych 2.000 dni wpisywała się w pamięć zdumiewającymi dokumentami duszy ludzkiej. „Człowiek — istota nieznana" odkrył swe nowe, przepastne tajemnice. Muszą one być opisane i zbadane, nie wolno ich odsunąć jako zbyt dokuczliwy materiał, byłoby to bowiem małoduszność ią albo i tchórzostwem. Wielu jednak pisarzy, zwłaszcza w krajach, które to przeszły, podjęło już prace nad bolesnym rozdziałem psychologii, świadomi jego doniosłości, w nieodpartym przekonaniu, że groźne doświadczenie zostało nam dane dla zbawienia przyszłości.

Wszędzie mówi się dzisiaj o godności ludzkiej. To stały problem humanistyczny. Odnajdujemy go pod piórem największych pisarzy antyku, zajmują się nim wszyscy wielcy doktorzy średniowiecza, wraca on w czasach Odrodzenia, kiedy szlachetny Pico della Mirandola poświęca mu natchnioną książkę. Godność ludzka szuka środków, aby się utrwalić z etyce, w instytucjach, w prawach, w obyczajach. Szuka również swego wyrazu w myśli, w słowie. W naszej epoce myśl i słowo służyły do spodlenia człowieka. Słowo przestało być narzędziem ducha. Zagubiło się nieraz do cna znaczenie słów, albowiem wystarczał zgiełk i krzyk. Dobre stare słowa, tak pewne i solidne, ci wierni towarzysze ducha europejskiego na drodze postępu, wyrazy uczciwe, mocne i szczere opuściły nas, zostawiając pole opętanej hołocie — słówskom z rynsztoku albo produktom miałkich mózgów.

Pierwszą rzeczą i nie najmniejszą, którą możemy, którą powinniśmy zrobić — to odbudować godność mowy ludzkiej. Ten obowiązek należy do spraw związanych z odpowiedzialnością dzieła literackiego. Walczymy o wolność słowa i to jest nasze święte prawo, lecz nie zapominajmy i o dyscyplinie, o kontroli nad sobą i nad wszystkim, co wychodzi spod naszego pióra. Nie na próżno tak wiele, tak uporczywie mówi się dziś o humanizmie. Mniejsza, że niejeden z tych, co o nim rozprawiają, widzi go w mętnej mgle, bo i on również, tak samo jak i bardziej świadomi, wyraża głęboką potrzebę naszych czasów — oczyścić się w atmosferze pojęć jasnych i szlachetnych, w słowie dokładnym i właściwym, w umiarze w harmonii.

Nasze czasy wymagają od nas wielkiej czujności. Nie powinniśmy pozwolić, by słowo oddane w niewolę złowrogich namiętności stało się materiałem palnym na unicestwienie tego, co jeszcze ocalało z budowli, wzniesionej przez rozum ludzki, budowli, gdzie narodziła się i wzrosła nasza cywilizacja.

Koledzy mi wybaczą, że nie wnoszę żadnej rezolucji, nie pragnę bowiem zasilić archiwów naszej Federacji. Tymi słowami zwracam się z apelem do sumienia pisarzy, moich współczesnych, moich braci z ducha, rozproszonych po naszym znękanym świecie, i jeśli rzucam go z tej trybuny, na zakończenie naszego Kongresu, czynię to w przekonaniu, że my właśnie, słudzy ideałów P.E.N., powinniśmy dać przykład i wpływać na wszystkich innych pracowników słowa."

Louis Pierard, prezes belgijskiego P.E.N. Clubu, w imieniu kongresu, podziękował za te refleksje, tak ściśle wiążące się z zawodem pisarza i z ideałami P.E.N.

Przewodniczyła na tym zebraniu znakomita pisarka angielska, Margaret Storm Jameson, która, zamykając obrady, zwróciła się do naszych gospodarzy, Szwedów, z podziękowaniem: „Nie mogę — rzekła — opuścić tej sali, nie wyraziwszy w paru słowach naszej wdzięczności. Wszystko na jej wyrażenie jest za słabe. Przez siedem długich lat oczekiwaliśmy dnia, w którym tu się znajdziemy, marzyliśmy o tym. Wreszcie jesteśmy i widzimy, jak dalece rzeczywistość waszej uprzejmości, hojności, serdeczności przewyższa nasze oczekiwania. Dziękujemy wam."

Jak każdy kongres, tak i ten poza debatami miał bogaty program artystyczny, towarzyski i turystyczny. Wypełniał on szczodrobliwie wszystkie popołudnia i wieczory, a niekiedy i noce. Oto co zawierał: I. dzień — zwiedzenie galerii ks. Eugeniusza w Valdemarsudde i przyjęcie w Muzeum Narodowym (z doskonałą muzyką), II dzień — zebranie towarzyskie wieczorem w Djurgarden, który należy do Skansen, światowej sławy muzeum etnograficznego, III dzień — w operze dawano „Chowanczinę" Mussorgskiego, IV dzień — wycieczka do Saltjöbaden, ślicznej miejscowości nadmorskiej, a w Drotningholm dano przedstawienie w zabytkowym teatrze z XVIII w., V dzień — wycieczka do Beatelund, na stadionie zaś odbył się dzień flagi szwedzkiej w obecności króla.

Z wielu przyjęć najokazalszy był bankiet pożegnalny, wydany przez miasto Sztokholm, w ratuszu. Ta niepospolita budowla jest dumą władz miejskich, które za największą jej ozdobę uważają „złotą salę", pokrytą alegoriami na złotym tle, co przypomina mozaiki bizantyjskie. Sala jest ogromna. Przy stołach zasiadło blisko tysiąc osób. Dla mówców była trybuna z głośnikiem. Każde przemówienie poprzedzały trąby z górnej galerii. Przedstawiciele kilkunastu narodów kolejno stawali przed głośnikiem, by rzucić słowa podziękowania za gościnność i garść uwag o tym niezwykłym kraju. Jeden z delegatów czeskich, dr Adolf Hoffmeister, wystąpił „w imieniu wszystkich narodów słowiańskich" — zbyt skwapliwie, ponieważ imieniem Polski ja przemawiałem w ostatniej trójce, do której należał sekretarz generalny Federacji Ould i przewodniczący kongresu ks. Wilhelm.

Kongres miał dobrą i obfitą prasę w samej Szwecji, a jego echa rozchodzą się dotąd po świecie literackim obu półkul. Z korespondencji, którą otrzymuję, widzę jak w poszczególnych krajach dyskutuje się nadal nasze rezolucje, wnioski i postulaty. Niejedno z nich wróci jeszcze pod obrady tegorocznego kongresu, z początkiem czerwca w Zurychu. Do tej pory zdecyduje się również sprawa Prezesa Międzynarodowego. Po ostatnim posiedzeniu Komitetu Wykonawczego przewidziany jest na to stanowisko: Maurice Maeterlinck.

Jan Parandowski

JULIAN KRZYŻANOWSKI

Korbutianum

W zacisznej oficynce pałacu Potockich, obok wspaniałego — dziś nieistniejącego — zbioru starodruków i rękopisów Biblioteki Narodowej, obok rosnącej biblioteczki P. A. L., mieściła się instytucja mało znana Warszawie, choć często nawiedzana przez specjalistów i stołecznych i z prowincji. Był nią „Gabinet Filologiczny Towarzystwa Naukowego Warszawskiego", dzisiaj oficjalnie niemal określany jako „Korbutianum".

Gabinet ten ma swoją osobliwą historię. Powstał on, jak wiele analogicznych zakładów- na szerokim świecie, drogą inicjatywy prywatnej, a był, jak nieraz u nas, wynikiem ofiarnictwa iście ascetycznego. Stworzył go w głodzie i chłodzie skromny nauczyciel warszawski, Gabriel Korbut, z mizernych oszczędności ciułanych przez całe dziesięciolecia, z kopiejek, marek i wreszcie złotych, lokowanych w książkach. Pełen staszicowskiej abnegacji stosy zadrukowanego papieru gromadził w mizernym mieszkanku, by pod koniec życia magnackim gestem zbiory swe przekazać Towarzystwu Naukowemu. Miał swe ambicje i swe dziwactwa, których nie podobna było uszanować po jego śmierci. Chciał np. wszystko, co dotyczyło poznania Mickiewicza czy Kochanowskiego, mieć ustawione obok siebie na tej samej półce, zarówno foliały półmetrowej wysokości jak broszurki wymiaru kieszonkowego. Z chwilą objęcia opieki nad zakładem, nie bez poczucia, iż popełniam coś w rodzaju świętokradztwa, przeprowadziłem radykalne przestawienie książek wedle ich formatów, zdumiony niesłychanym bogactwem tego, co znajdowało się na półkach, i pełen podziwu dla mrówczej zabiegliwości zbieracza, który skrupulatnie gromadził wszystko, co jest nieodzowne człowiekowi, zajmującemu się naukowym poznawaniem zjawisk i procesów literackich.

Doprowadzony do ładu, starannie skatalogowany, dzięki oprawieniu kilku tysięcy tomów ujednolicony zewnętrznie i udostępniony zbiór dotrwał do katastrofy wojennej. Nie tylko dotrwał, ale dzięki sporej ilości ofiarodawców i stałym subwencjom TNM, wzrósł pokaźnie, zwłaszcza w zakresie pierwszych wydań klasyków i wybitniejszych przedstawicieli literatury polskiej. Odwiedzali go tacy znawcy naszej książki, jak L. Bernacki lub I. Chrzanowski, i z uznaniem spoglądali na jego rozwój; korzystali z niego skwapliwie pracownicy warszawscy, gdy zawiodły ich poszukiwania potrzebnych książek w dużych bibliotekach publicznych. Obsługiwał ich asystent, stypendysta Funduszu Kultury Narodowej, instytucji, która w ten sposób przyczyniała się do podtrzymania potrzebnej placówki naukowej, a za jednym zamachem ułatwiała dochowywanie się narybku polonistycznego.

Wrzesień roku 1939 obszedł się z „Gabinetem" łaskawie. W miarę jednak narastania lat okupacyjnych utrzymanie zakładu, który istniał tylko dzięki temu, że uszedł uwadze okupanta, (dzięki czemu zresztą należałaby mu się osobna karta w dziejach naszego oporu!), stawało się coraz trudniejsze. Gdy wreszcie w jakieś południe letnie 1942 r. zastałem drzwi opieczętowane i dowiedziałem się, że operacji tej własnoręcznie dokonał niemiecki komisarz biblioteczny, nie zdziwiłem się wcale. Wydawnictwa co cenniejsze były zawczasu polokowane, gdzie się dało, u Baryczków, w moim mieszkaniu prywatnym, u przyjaciół i znajomych. Platformami przez kilka dni przewożono książki do Biblioteki Narodowej, gdzie dyrektor, J. Grycz, daremnie usiłował je umieścić tak, aby można z nich było korzystać. Dzięki jego pomocy wynosiło się całymi plecakami rzeczy, potrzebne studentom podziemnego uniwersytetu i pozwalające im prowadzić przez rok przeszło prace seminaryjne na poziomie przedwojennym.

Niestety, ta sama przezorność, która kazała mi wcześniej usunąć rzeczy wyjątkowej wagi poza mury zakładu, gdzie podczas powstania uległy one zagładzie, wywołała dalsze szczerby w Korbutianum. Uległo ono ewakuacji, z której powróciło jakieś 60% całości, reszta zaś przepadła bez śladu .

Po wojnie zakład wszedł w nowe, trzecie czy raczej czwarte stadium swych dziejów. Oddany przez TNW uniwersytetowi, stał się tym, czym chciało się go widzieć przed wojną, integralną częścią na razie seminarium, w przyszłości Instytutu Polonistycznego. Bardzo wiele luk wojennych udało się w ciągu ostatniego roku zapełnić, zdobyło się mnóstwo książek i czasopism nowych, tak że coraz wyraźniej zarysowują się kontury pracowni naukowej, w naszych warunkach jeśli nie jedynej, to w każdym razie wyjątkowej.

Przekonywa o tym praktyka ostatnich miesięcy. Ilekroć w takich czy innych okazjach zjawia się w Korbutianum poszukiwacz potrzebnego dzieła, niezbędnej ilustracji, rzadkiego czasopisma — w olbrzymiej większości wypadków wychodzi zadowolony. Zdarza się wprawdzie, że dana książka jest, ale tylko w... katalogu, zdarza się, że w potrzebnym komplecie jest wszystko, prócz tego właśnie tomu czy rocznika, którego się poszukuje, ale wypadków takich jest co najwyżej... czterdzieści procent. Nadto, ilość ich zmniejsza się z każdym miesiącem, w miarę zapełniania luk wywołanych przez wojnę, i nie tracę nadziei, że będzie ona malała systematycznie, że może nawet zniknie kiedyś całkowicie.

Obawiam się jednak, że jednej tylko szczerby zapełnić się nie uda. Nie wróci do Korbutianum ani stary, wyblakły portret Joachima Lelewela, ani duża fotografia pogodnie uśmiechniętego Gabriela Korbuta, która spoglądała ze ściany na wzrastający dorobek życia twórcy zakładu.

Julian Krzyżanowski

Szkoła krytyków

Plamista ślizgawka

czyli o języku krytycznym

Tarczą, do której często strzela redakcyjny karabin maszynowy (rkm) „Kuźnicy", jest język krytyczny, szczególnie zaś krąg zawierający prawo krytyka do metafory. Przyznaję, że w bardzo wielu wypadkach strzały były i są wymierzone celnie. Niejeden z trafionych na strzelniczej tarczy kręgów pękał, z sykiem wypuszczając zawartość czystego nonsensu.

Mimo to sprawa języka krytycznego godna jest uwagi poważniejszej, chociażby tak urywkowej jak może to czynić „Szkoła krytyków". Chodzi o dwa problemy: czy język krytyczny zdolny jest osiągnąć jakąś zupełną ścisłość, już nie powiem tę, jaką posiadają języki nauk ścisłych, ale nawet tę, do której zmierza wiedza o literaturze? Czy metafora krytyczna jest tylko świadectwem braku precyzji w tym postulowanym języku, czy też — nie uprzedzajmy biegu refleksji.

Odpowiedź na pierwsze pytanie wymagałaby bardzo długiego komentarza — mogę podać tylko jego wynik. Nie sądzę, by język krytyczny mógł kiedykolwiek postulować, a tym bardziej osiągnąć całkowitą jednoznaczność i ścisłość. Nie może dlatego, ponieważ jest on bezpośrednią funkcją żywych dzieł, wieży Babel będącej w budowie, a jeżeli w przypowieści biblijnej budowa w pewnej chwili się urwała, to dlatego, że nie znalazł się nikt, kto by umiał mówić wieloma językami naraz lub przynajmniej je rozumieć. Krytyk żyje wśród trwającej wciąż budowy wieży Babel, budowy, jaka ustać nie może. Mowę wielu dzieł usiłuje sprowadzić do wspólnego wysłowienia, ale nie osiągnie nigdy bodaj jednoznaczności terminologicznej. Najpierw musieliby pisarze osiągnąć jednoznaczność swoich wizyj świata. Twierdzenia krytyczne są z konieczności aproksymatywne, wiele schematów wypracowanych przez wiedzę o literaturze mało się przydaje w bieżącej pracy krytyka.

Jak to pisał Irzykowski? „Owe imponujące uczniom i snobom terminy techniczne krytyki, jej chwyty, zarzuty i teorie, na pozór stałe, są przecież czymś, co prawdziwa intuicja krytyczna co chwila albo ożywia nową myślą, albo cofa, rozbija i przeinacza. Dla niej cały ten groteskowy aparat jest maską konwencjonalną, dzieło cudze sposobnością do ujawnienia się.

Takie stanowisko nie oznacza sceptyzyzmu ani eklektyzmu. W obchodzącym „Szkołę krytyków" aspekcie sprawy oznacza ono raczej pewną troskę pedagogiczną. Zdarzyło mi się rozmawiać z niejednym z najmłodszych krytyków, który wskazywał na podobny postulat, jako onieśmielający lub po prostu pytał: — dobrze, a jak się to robi? gdzie i od kogo tego się nauczyć? I trzeba było wygłaszać długi komentarz wstępny — tutaj poniechany.

W aproksymatywnym języku krytycznym metafora jest środkiem nie do uniknięcia. Naturalnie nie mówimy o metaforze jako sposobie czysto zdobniczym. Nie mówimy o pogrobowcach krytyki impresjonistycznej, przekonanych, że o Słowackim należy pisać tylko poetycko, o Norwidzie tylko podnioślе. Z odpowiednią proporcją poetyzujących metafor. Podobny język krytyczny już dawno się skompromitował.

Mimo to w ramach języka możliwie rzeczowego i możliwie jasnego metafora zachowuje swoje stanowisko. Kiedy Irzykowski napisał przed laty o bohaterach Żeromskiego, że mają dziury wybite w duszach, a do dziur założone rury wiodące wprost do rezerwuarów autora — w tym obrazie zawarł materiał wielu późniejszych i bardzo uczonych studiów. Kiedy Eryde omówieniu poezji Łobodowskiego dał tytuł „Poezja Cezarego Baryki", w tej aluzji metaforycznej również powiedział wszystko. Bo metafora dla krytyka umiejącego się nią posługiwać nie jest zabiegiem zdobniczym ani też wykręcaniem się przed jasnym precyzowaniem myśli, lecz zabiegiem zmierzającym do lakonicznej i obrazowej precyzji. Całkiem podobnie jak w poezji.

Dobra metafora krytyczna jest rodzoną siostrą aforyzmu i często chodzi w jego przebraniu, jak to bliźniacze rodzeństwo z „Wieczoru trzech króli" Szekspira. Kiedy Irzykowski zauważył, że bywają ludzie, którzy całe życie noszą na plecach wybite drzwi, zanotował aforyzm, którego początkiem była jednak metaforyczna obserwacja konkretnego utworu i pisarza.

Nie każda metafora krytyczna spełnia tę lakoniczną i precyzyjną rolę. Zwłaszcza dzisiaj, wśród rozbełtanego pustosłowia rzadko można napotkać podobne metafory. Krytykowi nie umiejącemu myśleć ściśle i wyrażać się jasno metafora krytyczna często służy za ów kamień położony wśród kałuży: a teraz sobie podskoczymy, bo nie umiemy przejść. I krytyk podskakuje na koślawych metaforach. Ale znów sposobem pedagogicznym na metaforyczne pasikoniki nie jest dowodzenie, że nigdy w ogóle skakać nie wolno, jest natomiast — że pasikoniki skaczą źle. Podobnie jak w poezji sposobem na złą metaforę nie jest zrezygnowanie z metafory w ogóle.

Tyle o języku krytycznym na niedzielę wielkanocną. Wody rozbełtanego pustosłowia wsiąkną w piasek powszechnej nudy. By przyspieszyć ich spływ, powtórzmy za „Kuźnicą" piękny cytat: „I nie ślizgajcie się plamiście po cudzej pracy, indukcje i dedukcje organizujcie w taki sposób, by wiadomym było, do kogo się i z czym odnoszą"

kjw

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

W TEATRACH PARYSKICH

Jeśli pragniesz uciec od kłopotów domowych i międzynarodowych, od miłości i tego złego, co na dobre nie wychodzi, kup „Tydzień Paryski", który jest przewodnikiem po krainie, gdzie rządzą prawa niepamiętania. „Tydzień Paryski" doradzi najlepiej, w jakie metro wsiąść, by najszybciej wyzwolić wyobraźnię z opresyj świata powojennego. Bo na ziemi zagrożonej bombą atomową, głodem i narodzinami nowego stylu w literaturze, tylko kino i teatr dadzą schronienie skołatanym.

Ale uciekając przed tamtymi plagami do teatru, nie idziemy gdziekolwiek przed siebie. Idziemy w mniej lub bardziej wiadomym kierunku, ku stronom, gdzie te same plagi, które nas nękają, zesłane są przez los na innych ludzi. Chcemy się odprężyć, widząc innych głupio lub nieszczęśliwie zakochanych. Cynicy, pragniemy wzruszyć się cudzym idealizmem; słabi, chcemy się pośmiać ze zrealizowania naszych pragnień przez innych ludzi, aby ośmieszone przestały przedstawiać dla nas wartość wiążącą.

Jacques François i José Quaglio w „Podpalaczach"

Uciekając w ten sposób, nie wykluczamy przypadkowości naszych dalszych losów, lecz kompas i gwiazdę polarną bierzemy ze sobą.

Widowisko teatralne, które nie spełni warunków wymaganych przez celowość naszych zachceń, uważamy za chybione, chociażby przykuwało naszą uwagę przez cały czas trwania. Lecz teatru — w przeciwieństwie do filmu — nie uważamy tylko za środek do ucieczki, do „évasion". Chcemy się śmiać, smucić, oburzać, ale z określonych powodów. Jeśli nie włączamy teatru do sztuki, która angażuje ideowo, która wymaga od nas kategorycznego „tak" lub „nie", to dlatego jedynie, że konwencje teatralne bronią przed bezpośrednim wtargnięciem argumentów autora w obręb naszych racji. Od tego są postacie na scenie, by były przekonywane. Nas, widzów, może tylko interesować *ich zaangażowanie*.

Pragnąc przedstawić wydarzenia teatralne Paryża, będę musiał stosować metodę uproszczeń. Pocieszam się jednak, że nadużycie tej metody pozwoli mi dać — jeśli nie obraz obiektywny — to przynajmniej sumę wrażeń własnych. Przeciwstawiając film teatrowi, celowo zbliżyłem się do banału.

Teatr, szukając nowych środków wzruszania widza, wtargnął w dziedzinę, do której opanowania nie posiada jednak dostatecznych środków. Obserwujemy od dłuższego czasu np. zmierzch komedii obyczajowej i psychologicznej. Niewiele konwencji społecznych pozostało, by było z czego się śmiać. Wady ludzkiego charakteru są tak nadużyte w tylu, chciałoby się powiedzieć, we wszystkich możliwych pozach, że kto wie, czy niebawem „Skąpiec" i „Świętoszek" nie będą nam wyciskać z oczu łez nostalgii za czasem, kiedy byli śmieszni. W poszukiwaniu nowych terenów trafiono na źródło czystego wzruszenia: groteskę. Lecz groteska wymyka się teatrowi. Lubi sięgać po nieprawdopodobieństwo, którego nie sposób wyrazić bez tricków, skrótów i metafor.

Piękną groteską teatralną jest jednoaktówka zamordowanego przez falangistów poety hiszpańskiego *Frederico Garcia Lorca: „Miłość Don Perlimplina do Elizy w ogrodzie"*. Poetycka bajka o starym, zdradzanym mężu, który w przebraniu śpiewa pod balkonem swej młodej żony, by zdobyć jej serce. Gdy nie oszczędzająca go małżonka zwierza mu się z miłości do młodego i pięknego (dla niej ma wiek i urodę swego głosu) śpiewaka, Perlimplin miota się między zazdrością męża a szczęściem kochanka. Forma groteski odświeżyła starą jak świat niedolę miłości.

Lecz mimo olbrzymiego powodzenia w Paryżu obco czują się na scenach teatralnych takie sztuki jak *„Arszenik i stare koronki" Kesserlinga*, gdzie każdy trup (a trupów było trzynastu) wywołuje bezinteresowną wesołość na sali, jak *Noëla Cowarda „Zabawy duchów"*, gdzie przedstawione są perypetie ze zmaterializowanym duchem pierwszej i odmaterializowanym ciałem drugiej żony bohatera, jak *Kaufmana i Harta „Cieszmy się życiem"*, gdzie chodzi o to, by śmiać się z ludzi żyjących dla pieniędzy i z tych, którzy żyją dla siebie.

Wszystkie wymienione sztuki zostały sfilmowane z kapitalnym skutkiem. Trudno porównywać ilość śmiechu, jaką wyciska z widza scena i ekran. Wyższość filmów nad przedstawieniami scenicznymi jest dowodem, że ewolucja komedii w kierunku bezinteresownym, groteskowym, nie będzie odbywać się w teatrze. Film ma przestrzeń własną i własne środki poruszania się po niej. A ponadto i to wydaje mi się najważniejsze: ucieczka od wszelkiej problematyki, czysta „évasion" może odbywać się doskonale przy szczelnie zamkniętych od rzeczywistości drzwiach i oknach.

Teatrowi nie stawiamy takich warunków. Uciekamy bowiem nie od wszelkiej problematyki, ale od własnej nieumiejętności jej rozwiązania. Uciekamy od tego, co nas konkretnie nęka, od tego, co jest naszym osobistym dopustem.

Najwymowniejszym tego dowodem jest fakt, że sztuki, które stawiają problem, nie ożywiony cudzym życiem, lecz jakby będący propozycją, byśmy w jego rozstrzygnięciu wzięli udział — spotykają się z niechęcią. Mówię o sztukach Sartre'a. Postacie jego są tylko częściami sylogizmów. Sartre nie zmierza do tego, by je uprawdopodobnić i każdym nowym gestem, nowym słowem wykończyć ich kształt psychiczny. Posługuje się nimi jak środkami stylistycznymi do wyrażenia koncepcji, która — i ona jedna — ma u niego prawo do życia. Wolność, samotność, odpowiedzialność, absurd mówią ustami, poruszają rękami, doznają psychiką postaci, które same są tak nieznaczące, że nie rzucają nawet cienia w pamięci. Cóż pozostaje z „Much", tej egzystencjalistycznej tragedii Elektry? — Sformułowanie wolności. (Wolnym jest ten, kto „sam jest swoją wolnością".) W „Muchach" bohaterem jest Orestes, który po zabójstwie Egistosa i Klitemnestry ma wieść życie wolne, życie rozpoczynające się po drugiej stronie rozpaczy. A na życie to Sartre daje tylko bardzo ogólnikowy przepis.

W innej sztuce Sartre'a „Przy drzwiach zamkniętych", trzy osoby zamiast żyć, odczytują rozłożony na głosy traktat filozoficzny. Traktat bezsprzecznie ciekawy. Czy osobowość własną można uświadomić sobie samemu, czy też tylko poprzez ocenę innych? Czy zerwanie związków z innymi ludźmi może wyzwolić? Szczytowy punkt dramatu następuje w chwili, gdy jeden z bohaterów, pragnąc uwolnić się od wyznaczających jego osobowość obcych świadomości — rozpaczą (tylko tę siłę jeszcze posiada), otwiera zamknięte na zawsze drzwi piekła (rzecz dzieje się w pokoju, któremu został przypisany sens piekła) i... pozostaje. Samotność jest zbyt wielką ceną wolności.

Koncepcje, schematyczność ciążą nad młodym teatrem francuskim, lecz trudno obciążenie to uważać za balast, który należy wyrzucać za burtę. Wszystko zależy od zdolności tworzenia ludzi, ludzi z krwią i sercem, a nie marionetek — odgrywających pomysł autora. Ludzi takich, którzy by w koncepcji żyć umieli.

Lecz przeżycia wojenne wyolbrzymiły pewne problemy. Poświęcenie, bohaterstwo, zwątpienie, rozpacz domagają się upostaciowania w skali większej niż ludzka. Dlatego w poszukiwaniu wymiaru autorzy odwołują się do wzorów już istniejących. W naszych oczach odbywa się jeszcze jedna pielgrzymka do ziemi świętej teatru, do Grecji. Nie mając odwagi, by tworzyć mit współczesny, pragnąc ominąć niebezpieczeństwo uwikłania się w anegdotę, z której mit ten musiałby się wyłonić, czerpią gotową fabułę ze starożytności greckiej. Aluzje i akcenty stają się środkiem głównym. *Maurycy Druon* w sztuce *„Megareas"* przedstawił problem poświęcenia. Rzecz dzieje się w Tebach oblężonych przez Polinika. Brat jego tchórzliwy Eteokl, znienawidzony przez ludność, ma małe szanse, by obronić miasto. Wuj zwaśnionych braci Kreont planuje objęcie władzy w zamęcie. Miastu grozi zagłada. Wówczas Tirezjas, mędrzec i wychowawca Kreontowego syna Megareasa, chcąc podnieść ducha ludu, zmyśla przepowiednię, według której miasto ocaleje, jeśli ktoś dobrowolnie poświęci dlań życie. Bohaterem tym będzie Megareas. Megareas sam zdecyduje się na bohaterstwo, przeżyje zwątpienie i rozpacz. Jest głęboko ludzki w cierpieniu, w udręce, w wyrzeczeniu. Autor chciał ukazać c z ł o w i e k a w poniżeniu. Lecz mimo to, mimo unowocześnienia pojęcia heroizmu („bohaterem jest ten, kto nie ginie z przypadku"), nie udało mu się uniknąć zakłamania i mistycyzmu. Nie udało mu się oblec poświęcenia w ciało człowieka.

J. L. Barrault w roli Hamleta

Ludzie *Simone de Beauvoir* są bardziej żywi. Autorka *„Niepotrzebnych ust"*, poszukując tematyki nie zaszła tak daleko jak M. Druon. Pierwsza uczennica w szkole Sartre'a zatrzymała się w wieku XIV, w miasteczku flandryjskim Vaucelles, obleganym przez burgundczyków. Warunki te, nie ustywnione mitycznie, bardziej sprzyjają dowolności interpretowania. Łatwiej ukazać w nich niepokój istnienia i samotność — jako los; rozpacz — jako środek działania; brzydotę moralną — jako odwrotną stronę namiętności. Lecz trzeba podnieść, że te normy egzystencjalizmu ukazane zostały poprzez ludzi, którzy walczą, kochają, spodziewają się, wątpią, umierają z głodu i zamierzają zbrodnie. W oblężonym mieście żywności pozostało na sześć tygodni, a król francuski nie przyjdzie z odsieczą przed trzema miesiącami. Starszyzna postanawia dla ocalenia miasta wydalić za mury, a więc oddać na pastwę wroga, „niepotrzebne usta": dzieci, starców i kobiety. Simone de Beauvoir zestawia jako sprzeczności symbol wolności (miasto) i człowieka, tak samo jak zestawia poświęcenie i zbrodnię. Symbol wolności może nabrać jednak życia przez poświęcenie ludzi. Przed zbrodnią uratuje miłość. Czy ludzie uratują jednak miasto? Sztuka kończy się tym znakiem zapytania. W „Niepotrzebnych ustach" ukazana została lewa, „czarna" strona poświęcenia.

„Caligula" Camusa

Sztuki Sartre'a, Druona, Simone de Beauvoir dostarczają jedynie wąskich ścieżek do ewakuowania się z dnia powszedniego. Nie są one dostatecznie wygodne, by można było przenieść przez nie wielkie namiętności.

A przecież wzruszenia teatralne winny dostarczyć wygodnych środków transportu skołatanym. Właśnie na tym polega rzeczywistość teatru, że każdemu umożliwia wyjście z własnej skóry bez konieczności uciekania się do precyzyjnych narzędzi psychicznych. Dlatego nie są przesadne nasze wymagania, jeśli żądamy, by doznania były powszechne i aby rzeczywistość sceniczna działała bezpośrednio (bez potrzeby otwierania drzwi do jej tajemnic kluczem formalnym lub ideologicznym).

Sztuk teatralnych, odpowiadających tym warunkom, nie jest tak wiele, jakby się mogło wydawać. Nawet w Paryżu można je na palcach policzyć. Rok 1945 — *„Niepozorozumienie"* i *„Kaligula" Alberta Camusa*. Rok 1946 — *„Myszy i ludzie" Johna Steinbecka* oraz *„Dom Bernardy Alby" Frederico Garcia Lorca*. W sezonie bieżącym — *„Elektra" O'Neilla* oraz *„Noce gniewu" Armanda Salacrou*. (Jeśli nie wymieniam „Wariatki z Chaillot" i „Antygony", to przede wszystkim dlatego, że sztuk tych nie uważam za szczytowe osiągnięcia Giraudoux i Anouilha).

Ograniczam mój wykaz do współczesnej literatury teatralnej. Pomijam wspaniałe niejednokrotnie wznowienia klasyków: Szekspira („Hamlet" w interpretacji Jean Louis Barrault), Marivaux, Moliera. Pomijam piękne przedstawienie „Persów" Ajschylosa w wykonaniu teatralnego zespołu studentów Sorbony. Pomijam również koncerty gry aktorskiej, jak np. występ Hedvige Feuillère w „Dwugłowym orle" Cocteau. Chodzi mi bowiem o ukazanie tych dróg do wyobraźni, które zostały wyznaczone przez współczesne potrzeby i które odpowiadają współczesnym wymiarom pragnienia ucieczki.

Albert Camus, jedno z najświetniejszych nazwisk w nowej literaturze francuskiej, twórca esejów („Gody", „Mit Syzyfa") powieści („Cudzoziemiec" i oczekiwana „Zaraza") jest autorem dwóch sztuk teatralnych, które mają tę samą tematykę co „Niespodzianka" i „Kaligula" K. H. Rostworowskiego. Sztuki Camusa różnią się większym natężeniem problematyki. Nic dziwnego: wypowiadają już bez reszty sprawy, które dojrzały do ostatecznych sformułowań; przedstawiają ideę absurdu, której Camus jest artystycznym wyrazicielem. Ukazywanie przezeń absurdalności świata i życia ludzkiego stało się powodem, że przeciętny czytelnik umieszcza nazwisko Camusa na liście adeptów szkoły egzystencjalistycznej. Lecz pogląd taki jest bardzo powierzchowny. Camus uważa absurd za tworzywo, a nie za istotę egzystencji. Absurdalny jest świat, lecz człowiek może go pokonać. Są tylko dwie możliwe odpowiedzi na propozycję istnienia: nie lub tak. Trzeba być konsekwentnym, odpowiadając. Możemy wybrać albo samobójstwo, albo życie bez złudzeń, bez nadziei, życie, które się rozpocznie po ostatnim akcie rozpaczy. Stanowisko nie obce i Sartre'owi, lecz Camus idzie dalej, ukazuje perspektywy tego nowego życia. Każdego, kto chce żyć pełnie, bez zakłamania, czeka długa droga negacji, którą trzeba iść samotnie, lecz u jej kresu, gdzieś na chwilę przed samobójstwem, a dla skazańca przed wykonaniem wyroku, otwiera się cudowny świt („une petite aube"), w którego świetle świat jest oszałamiająco piękny, a życie bez ceny.

W „Nieporozumieniu" matka i córka zabijając syna i brata poddają się absurdowi. To poddanie je wyczerpuje i nie starczy im już sił na przezwyciężenie rozpaczy. Odchodzą, nie doczekawszy się owej „petite aube" nowego istnienia.

„Kaligula" natomiast rzuca wyzwanie absurdowi świata. Nie poddaje się jego prawom. Pragnie nie tylko własnego wyzwolenia, lecz władzy, której by nie krępowały prawa natury. Pragnie niemożliwego. „Chcę — woła — by słońce wschodziło na zachodzie". Niszczy wszystko, by stworzyć świat na nowo.

„Lecz nie można — mówi Camus — zniszczyć wszystkiego, nie niszcząc samego siebie". Dlatego Kaligula wyludnia świat otaczający go i wierny swojej logice — daje do ręki broń przeciw sobie tym, którzy go zabiją. Kuligula — to historia samobójstwa wyższego rzędu.

Koncepcja Camusa żyje. Ludzie, prawdziwi ludzie, dają jej swoje ciała. Kaligula utracił obciążenie satanizmem. Jest człowiekiem, który dopiero ma stać się szatanem.

*

Wielką popularność współczesnej literatury amerykańskiej we Francji można usiłować tłumaczyć m. i. jej prostotą ideową. Antypsychologiczność, „faktowość" dają środki odmładzające tym, których znużyło wyrafinowanie.

Przeróbka sceniczna *„Myszy i ludzi" Johna Steinbecka* jest piękną próbką amerykańskich sprzeczności. Idealizm sąsiaduje z brutalnością, liryzm przybiera najbardziej nieoczekiwane formy.

Los Lenniego, niedorozwiniętego umysłowo chłopca - robotnika — rozgrywa się w świecie surowym, wśród namiętności niepohamowanych. Jest tylko czysta wyobraźnia i naga rzeczywistość. Brak praw normujących i wysubtelniających ich wzajemne związki. Nie zaistniał jeszcze pierworodny grzech człowieka: cywilizacja. Lennie ma-

Robert Hérbert i Joe Alex w „Myszach i ludziach" Steinbecka

J. L. Barrault jako Hamlet

rzy o nowym życiu we własnej fermie, z własnymi królikami o szczególnie długim włosie, by nadawały się do pieszczoty — i nic prócz marzenia dlań nie istnieje. Gdy nienawidzi, to nienawidzi w paroksyzmie. Gdy pieści, to pieści śmiertelnie. Miłości, która w nim tkwi, nie potrafi ujarzmić. A ta jest tak gwałtowna, że królika, psa o jedwabnej sierści, mysz polną czy szyję kobiecą, gdy tylko staną się godne jego pożądania, dusi tym samym dotknięciem ręki, które miało służyć do wzbudzenia pieszczoty. Lenniego spotyka to (w tym zawiera się właśnie dramatyczność i liryzm zarazem sztuki Steinbecka), co jak ziemia ziemią było udziałem każdego, kto odważył się żyć dla sprawy wyobraźni: klęska śmiertelna. To samo spotkało Don Juana za wyolbrzymienie do nieskończoności miłości do kobiety. To samo spotkało Don Kichota za nierezygnowanie z nieprawdopodobieństwa.

Pisarze amerykańscy (proszę mi wybaczyć uogólnienie, lecz Steinbeck wśród przybyłych do Francji nie jest wyjątkiem), operując w surowym materiale namiętności, osiągają prostotę bliską prostocie mitu. Steinbeck w „Myszach i ludziach" obawia się jeszcze bezkompromisowości. Swoją prawdę artystyczną podporządkowuje konwencjom zwykłego myślenia. Postępowanie Lenniego usprawiedliwia jego niedorozwojem umysłowym, lecz mimo to liryzm tej postaci i brutalność praw ludzi normalnych, którzy niszczą Lenniego nie za jego szaleństwo, lecz za idealizm — są dostatecznie mocne, by przekonać.

W innej sztuce Amerykanina, w *„Elektrze" O'Neilla* obecność mitu występuje jeszcze intensywniej. I nie aluzja do sofoklesowego arcydzieła to sprawia. O'Neill przeniósł bowiem mit o Elektrze w nowe warunki i nowe postacie do przeżycia go powołał. Tytuł sztuki uświadamia jedynie nieodwracalność ich losu. „Elektra" O'Neilla jest jednym z tych nielicznych współczesnych utworów scenicznych, które mogą się zmieścić w wyraźnej kategorii formalnej. Nie jest „sztuką", więc omnibusem teatralnym. Jest *tragedią*. Rzecz dzieje się w Ameryce podczas wojny Północy z Południem. W czasie nieobecności generała Mannona żona jego Krystyna została kochanką kapitana Branta, nieślubnego syna jednego ze stryjów generała. W namiętności Branta do żony generała zawiera się również — nieuświadomiona — chęć pomszczenia na rodzinie Mannonów ojca, który za „hańbę" został wydziedziczony. Związek miłosny Krystyny nie uchodzi uwagi jej córki Lawinii. Pragnie ona pomścić krzywdę ukochanego ojca. Budzi jego podejrzliwość. Z chwilą powrotu generała rozpoczyna się seria aktów okrucieństwa i sprawiedliwości. Krystyna truje męża. Lawinia wzbudza rozpacz w bracie swym Orinie, który morduje kapitana Branta. (W tym akcie mieści się znów uczucie zazdrości o matkę). Krystyna popełnia samobójstwo, co znów powoduje także śmierć zrozpaczonego Orina. Pozostaje Lawinia. W scenie miłosnej, gdy do swego narzeczonego Piotra zwraca się imieniem Branta, uświadamia sobie nagle swoją zawiedzioną miłość — źródło swojej żądzy sprawiedliwości. Zostaje z wyrzutami sumienia, których już nikt nie zagłuszy. Zostaje skazana na życie.

Chociaż aluzje do „Elektry" Sofoklesa są precyzyjne, to jednak nie one dają moc wymowie sztuki O'Neilla. Sztuka jego wymiary swoje zawdzięcza wielkim, wzbudzonym rzetelnie, niezafałszowanym namiętnościom. Namiętności te w treści i wyrazie są powszechne.

Podobnie powszechne uczucia wyzwala sztuka hiszpańskiego poety *Frederico Garcia Lorca: „Dom Bernardy Alby"*. Sztuka ta, grana w Paryżu z równym co „Myszy i ludzie" Steinbecka powodzeniem, ukazuje co prawda egzotyzm psychiki hiszpańskiej. Nieprawdopodobieństwem wydaje się, by w starej Europie mogła istnieć jeszcze tak bezwzględna potrzeba miłości i tak niezwietrzała duma. Akcja sztuki odbywa się w prowincjonalnym domu hiszpańskim, gdzie po śmierci ojca pięć córek Bernardy Alby ma egzystować w ośmioletniej, przepisanej żałobą, całkowitej izolacji od świata. Z zamurowanymi oknami i zamkniętymi drzwiami przed mężczyzną. Tęsknota za mężczyzną, miłość do jedynego, dostępnego ich myślom (narzeczonego najstarszej, pełnoletniej siostry), nienawiść — wypełniają im życie. Męka niemożliwych pragnień zatruwa im chwilę każdą. Są zamurowane w jałowej namiętności, pod żelazną władzą dumnej Bernardy, która łamie im życie, przyszłość i nadzieję. Tylko do wyobraźni córek nie sięga ręka matki. A wyobraźnia może wszystko. Najmłodsza Adela niszczy związki rodzinne, dumę własną dla odrobiny nadziei. Życiem płaci za rozpacz, gdy nieszczęśliwsza od niej garbata Martirio, powodowana zazdrością, przynosi jej fałszywą wiadomość o zamordowaniu przez matkę jej kochanka (narzeczonego najstarszej siostry). Lecz może jeszcze bardziej gwałtowna od namiętnej miłości córek jest duma matki, która do końca nie zdejmie maski z kamienia.

Namiętności zawarte w fabule mogą tylko częściowo tłumaczyć potężne wrażenie, jakie sprawia „Dom Bernardy Alby". W sztuce występują same kobiety. Frederico Garcia Lorca nie ukazał mężczyzny. Zogniskowanie jednak całej akcji wokół tej kobiecej sprawy w problematykę konspiracji. Autor przedstawia trzy indywidualności przeżywające wojnę. Jeremi, intelektualista, bierny, bez zdolności do uniesień, nie dostrzega wielkości zjawisk; Dominika, jego żona, nie przeczuwa ich istnienia; Franciszek, działacz podziemny, znużony czteroletnią pracą postanawia jakimś aktem szaleństwa skończyć „z tym wszystkim". Lecz Franciszek spotyka Dominikę. Między nimi zapala się gwałtowna miłość, która w Dominice budzi ofiarność i żądzę pracy dla sprawy, a Franciszka — regeneruje. Dramat osobisty rozwiązuje gestapo.

Perypetie są dla Clavela tylko tłem dla przedstawienia wielkich (Franciszek, Dominika) i małych (Jeremi) charakterów, ich siły przeżywania i wartości ludzkiej. Sztuka Clavela nie dociera jednak w głąb sprawy. Jest dokumentem, dokumentem uczciwym, lecz zbyt pośpiesznie mitologizującym. Postać intelektualisty, który zginie w gestapo bez przekonania o słuszności losu, jest potraktowana jak znak matematyczny, symbol. Nie spodziewamy się po nim niczego, ani złego, ani dobrego. Spełnia funkcję negatywu dla wywołania postaci Franciszka i Dominiki. Lecz Clavel pierwszy odważył się zapuścić sondę w nabrzmiałą pamięć okupacji. Przed nim czyniły to tylko filmy.

A filmy, nawet tak świetne jak szwajcarska „Ostatnia szansa" lub włoski „Rzym, miasto otwarte", są ograniczone własnymi środkami formalnymi. Te zaś polegają — mówiąc w sposób uproszczony — na umiejętności zbliżania i oddalania obiektywu. Inaczej nie znieślibyśmy ani zbrodni, ani bohaterstwa. To jest bardzo wiele, jeśli zdamy sobie sprawę, że nawet częściowe przeżycie tych spraw w teatrze graniczy z niemożliwością. Scen tortur w „Zmarłych bez grobu" nie możemy znieść, chociaż daleko im do analogicznych w „Rzymie, mieście otwartym". Ale metaforyka, aluzyjność filmowa utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, oddanie uderzeń serca, kłębowiska myśli, słowem tych elementów namiętności, które się nie dadzą przetransponować na obraz.

I dlatego chociaż środki filmowe oddałyby precyzyjniej np. wspólne życie umarłych z żywymi, to jednak *„Noce gniewu" Armanda Salacrou* nie zyskałyby na ekranie. Dramat ten bowiem rwie trzewia, rozrywa wnętrzności myśli i uczuć. „Noce gniewu", to pierwsza sztuka francuska, która mitologizuje sprawy jeszcze ciepłe od życia.

Okupacja. Dwa środowiska: żywych trupów i przyszłych wielkich zmarłych. I ci i tamci żyją i działają z przekonaniem o słuszności swego sposobu życia. Dla przeciętnego, lojalnego Francuza (streszczam sztukę) sprawa oporu, walki podziemnej jest nonsensem. A dla członka narodu racjonalistów nonsens jest zbrodnią. Dlatego ten, kto walczy z przewagą rozsądku, jest wielokrotnie sam.

Jan, bojownik podziemia, po wykonaniu zamachu na niemiecki pociąg amunicyjny, ranny chroni się do domu Bernarda, swego dawnego przyjaciela, z którym stracił kontakt od wybuchu wojny. Tamten, solidny obywatel miasta Chartres, przyjmuje go bez podejrzliwości. Jednak okoliczności naprowadzają go na prawdę. Bernard po wahaniu wydaje Jana milicji. To jest tylko kanwa akcji. Salacrou bowiem nie zadowala się pozorami i charaktery drąży do dna.

Bernard zdradził przyjaciela, bo nie był przygotowany do udziału w bohaterstwie. Już wtedy, kiedy wybrał małe życie umeblowane tylko sprawami biura, regularnym posiłkiem i aparatem radiowym, ograniczył swój rozwój. Gdyż — dopowiadamy sami — w czasach tych, które są naszymi czasami, nikt nie może stać z boku, nikt nie może pozwolić sobie na zbytek niezaangażowania.

Salacrou mobilizuje wszystkie racje, pozwala wszystkim na obronę. Zmarli, podobnie jak w „Dwóch teatrach" Szaniawskiego, żyją nadal. W myślach, zwątpieniach, męce i miłości żywych. A te myśli i uczucia są tak konkretne, że i zmarli nie występują w nich jako zjawy z innego świata. Są znów obleczeni w ciała śmiertelne. Efekty w tej świetnej sztuce Salacrou osiąga środkami prostymi, choć bynajmniej nie łatwymi. Nie ma chronologii, ale z tym już dawno zżyliśmy się w teatrze. Ważność zdarzeń decyduje o ich kolejności. Dzieje się tak, że ani się spostrzegamy, jak dialog między żywymi zamienia się w rozmowę umarłych, chociaż żaden znak nie alarmuje o zmianie sposobu istnienia.

Wiele mógłbym jeszcze dorzucić. Lecz trzeba, bym oszczędzając cierpliwość czytelnika, oszczędzał również siebie. Teatr, którego przydatności do wyprowadzania ze spraw nękających tak bardzo ufam, zaprowadził mnie tam, gdzie nie pragnąłem. Czyżbym jednak nie pragnął? Chroniąc się w namiętności, mniejsze porzucałem dla większych, by wreszcie w tej ostatniej znaleźć wyzwolenie.

Gdyż w czasach, które są naszymi czasami, uciekamy od tego tylko, co jest pozorem. A wyprawy w wyobraźnię wtedy tylko mają sens, jeśli nas zawiodą do takiej sprawy która nie przestając być sprawą wyobraźni, jest jednocześnie sprawą naszego losu.

A nie możemy pozostać nie zaangażowani wobec własnego losu.

Rzeczywistość jest jedna!

Zbigniew Bieńkowski

JUIAN PRZYBOŚ

ZAPISKI

W ogrodzie

Olśniony — nie dojrzałem róży: światło było cieniem jej woni.

Piękny ogród

— Ten ogród jest tak piękny, jakby go dopiero co namalował Eibisch.

— Nie, jest tak piękny dlatego, że nikt go jeszcze nie namalował ani nie opisał.

— Ani to, ani tamto. Jest piękny, bo muszę go namalować i opisać.

— Tak, tak, tak. Macie rację. Ogród jest piękny.

W czasie zaprzyszłym

Pragnął aż takiej sławy, żeby uczyniła zbędną jego fizyczną obecność. Chciał mieć sławę pośmiertną za życia.

Sierotka

Boi się — jak w czasie nalotu. Aby zaciemnić pokój — odwróciła do ściany lustro
i — bezradna — palcem tak chudym, że zmazałaby nim światło ze szyby — —
kostką palca stuka w moje okno.

Monolog i dialog

— To człowiek leniwy... Mówi o szczęściu.

*

— Wierzę, że dopiero będę szczęśliwa, ale wierzę tak mocno, że zastępuje mi to szczęście.

— A ja byłem zawsze i będę szczęśliwy, będę tak na pewno — że już nim nie jestem.

Róża

Co pocznie z różą, której nie śmiał jej wręczyć?
Rzuci w czapkę ślepca na rogu?...

Chory

Chełpi się, że nie rozumie poezji: skarży się na sklerozę swojej wyobraźni.

Przeciw farbiarzom

Sprawa wizji barw w poezji nie zależy od nazywania barw. Poeci, nie rozumiejący tego, wyliczają przy lada okazji całą paletę i nie uzyskują wizji barwy. Tworzą obrazki z poprzyklejanymi etykietkami: zieleń, purpura, błękit, ale etykietki odklejają się od wyobraźni. Barwa, ażeby była ujrzana, musi tkwić w czymś więcej niż w nazwaniu. „Malowanie słowem" jest równie staroświeckie i nie do zniesienia, jak ilustrowanie obrazami muzyki. Daje w najlepszym wypadku pocztówkowe widoczki, reprodukcję banałów. Reprodukcje takie są miłe jedynie oczom leniwym, nienawykłym do subtelnego różnicowania barw. Bardzo zabawne są kalkulacje polonistów na temat „barwności" poety: liczą ile razy autor użył słowa „czerwony", „zielony", „niebieski" — i na tej podstawie wyrokują o jego wyobraźni wzrokowej.

Oko wyobraźni pożąda więcej: wizji tak intensywnej, żeby słowa pobudziły pamięć barw u czytelnika silniej niż słowa określające barwy, gdy są one w zmysłowym spostrzeżeniu. [illegible] barw — jak w obrazie kolorysty — musi przewyższyć harmonią przypadkowość spostrzeżenia. Aby to osiągnąć, nie wystarczy opatrzyć rzeczowniki barwnymi przymiotnikami. Barwa musi tkwić w czymś więcej niż w nazwaniu.

W czym? Tajemnica tkwi, jak zwykle w poezji, w zaskoczeniu wyobraźni, w podstępnej oszczędności palety, w kompozycji tak przewidującej, że barwa rzucona znienacka, wybłyśnie jak jaskier w słońcu i oświetli cały pejzaż nie tylko swoją jakością ale i dopełniającymi tonami. Pejzaż musi być tak ułożony, żeby wszystkie przedmioty czekały na tę harmonię barwną.

Obraz w wyobraźni można roztęczyć i skromną szarością. Można mieć intensywnie barwną wizję rzeczy, ale nie nazywać wcale barw — a jednak je wywołać. Czy trawa bez przymiotnika „zielona" nie jest na wiosnę zielona i czy tysiączne odcienie tej zieloności nie błyszczą w słońcu? Ale to słońce musi wzejść w rytmie, w rymie, w każdym przegięciu słowa, barwa musi błysnąć nawet nienazwana w rytmicznym zdaniu.

Przebudzenie

Budziłem się — zdawało się, że trwało to bardzo długo — w dźwięku bliskich a zarazem oddalonych dzwonów. Dzwony biły potężnie, a jednak ich głos nie raził ucha, ucho było jakby spowite w aksamit, a i dzwon ukołysany jak rozkrzyczane dziecko. Tkliwość — jak dla dziecka — łagodziła i przemieniała huk dzwonów jakby w prawzór pierwszego rodzącego się dźwięku na świecie, w zmaterializowaną ideę dzwonu.

Otwarłem oczy: zegar ścienny bił w drugim pokoju godzinę dziewiątą. Rzeczywistość dźwięku, wzmożona o tę sekundę więcej jawy, wydała mi się rozwrzeszczana, jaskrawa, lecz — słaba i rozczarowująca. Ten sam dźwięk, przeniesiony w sen, był potężniejszy i przeistoczony. Jak przeistoczony?

Chyba podobnego rozczarowania doznaje się wtedy, gdy rozpoznaje się model pięknego obrazu, lub gdy poetycką wizję opowiada się i komentuje prozą.

Przemienienie

Są obrazy, które oko wciągają w siebie coraz głębiej (nie zależy to zgoła od perspektywy) i pozostają gdzieś daleko w abstrakcyjnej przestrzeni pamięci, wyraziste, nieruchome, w każdej chwili wymierne. Tak opanowuje oko np. Madonna Baldovinettiego w Luwrze — przedmiot mojej niezmiennej adoracji. Mogę ją wywołać z pamięci we wszystkich barwach i liniach, tak wyrafinowanie nawijających się na siebie: oto trwa ten obraz tuż przede mną, mogę go postawić wyjęty z oka na biurku, umieścić na tle drzwi czy okna. Ani on się nie zmieni, zamknięty w ramach, ani nie zabarwi, nie wzburzy liniami otoczenia.

I są obrazy, które wymykają się z ram (niezależnie od ich tektoniczności czy atektoniczności) i które widzę jak kolorami nasycają mi krajobraz, powietrze, przedmioty — wszędzie, w którą stronę spojrzę. Jest tak, jakby harmonie barwne miały chemiczną siłę przemieniania wszystkiego, co mnie otacza. Żeby uprzystępnić to wrażenie, przypominam efekt średniowiecznych witraży malujących przestrzeń katedry. Z obrazami, o których mowa, jest podobnie, tyle tylko, że światło słoneczne, które w witrażach wnika przez kolorowe szybki, to światło wypromieniowują farby na płótnie. Obraz trwa, a jest zarazem we wszystkim. Obraz jest sobą, a równocześnie wszystkim, co widzialne. Taki obraz stwarza cały świat widzenia.

Pamiętam, że tak przemieniła mi wzrok Madonna Sykstyńska w Dreźnie (którą przecież ktoś nazwał tylko kolorowanym rysunkiem, co prawda pełnym smaku), z tak przeistoczonym wzrokiem wyszedłem ze zbiorowej wystawy Cézanne'a. Pamiętam też „Gałązkę kwitnącego migdału" van Gogha, ona podobnie musnęła mi powieki.

Ze współczesnych malarzy polskich tylko Zbigniew Pronaszko „Portretem Zawieyskiego" tak uskrzydlił moje oczy.

Jeszcze o przekładzie

„Chodzi o to, aby przekład nie będąc dosłowny zachował sumę piękności, jaką zawiera oryginał. Tłumacz winien rekompensować piękności, którym w jednym miejscu nie dorównał, pięknościami, którymi w innym miejscu prześcignął oryginał" — oto myśl kołacząca się w głowach krytyków i tłumaczy. Myśl jeszcze Delille'a — może i słuszna w epoce poematów opisowych, w których zdania znaczyły tyle, co w prozie.

W nowoczesnej liryce słowo znaczy wielekroć razy więcej niż to, co by znaczyło w prozie. Utwory niektórych poetów są systemem aluzyj, w którym sens (nie tylko pojęciowe znaczenie) słowa jest pomnożony przez sumę znaczeń wszystkich innych słów w poemacie. Każdy wyraz jest wieloznaczną funkcją całości. Usunąć jeden wyraz — a poemat się wali.

Jakże przełożyć taki poemat? Trzeba by zrobić w obcej mowie jakby odlew oryginału, to jest dokonać natchnionej pracy, równej stworzeniu oryginalnego poematu. Po co więc tłumaczyć, gdy ten trud znaczy tyle, co tworzenie? Po co podkładać pod obcy tekst własny oryginał?

Takich wierszy nie można przekładać, można tylko — tworzyć, lub obcy tekst w przybliżeniu opisać, tj. podać, słowo po słowie, dosłowne brzmienie oryginału. Czuły słuchacz dośpiewa sobie poezję z surowej dosłowności.

Premedytacja

Młody poeta usprawiedliwia się, zapewniając, że niepoetyckiego zwrotu użył świadomie.

— Ależ nikt tego świadomego zamiaru nie spostrzeże — odpowiadam. Błąd popełniony z premedytacją przestaje być w poezji błędem, jeśli czytelnik odczyta nie błąd, lecz premedytację.

Recenzentom

Pewien recenzent malarski napisał niedawno — zupełnie poważnie — że dla oceny obrazu, przekształcającego wygląd przedmiotów, nie ma właściwie kryteriów (tzn., że on, recenzent, ich nie ma, że nie rozumie). Pomimo tego rozbrajającego wyznania nie pominął milczeniem eksponatów nienaturalistycznego malarstwa, pokazanych na Ogólnopolskim Salonie Zimowym w Krakowie i napisał stosownie do swojej bezradności — kilka nic nie znaczących frazesów.

Nie brak takich ograniczonych a zarozumiałych ślepców śród recenzentów i krytyków poezji. Jeśli poezja — powiadają — to musi być rytm i rym i poza zatrzaskiwaniem się ogranych współbrzmień i kołysaniem tradycyjnych „miar" — niczego nie słyszą i nie chcą słyszeć. Wszystkie utwory pisane wierszem nieregularnym nazywają awangardowymi, nie umiejąc odróżnić śród nich dobrych od złych. A przecież równie wiele pisze się złych wierszy „awangardowych", co tradycyjnych.

Forma zewnętrzna, ta, którą się chwyta pierwszym spojrzeniem czy usłyszeniem, niewiele świadczy o wartości utworu. O wartości poetyckiej mówi tak wiele spraw wiersza, że lektura ich wymaga uwagi, bystrości i — asu. Podobnie jak nigdy nie znuży oglądanie dobrego obrazu, bo oko ciągle odkrywa nowe, niedostrzeżone przedtem piękności — dobrym wierszem można się wzruszać ciągle.

(Wyraziłem kiedyś przypuszczenie, że dla przeczytania krótkiego wiersza trzeba tyleż czasu, ile na lekturę powieści. Jeśli przesadziłem, to tylko dlatego, że czasu na czytanie nowych powieści mam mało).

Odwaga

Najczęściej odwaga zapala się od odwagi. Nawet tchórz w otoczeniu junaków nabiera otuchy.

Trudniejszym stanem czy stopniem odwagi jest nieustraszoność, tj. nieuleganie nie tylko własnej ale i cudzej bojaźliwości. Widziałem żołnierzy, którzy w momencie ogólnego popłochu zachowywali zdumiewający spokój, ale bardziej zdumiewali mnie ci, przedtem tylko zwyczajni służbiści, którzy właśnie śród największej paniki — jakby mocą sprzeciwu — wydobywali ze siebie maksimum odwagi. Jakby ich odwaga potrzebowała pożywki cudzego tchórzostwa. Ileż próżności żywi odwagę!

Najtrudniej osiągalna jest odwaga, której ani nie wspiera cudza dzielność, ani która nie wybija się z tła ogólnego tchórzostwa: odwaga w grupie ludzi zrezygnowanych, bo brak jej nie może się wtedy wydać tchórzostwem.

Odwaga ujawniona śród ludzi, którzy zgodzili się na swój zły los, staje się ofiarą.

Przywilej

W ogonku ujawniło się, że mam kartkę żywnościową pierwszej kategorii. Stojąca za mną kobiecina zapytała: — A dlaczego?

Wyjaśniłem. Ale, wbrew słowom, miałem przykre poczucie jakiejś niezawinionej winy wobec tej posiadaczki kartki drugiej kategorii. Był to wstyd — przecież bez powodu — nieusprawiedliwiony wstyd z przymieszką nieokreślonej złości. Złości skierowanej przeciw komu? Przeciw tej kobiecie, przeciw sobie, przeciwko temu, że muszą jeszcze istnieć pierwsze i drugie kategorie?

Przywilej może wstydzić bardziej niż upośledzenie, ale najdrobniejsza różnica w społecznym przydziale dóbr nie tylko może, ale musi budzić niezadowolenie. Niezadowoleni, jeśli nawet wiedzą, że mogą winić tylko siebie, czują niewyraźnie jakąś — swoją czy nie swoją — rację ogólniejszej natury. „Drugiej kategorii", niezadowolonej, i „pierwszej", tej wstydzącej się, chodzi nie tylko o jeden bochenek więcej, chodzi, nieświadomie i przedwcześnie, o to prawo, które urzeczywistni — już nie dla nas — przyszłość. Streszcza je druga połowa znanego hasła. W niezgrabnym przekładzie brzmi: „każdemu — według jego potrzeb".

Julian Przyboś

---

wyobraźni wywołuje bardziej niż fizyczną, wstrząsającą niezaspokojeniem obecność mężczyzny. Cały dom przeżywa tę jedną sprawę. Niepokój wyrafinowanej, dusznej erotyki trwa w każdej chwili i w każdym kącie domu Bernardy.

W sztuce hiszpańskiego poety jest w sposób doskonały zsynchronizowana gwałtowność charakterów, przeżyć z wyrazem formalnym. Postacie mówiąc do siebie używają nieomal pierwotnych, biblijnych słów na wyrażenie dumy miłości („kiedy patrzę mu w oczy, to tak jakbym powoli krew jego piła") i nienawiści („Pewnego dnia zamknę się z nią. Na cały rok, słyszysz? I będę pluła na nią: to, Bernardo, za to, to za tamto, a to jeszcze za coś innego, a tamto za całą resztę i za wszystko").

Któryś z moich przyjaciół powodzenie groteskowej farsy „Arszenik i stare koronki" tłumaczył sobie powszechną potrzebą ucieczki od pamiętania w stronę irracjonalizmu i nieprawdopodobieństwa. Może. Doświadczeni jednak uciekinierzy wiedzą, że błądząc w przestrzeni bez celu, powrócą znużeni, lecz nie wyleczeni. Ci, którzy poszukują „évasion" na dwie, cięższe od innych godziny dnia, idą do kina. Ci natomiast, którzy pragną trwalszego wyzwolenia, szukają innych, lecz potężniejszych niż własne, namiętności, większych niż własne — klęsk, by przeżywszy je, móc o własnym losie chociaż przez chwilę pomyśleć z uśmiechem. Pragnący wyzwolenia znajdą sprzyjające warunki w dramatach Camusa Steinbecka, O'Neilla i Lorki.

Rzecz może paradoksalna, lecz sprawy minionej wojny, ze względu na wysoki potencjał przeżyć, mogą również stać się środkiem wyzwalającym. Ażeby tak jednak być mogło, trzeba nie tyle dystansu w czasie, ile w uczuciach. Trzeba, aby pisarz miał nie tylko odwagę zmagania się z tematem, lecz by umiał również pozbyć się kompleksów.

Wśród trzech francuskich sztuk o tematyce okupacyjnej jedna jest mierna, druga — odważna, a trzecia — arcydziełem.

„Zmarli bez grobu" J. P. Sartre'a drażnią nie tylko realizmem tortur—nieznośnych na scenie. Drażni również potraktowanie ruchu oporu jako ilustracji objaśniającej egzystencjalistyczny niepokój istnienia. Sartre przedstawia zamachowców — partyzantów, jako ludzi słabych, którzy w krytycznej chwili, w więzieniu przed przesłuchaniem, szukają gorączkowo sensu oczekującej ich śmierci. Sens ten znajdują przypadkowo, gdy do celi wprowadzony zostanie ich niezdekonspirowany przywódca. Mają już co zamilczeć na torturach. Lecz i to również służy Sartre'owi za narzędzie do wytworzenia ciężkiej atmosfery wzajemnej udręki. Pękła więź łącząca do niedawna tych ludzi. Oczekujący na wolność i spodziewający się śmierci nie mają sobie już nic do powiedzenia. Nie tylko to zresztą. Sartre nie rezygnuje nigdy z okazji ukazania absurdalności świata i postępków ludzkich. Więźniowie duszą najmłodszego towarzysza z obawy, by się nie załamał. Absurd nie tylko ich ale i widzów przytłacza. Po wypuszczeniu przywódcy walczą z niechęcią skorzystania z nadarzającej się sposobności uwolnienia. Mogą za uprzednią radą tamtego wskazać grotę, gdzie się przywódca ukrywa. (W grocie tej leży ciało zabitego partyzanta, które zostanie tymczasem zaopatrzone w dokumenty na nazwisko poszukiwanego przywódcy). Nie pragną już wolności obiecywanej im przez milicjantów. Gdy ustępują (deszcz wiosenny — najprawdziwszy akcent sztuki — przywraca im smak życia), okazuje się, że zmagania ich nie miały sensu. I tak zostaną rozstrzelani. Sztuka Sartre'a jest odstraszającym wzorem literatury czarnej, dławiącej.

„Podpalacze", debiut młodego dramaturga *Maurice'a Clavela*, jest ambitną i udałą próbą wniknięcia

ZBIGNIEW PRZYGÓRSKI

PRUSY WSCHODNIE PRZESTAŁY ISTNIEĆ

Ziemia jest nasza od wieków

Michał Kajka

Ktokolwiek przyjedzie dzisiaj na Warmię i Mazury, w pierwszym odruchu myślowym zada sobie pytanie, które zresztą zawiera już w sobie odpowiedź: gdzie się podziała ta przepotężna twierdza germańska, która zwała się Prusami Wschodnimi, a która przez cały ciąg historii Polski była zarzewiem niepokojów, stając się w roku 1939 bezpośrednią przyczyną i prowokatorką straszliwej rzezi światowej?

Dziecko polskie, uczące się geografii z nowej już mapy, nie zobaczy więcej w kolanie dolnej Wisły burej plamy z niemieckimi nazwami miejscowości. Nie znajdzie już ani niemieckich miast, ani wsi, ani gór, ani rzek, ani jezior. Nazywają się teraz po polsku. Powróciły do swoich starych nazw, które nam Niemcy w ciągu wieków „zeszwabili", tłumacząc je żywcem z polskiego na swój język, czy do źródłosłowu polskiego dodając niemiecką końcówkę.

Nowy indeks miejscowości w województwie olsztyńskim znakomicie ułatwi orientację każdemu turyście i dostarczy mu dużo okazji do rozmyślań, w jaki to ułatwiony sposób fabrykowało się niemieckość polskich osiedli. Oto dla przykładu kilka miejscowości w ich pierwotnym polskim brzmieniu, a następnie w brzmieniu zniemczonym:

Barciany (Barten), Biskupiec (Bischofswerder), Dajtki (Deuthen), Drygały (Drigelsdorf), Krutyn (Kruttinen), Łęgajny (Lengeinen), Ruciany (Niedersee) — ta ostatnia miejscowość była przez samych Niemców używana w brzmieniu polskim, Mikołajki (Nikolaiken), Pasym (Passenheim), Prosna (Prassen), Czerwonka (Rothfliess), Sarnowo (Scharnau), Jeziorany (Seeburg), Skandowo (Skandau), Ukta (Ukta), Wydminy (Widminnen) itp.

Repolonizacja nazw topograficznych nie jest rzeczą prostą ani łatwą. Na domiar jest to praca odpowiedzialna wobec narodu, jego historii i kultury. Niejednokrotnie trzeba dogrzebywać się właściwego brzmienia, ustalając je na podstawie tradycji ustnej czy starych kronik.

Szybkość, z jaką dokonano dzieła repolonizacji Warmii i Mazur na odcinku nazewnictwa, wystawia jak najlepsze świadectwo jego autorom. W chwalebnym pośpiechu popełniono oczywiście wiele błędów. Nie wiadomo na przykład, dlaczego piękną i starą nazwę **Łuczany**, która brzmiała dawniej Łocze, a później Łoczany (od źródłosłowu lot albo lod — zamarznięta woda — lód), a którą J. Szaflarski przemianował najniesłuszniej z niemieckiego Lötzen na Lec, ochrzczono ni stąd ni zowąd na **Giżycko.** Prawdopodobnie chciano uczcić w ten sposób znakomitego polskiego kaznodzieję z pierwszej połowy XIX w., Gustawa Giseviusa, który akurat z tą miejscowością nie miał nic wspólnego, gdyż urodził się w Piszu, a działał i zmarł w Ostródzie. Na pewno sam nieboszczyk nie przyjąłby tego spadku, wywołującego zresztą zastrzeżenia gramatyczne. Również w sferze domysłów pozostanie przemianowanie Wartemborka, miejsca urodzenia kompozytora Feliksa Nowowiejskiego, na Barczewo. Księdzu Barczewskiemu należał się „przydział" jakiejś miejscowości, ale właśnie Wartemborka nie można sobie nijak skojarzyć z żywotem tego światłego męża. Błędów takich popełniono więcej. Niech żywi i zmarli kruszą kopie z administracją o właściwe brzmienie nazw miejscowości na Warmii i Mazurach, dopóki nie staną się obowiązujące.

Otwarty i zawiły problem na Warmii i Mazurach stanowi repolonizacja nazwisk autochtonów. Ludzie ci noszą w większości nazwiska o brzmieniu niemieckim. Jest to również dzieło perfidnej polityki germańskiej. Miejscowy Polak nie mógł liczyć na żadne świadczenia ze strony władz niemieckich, dopóki nosił nazwisko polskie. Na zachowanie rodowych nazwisk polskich mogli sobie pozwolić albo Polacy materialnie niezależni od władz niemieckich, albo ludzie wyjątkowo twardzi, nie liczący się z następstwami oporu.

W posiadaniu Wojewódzkiego Wydziału Społeczno-Politycznego w Olsztynie znajdują się urzędowe dokumenty niemieckie, potwierdzające fakty niemczenia nazwisk polskich. Listy te będą pomocne przy repolonizacji nazwisk.

Pilniejszym bodaj zagadnieniem jest repolonizacja imion. Imię w większym stopniu niż nazwisko wrasta w osobowość człowieka. Tymczasem pośród Warmiaków i Mazurów spotyka się tylko imiona niemieckie, często starogermańskie, nie mające swych odpowiedników w kalendarzu słowiańskim ani katolickim. Przed szkolnictwem, duchowieństwem oraz organizacjami społecznymi i młodzieżowymi stoi tu wdzięczne zadanie.

Ale już po ulicach miast i miasteczek, po siołach, szkołach, urzędach i fabrykach rozbrzmiewa tylko mowa polska, zrozumiała dla wszystkich osadników i dla tubylczej ludności polskiej. Z pomników naszej przeszłości opadł pokost niemiecki, fałszujący ich polskie pochodzenie. Warmia i Mazury to istny skarbiec polskiej kultury, żeby wspomnieć tylko najważniejsze zabytki, jak katedra fromborska, zamek licbarski, tum braniewski, kościół w Świętej Lipce. Wystarczy przejść się po cmentarzach tej ziemi, a ujrzy się na starych nagrobkach przeważnie nazwiska polskie, a spod skruszałej farby na kaplicach przydrożnych, poświęconych kultowi św. Jana Nepomucena, tak rozpowszechnionemu w Polsce, wyzierają napisy w języku polskim.

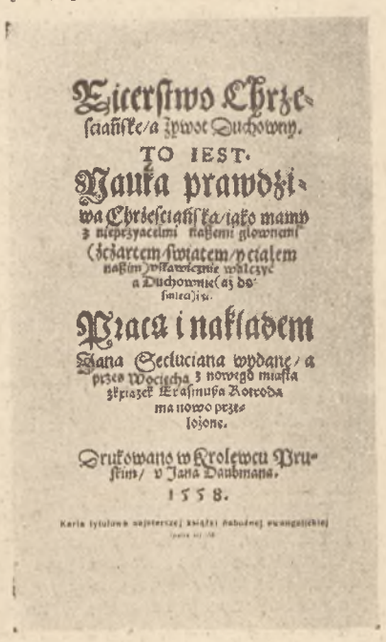
Wyznanie Chrześciańskie/ a żywot Duchowny.
TO IEST.
Nauka prawdziwa
Drukowano w Królewcu Pruskim/ v Jana Daubmana.
1558.

Stary druk

Pozostała ludność niemiecka, oczekująca repatriacji, cieszy się zupełną swobodą ruchów i słowa. Nie sposób przemilczeć brudu i niechlujstwa, jakie panują w mieszkaniach niemieckich. Czas obalić mit o niemieckim zamiłowaniu do porządku, stworzony przez blagierów teutońskich. Kiedy zabrakło chwilowo pracownika najemnego i utensyliów gospodarstwa domowego, „Mädchen" niemieckie zagnoiły własne mieszkania, które stały się wylęgarnią chorób epidemicznych.

W szerszym zakresie cała gospodarka niemiecka w Prusach Wschodnich obala mit o wyższości gospodarki „narodu panów". Były one balastem finansowym Trzeciej Rzeszy. Nastawione wyłącznie na wojnę, produkujące dla wojny, skoszarowane Prusy Wschodnie nie wyszły w wielu dziedzinach tutejszej gospodarki poza granice bezproduktywnego eksperymentu.

Znamy doskonale z czasów sześcioletniego „postoju" niemieckiego ten „wyższy poziom" produkcji niemieckiej, wprowadzany przez niemieckich dekowników i administrację. Polak, który w gorszych warunkach potrafi tworzyć rzeczy imponujące, z pogardą patrzał na niemieckiego pyszałka, powtarzającego jak papuga frazesy o własnej wyższości.

Toteż kiedy wynoszą się Niemcy z Warmii i Mazur, żegnamy ich z ulgą. Nie chcemy ich nawet jako robotników. Damy sobie radę sami, tak jak potrafiliśmy w niespełna dwu latach zaludnić puste obszary przywrócić im polskość, a nawet podnieść z gruzów produkcję.

I jeszcze jednego możemy Niemców nauczyć: poszanowania godności ludzkiej. A to jest bardzo dużo

Rok 1. Ełk (Łyck Ostpr.), na środę, dnia 15 lipca 1896. Nr. 54.
Gazeta Ludowa
Pismo poświęcone ludowi ewangielickiemu.
Bóg z nami!
Czy sól, czy guój?

Gazeta z końca ubiegłego stulecia

NIECH MÓWIĄ STARE DRUKI

Na czasy panowania Albrechta, ks. Pruskiego, tego, który w 1525 r. złożył hołd Zygmuntowi Staremu, przypada najświetniejszy okres rozwoju piśmiennictwa polskiego i polskiej kultury w Prusach Wschodnich.

Przy pomocy polskich uczonych założył ks. Albrecht uniwersytet królewiecki z językiem wykładowym polskim, łacińskim i niemieckim. Powstają na Prusach, jak np. w Ełku, pierwsze polskie drukarnie. Zaczynają napływać uczeni, pisarze, kaznodzieje i artyści, którzy piórem, drukiem i dziełami sztuki wyciskają na tej ziemi niezniszczalne piętno polskiej kultury. W ślad za pionierami myśli polskiej ciągną na Prusy liczne rzesze kolonistów polskich z pobliskiego Mazowsza, a nawet z odległych krańców Polski. Kiedy wspomina się ten wspaniały, historyczny pochód kolonizacyjny Polaków na Prusy XVI wieku, przychodzi na myśl akcja osadnicza ostatniej doby, w jakże odmiennym odbywająca się porządku. Pierwszy bowiem „rzut" osadniczy w roku 1945, nastawiony na łatwe wzbogacenie się, składał się z elementu ludzkiego, najmniej powołanego do pionierskiej roli osadniczej. Uczony zaś polski, literat i wielki artysta — to jeszcze dzisiaj rzadkie zjawiska na Warmii i Mazurach. Wstydliwa absencja naszej elity umysłowej w dziele osadniczo-repolonizacyjnym Ziem Odzyskanych nasuwa bardzo przykre refleksje temu, kto chciałby w warstwie tej widzieć postępowy czynnik w przełomowych momentach naszej historii.

Espansja polskości w Prusach Wschodnich XVI w. najpełniej wyraziła się w piśmiennictwie. Pojęcie o tym może dać „Pokaz druków mazurskich", zorganizowany przez Instytut Mazurski w Olsztynie.

Popatrzmy przez szyby gablotek na te skarby. Jest tu **Jan Maletius**, także **Sandeckim** zwany, jako że przybył aż ze Sącza i w roku 1536 założył w Ełku pierwszą drukarnię polską, w której wydawał katechizmy, Nowy Testament, Ewangelię oraz własne wiersze. Jest **Jan Seklucjan,** autor i wydawca licznych prac, przeważnie treści religijnej, **Stanisław Murzynowski,** przybyły z ziemi dobrzyńskiej, jeden z najbardziej wykształconych i zdolnych pisarzy XVI w., znawca hebrajszczyzny i greckiego, tłumacz z oryginału Czterech Ewangelistów. Jest i **Mikołaj Rej z Nagłowic,** który bywał częstym gościem u braci pisarskiej w Księstwie Pruskim i wydał tu w r. 1549 u Seklucjana swojego „Kupca". Jest orszak mniej znanych, lecz zasłużonych dla piśmiennictwa polskiego pisarzy i tłumaczy, jak **Wojciech z Nowego Miasta, Marcin Kwiatkowski** z Różyc, inaczej Płachta zwany. **Hieronim Malecki** z Krakowa, **Jan Radomski** z Nidzicy, **Samuel Dombrowski** z Litwy, autor popularnych na Mazurach kazań i kancjonału. Towarzystwo — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — repatriantów i autochtonów, które piórem gruntowało tu polskość.

Jest nade wszystko **Jerzy Wasiański,** pleban z Nidzicy, autor najpopularniejszego kancjonału, z którym Mazur nie rozstaje się od kolebki do grobu. Jest zwyczaj do dzisiaj przetrwały na Mazurach, że kancjonał ów dają rodzice noworodkowi do kołyski na szczęście, a nieboszczykowi towarzyszy ta księga w dalszej wędrówce, bo zabiera ją ze sobą do trumny. Podczas niefortunnego wysiedlania Niemców w roku 1945 w gronie wysiedlanych znalazło się wiele osób, które zrezygnowały z zabierania ze sobą do Reichu garderoby i żywności, natomiast z pietyzmem trzymały w ręku grubą książkę. Był to właśnie ów kancjonał Wasiańskiego, po którym poznawano rodowitych Mazurów. **Książce tej zawdzięczamy przetrwanie mowy polskiej na Mazurach.** Popularność, jaką sobie zdobyła, powinna naprowadzić naszych repolonizatorów na myśl, jaką drogą trafić do zamkniętych serc mazurskich, a duchowieństwu polskiemu, pracującemu na tych ziemiach uświadomić, jak potężna rola przypada mu w odbudowie polskości.

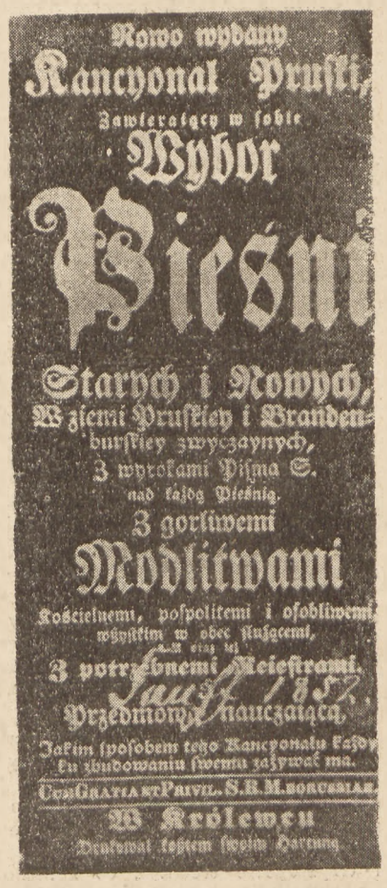
Nowo wydany
Kancyonał Pruski,
Zawieraiący w sobie
Wybor
Pieśni
Starych i Nowych,
W ziemi Pruskiey i Brandenburskiey zwyczaynych,
Z wyrokami Pisma S.
nad każdą Pieśnią.
Z gorliwemi
Modlitwami
Kościelnemi, pospolitemi i osobliwemi
wszystkim w obec służącemi.
Z potrzebnemi Regestrami.
Przedmowę nauczaiącą
Jakim sposobem tego Kancyonału każdy ku zbudowaniu swemu zażywać ma.
W Królewcu

Sławny kancjonał Wasiańskiego

Wiek XIX uświetniony jest takimi nazwiskami, jak **Krzysztof Celestyn Mrongovius** z Olsztynka, kaznodzieja, autor licznych prac literackich, miłośnik języka polskiego i bojownik mazurski, **Gustaw Gisevius** z Pisza, polski kaznodzieja, wielki patriota, działacz, bojownik, pisarz i poseł na sejm pruski do Berlina, **Marcin Gerss,** wydawca roczników Kalendarza Królewsko-Pruskiego i redaktor „Gazety Łeckiej", wreszcie **Wojciech Kętrzyński,** uczony historyk, chluba nauki polskiej, urodzony w Łuczanach (właśnie w Łuczanach, a nie w Giżycku) na Mazurach. Znana jest tragedia duchowa, jaką przeżył ten potentat nauki polskiej, wychowany do wieku dojrzałego jako Niemiec Adalbert von Winkler. Kiedy metryki rodzinne wykazały oszustwo niemieckie i ujawniły jego polskie pochodzenie, Kętrzyński odrzuca świetną karierę naukową, proponowaną mu przez Niemców, uczy się języka polskiego i poświęca pracy naukowej w Polsce, stając się rewindykatorem polskości Prus Wschodnich z okresu przedkrzyżackiego.

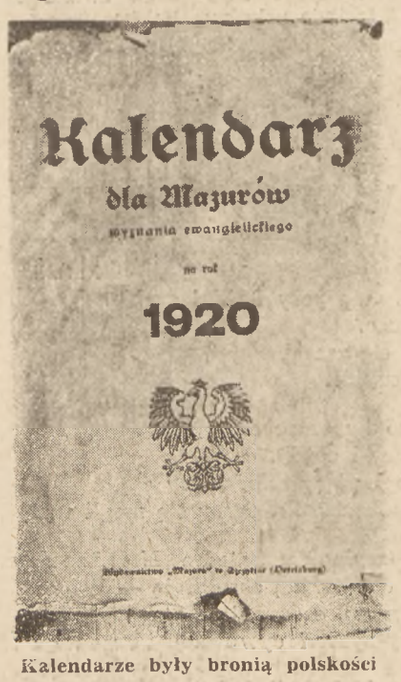
Kalendarz
dla Mazurów
ewangielickiego
na rok
1920

Kalendarze były bronią polskości

Innym „nawróconym Niemcem" jest **Jan Karol Sembrzyski** z Margrabowa, autor wielu prac o Mazurach, redaktor „Mazura" i kalendarza. Również dr Kurt Obitz, redaktor „Cechu", który odrodził się w polskości, mimo że ani z wychowania, ani z domu nie wyniósł tradycji polskich.

Osobną pozycję w piśmiennictwie mazurskim zajmuje **Michał Kajka,** wieszcz ludu mazurskiego, murarz z zawodu, samorodny talent poetycki, autor pokaźnej ilości wierszy religijnych, wielbiciel przyrody i języka polskiego.

Z żyjących zamyka listę pisarzy **Karol Małłek,** poeta regionalny, urodzony w Brodowie pod Działdowem, dyrektor Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach koło Pasymia, oraz **Emilia Biedrawina-Sukiertowa,** b. kustosz Muzeum w Działdowie, autorka licznych prac popularno-naukowych z zakresu wiedzy o Prusach Wschodnich.

Wystawa daje nadto szeroki przegląd polskiego czasopiśmiennictwa w Prusach Wschodnich, począwszy od pierwszej w Polsce gazety „Poczta Królewiecka", wychodzącej od 6 sierpnia 1718 do końca 1720 aż po „Gazetę Olsztyńską", wydawaną przez Seweryna Pieniężnego do 1-go września 1939 r.

JESZCZE O WARMIAKACH I MAZURACH

Wrzawa uczyniona dokoła zagadnienia polskiej ludności tubylczej na Warmii i Mazurach przyczyniła się do uzdrowienia stosunków. Na poprawne ułożenie się stosunków pomiędzy autochtonami a osadnikami wywarło też duży wpływ zdecydowane stanowisko rządu polskiego, przede wszystkim ministra Ziem Odzyskanych, gwarantujące miejscowej ludności polskiej pełne równouprawnienie obywatelskie oraz szczególną opiekę materialną i duchową.

Mazur i Warmiak nabrał zaufania do poczynań władz polskich, puszczając w niepamięć pierwsze krzywdy, doznane od żołnierza frontowego i leśnego rabusia. Dowodem tego zaufania jest solidarna postawa autochtonów w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Pozyskanie dla swej polityki ostrożnych i chłodnych mas autochtonów jest wielkim sucesem rządu.

Lud mazurski i warmiński nie oczekuje od rządu cudów. Wymagania jego są skromne. W masie swej rolniczy — pragnie mieć na gospodarstwie konia i krowę, jaki taki inwentarz, pragnie powrotu członków swych rodzin, wywiezionych za granicę, aby przy pomocy ich rąk zaorać i obsiać ziemię.

Całe zresztą zagadnienie tej rolniczej połaci kraju sprowadza się do zaorania i obsiania gruntów, leżących dotąd odłogiem. Dalsze zamierzenia, jak parcelacja wielkich latyfundiów pojunkierskich, budowa nowych osiedli na nich, to sprawy, które mogą być realizowane stopniowo w miarę wzrostu bogactwa państwa i jego zwiększonej zdolności kredytowania. Z chwilą, gdy ziemia wyda plon w ilości przekraczającej potrzeby spożywcze mieszkańców, może być mowa o tworzeniu wielkich gałęzi gospodarki rolnej, tj. przemysłu przetwórczego i hodowli na skalę ogólnokrajową.

Poważną ilość rąk roboczych można zdobyć przez repatriację autochtonów z Niemiec, krajów skandynawskich i Rosji. Tysiące młodych i zdrowych ludzi przebywa dotąd bezproduktywnie za granicą, wysługując się albo „bauerom" niemieckim, albo siedząc bezczynnie w obozach. **Ludzie ci chcą wrócić na swoją ziemię i do swoich rodzin.** Niemcy nie ustają w zabiegach, aby tych ludzi powstrzymać od powrotu. Są im oni potrzebni nie tylko jako doskonały element roboczy, ale też jako instrument wrogiej nam propagandy na terenie międzynarodowym.

Postylla
Domowa.

Postylla w przekładzie Hieronima Maleckiego z r. 1574

Widok Zamku Olsztyńskiego

Głośna jest w województwie olsztyńskim działalność byłego biskupa niemieckiego von Kallera, który samozwańczo objął „opiekę" nad Warmiakami i Mazurami, przebywającymi w obozie w Halle w Danii. Duszpasterz ten jest łącznikiem pocztowym pomiędzy członkami obozu a ich rodzinami w kraju, pozostaje na usługach propagandy niemieckiej i działa przy cichym poparciu Watykanu. Listy, które przesyła do kraju, opatruje podpisem: „Der Bischof von Ermland — Ostpreussen — z. Z. Halle (biskup warmiński z Prus Wschodnich, czasowo zamieszkały w Halle). Może by nasze placówki zagraniczne zainteresowały się losem polskich wygnańców, a dla duchownych „emigrantów" w rodzaju biskupa von Kallera wyjednały u ich protektorów odpowiedniejsze dla zawodu kapłańskiego posady...

CHCĄ CZYTAĆ I PISAĆ PO POLSKU

Wielowiekowa polityka germanizacyjna na Warmii i Mazurach poczyniła duże szczerby w polskości, lecz nie zdołała zabić mowy polskiej. Kultywowana w rodzinach polskich z pokolenia na pokolenie, mowa polska oparła się procesowi niemczenia i przetrwała. Stanowi dziś wymowny, mocniejszy od martwych pomników, bo żywy pomnik łączności tych ziem z resztą Polski.

Jeszcze w okresie plebiscytu w roku 1920 Niemcy redagowali ulotki i pisma propagandowe w języku polskim, bo język niemiecki nie byłby dla wszystkich zrozumiały. Ale od roku 1920 polactwo tutejsze poddane zostało bezlitosnej akcji wynarodawiającej i całe jedno pokolenie wyrosło w zupełnie luźnym kontakcie z wpływami polskimi.

Ludzie starsi, dla których wydawcy i działacze miejscowi, znający stopień zniemczenia, nie wahali się dla podtrzymania polskości drukować „krakowskim szryftem" czyli gotykiem, nie znają liter łacińskich — młodsze pokolenie zaś, silnie zgermanizowane, zna wprawdzie „łacinkę", lecz nie pojmuje znaczenia wyrazów czytanych. Jedni i drudzy są właściwie analfabetami. Sytuację pogarsza jeszcze powszechny prawie analfabetyzm wiejskiej ludności zabużańskiej. Ilość krzyżyków, stawianych na rozmaitych kwitach urzędowych i listach płacy zamiast podpisu, świadczy o tym dowodnie.

Wytworzyła się w Polsce tragiczna sytuacja. Kilka wielkich ośrodków, jak Warszawa, Kraków, Łódź, Katowice, Poznań, żyje bujnym życiem kulturalnym, a wielka część kraju z Ziemiami Odzyskanymi tonie w analfabetyzmie. Na łamach wartościowych i poważnych periodyków toczą się mądre dyskusje na tematy literackie, gospodarcze, polityczne, naukowe, a odzyskany po wiekach Polak oraz zaniedbany przez sanacyjne rządy kresowiak nie umie odszyfrować ani jednego zdania z gazety.

Paląca jest sprawa wznowienia przedwojennych wydawnictw dla autochtonów, jak „Gazeta Olsztyńska" i „Mazur". Trzeba by tym, którzy zachowali znajomość słowa drukowanego, dać do ręki pismo przystępne w formie i nawiązujące do miejscowych tradycji wydawniczych. Niech to będzie tygodnik gospodarczy, rolniczy czy młodzieżowy, ale niech wychodzi.

Na apel Polskiego Związku Zachodniego znalazł się tylko jeden ochotnik, który przyjechał do Olsztyna, przeprowadził rozmowy z miejscowymi kołami, przeliczył swój zamiar na monetę — i nie pokazał się więcej. Pisuje czasami do „Odrodzenia".

A gra jest warta świeczki. Fotel redaktorski po śp. Sewerynie Pieniężnym czeka na następcę. Kto go zajmie?

ZWYCIĘSTWO DOBRYCH MOCY

Za wcześnie jest jeszcze na podsumowanie wyników pracy na Warmii i Mazurach. Wszelkie tanie efekciarstwo gazetowe, wszelkie błyskotliwe przejaskrawianie dotychczasowych osiągnięć, w planowaniu długofalowym, na jakie musi się społeczeństwo polskie nastawić w odniesieniu do zagadnień Ziem Odzyskanych, przynosi w istocie więcej szkody niż korzyści.

Zdajemy sobie sprawę, że wraz z dziedzictwem lenna piastowskiego wzięliśmy na siebie olbrzymie zadania na miarę kilku pokoleń. My, tj. obecne pokolenie, zaledwie zapoczątkujemy te prace. Pokolenia, które przyjdą po nas, będą kontynuować rozpoczęte dzieło i omawiać wyniki, tj. błędy i osiągnięcia. Upraszczanie tych zagadnień, mechanizowanie ich, tak właściwe politykom, odziera ten kolosalny zespół problemów z perspektywy dziejowej, w jakiej należy je rozpatrywać.

Dużo danych wskazuje na to, że ten dziejowy proces dokona się szybciej na Warmii i Mazurach niż na Ziemiach Zachodnich. Niemcy bowiem nie pozostawili tutaj wielu śladów swojej kultury, uważając Prusy Wschodnie — jak powiedzieliśmy na wstępie — za militarną twierdzę wypadową do podboju Wschodu. Nawet placówki naukowe, jakie tu istniały, były tylko ekspozyturami central berlińskich, „opracowujących" zagadnienia wschodnie. Znakomicie ułatwia nam zadanie również fakt, że Niemcy wynieśli się z Prus Wschodnich, nie pozostawiając tu ognisk zapalnych. Na walkę z niemczyzną nie zużyjemy tu wcale energii. Pomostem zaś, po którym odbędziemy nasz pochód kulturalny na ziemię Kopernika, będzie żywa tradycja językowa i liczne pamiątki polskości w dolinie Łyny i Pasłęki. Szybkość, śmiałość i rozmach, z jakimi zrobiono pierwsze kroki w tym pochodzie, wystawiają dobre świadectwo rozumowi organizacyjnemu Polaków.

Upadek Prus Wschodnich — to symbol zwycięstwa mocy dobrych nad złymi.

Na ruinach głównej kwatery największego zbrodniarza świata zakwitnie pokojowa Polska.

Zbigniew Przygórski

K. I. GAŁCZYŃSKI

WJAZD NA WIELORYBIE

Natalii

Wodospad szyb. Huragan braw. Gap przy każdej szybie.
Od piątej rano gapili się na czczo.
I nagle piąta pięć! I ryk. I tak się zaczął
mój tryumfalny wjazd na wielorybie.

Światła były dziwaczne. Trudno by orzec dzień, czy
noc, a wiatr? wiatr, ten był szary i chyży.
Więc, widząc, co się święci, poetyzujący młodzieńcy
zakrzyknęli chórem: — Teraz nareszcie będziemy się mogli wyżyć.

Zwłaszcza, że w jednym ręku trzymałem katedrę N.-D.* ze złota,
a w drugim wielką zieloną gęś, umiłowaną córę moją —
i kiedym sunął szpalerem, słyszałem, co myśli hołota:
— Oto nadciąga jak wiatr arcy-apostoł cywilizacji „Przekroju",

z katedrą i z gęsią, organista i pirotechnik,
rozdarowujący się jak brzoskwinie tycjanowskiej Lavinii,
zaklęty w capa przez miłość, wyklęty przez „Tygodnik Powszechny",
Bacchus demokracji powracający z Indii.

Dorożkarze przed oberżami śpiewali Neptuna chwałę
hymnem akatystycznym, lecz, gdy zrobiło się ciemniej,
chcieli uciekać do domu. Stop. Bo dorożki zaczarowałem.
a wszystkie płaczące Izoldy miały kolczyki ode mnie.

Inteligenci tymczasem wertowali słowniki Larussa,
żeby pojąć, co to wszystko znaczy, czy to nie jest przypadkiem kino,
tym bardziej, że nade mną, bizantyjsko, płynęła moja Muza,
kobieta z oczyma Natalii, która jest niezweryfikowaną boginią.

W niebie zaczynała się groza. Nota bene była niedziela,
innymi słowy czerwone niebo i purpurowy rynek.
Na rynku koło południa wręczono mi order Breughela
pod dźwięki stu tysięcy z papugami katarynek,

które ustawione wzdłuż trasy, kręcone wprawnymi dłońmi
grzmiały, można powiedzieć, jak jedna cudowna trąba.
I znieruchomiało miasto. Z ludźmi. Z kwiatami. I z końmi.
Tulipany frunęły do nieba, a gwiazdy wytrysły na klombach.
(oczywiście)

Deszcz wtedy zaczął płakać jak turkusowa dziewczyna
zgwałcona dosyć podstępnie przez bardzo sprośne monstrum,
więc zsiadłem z wieloryba i rzekłem do Muzy: — Jedyna,
widzisz most? Rzekła: — Widzę. I poszliśmy razem do mostu.

Na moście wiatr włosy jej owiał. Księżyc rzęsy wydłużył srebrne.
Nogi przemienił w promienie, a w światło całą biedę.
Liczyliśmy struny nocy na palcach: raz, dwa, trzy, cztery.
Jak gitara miała siedem.

* Notre Dame

SEWERYN POLLAK

O tzw. „doborze naturalnym" przekładów

Nieraz zapewne czytelnik wierszy zastanawiał się nad tym, jakie pobudki skłaniają tłumacza do przekładania obcych poezji, czym tłumacz-poeta kieruje się przy wyborze tego a nie innego tłumaczonego autora i tych, a nie innych jego utworów. Zastanawiał się zapewne również i nad tym, czy istnieją jakieś prawa, które tym rządzą, i czy można by było je skonkretyzować, a może nawet ustalić i sklasyfikować. Na wszystkie te pytania w polskiej literaturze dotyczącej teorii przekładu, w literaturze tak ubogiej, że prawie nie istniejącej — brak właściwie odpowiedzi. Pisarz, który mógł napisać, a raczej stworzyć na naszym gruncie teorię przekładu poetyckiego, Franciszek Siedlecki, zdążył zaledwie naszkicować zarys tej szczególnej gałęzi teorii, którą można by nazwać socjologią przekładu.

Jeśli spróbujemy się zastanowić nad wysuniętymi powyżej zagadnieniami, to na pytanie, dlaczego się tłumaczy, bezpośrednio narzuci się nam odpowiedź: dla zapoznania czytelnika z nieznanym autorem czy tekstem. Ale te intencje poznawcze, będąc podstawową pobudką tłumacza poezji, nie są pobudką jedyną. Gdyby tak było, to po wyczerpaniu pewnego zasobu lepszych, nadających się do tłumaczenia utworów obcej poezji, stanęlibyśmy wobec konieczności tłumaczenia wyłącznie bieżącej produkcji. Tymczasem tak nie jest — wiemy, iż niektórzy poeci (a z utworów ich nie zawsze najbardziej dla nich reprezentatywne, lecz za to prawie zawsze te same) doczekali się wielokrotnych tłumaczeń, gdy dzieła innych autorów, równie godne przekładu, tego zaszczytu nie zaznały.

W tym „doborze naturalnym" przekładów działają dwa bardzo istotne czynniki: współzawodnictwo i umiłowanie. Zajmijmy się najpierw drugim z nich — umiłowaniem, gdyż na tym tle uplastyczni się nam właściwa rola współzawodnictwa w przekładach poezji.

Każdy z nas ma swoich ulubionych poetów, swe ulubione wiersze. Powraca się do nich częściej niż do innych, przypomina się je sobie przy odpowiednich okazjach, ma się do nich żywszy niż do innych utworów poetyckich stosunek emocjonalny.

Pewne nasze właściwości psychiczne skłaniają nas do tych utworów, pozwalają nam je zapamiętać, każą żywiej niż na inne utwory reagować. Tłumacz poezji, tak jak i czytelnik, nie jest wolny od tych umiłowań, a suma ich, zestawienie ulubionych pisarzy, więcej nawet, bo ich poszczególnych wybranych utworów, dać nam może nie tylko ściśle określony obraz zainteresowań tłumacza, lecz nawet wyznaczać jego postawę wobec zjawisk literatury, co więcej, w pewnym przybliżeniu pozwoli na określenie jego stanowiska społecznego.

„Przy zastąpieniu wszelkich sprawdzianów obiektywnych wewnętrzno-subiektywnymi „upodobaniami", oblicze ideologiczne, postawa duchowa danej jednostki stokroć pełniej ujawnia się w wyborze tekstów przez tłumacza niż w wyborze „tematu", „koncepcji" itd. przez poetę. Tłumacz ma do czynienia z gotowym już dziełem poetyckim, z gotowym pełnym obrazem artystycznym. Stąd też stokroć łatwiej mu symulować jakąś postawę duchową w tłumaczeniach niż we własnej poezji. Z drugiej jednak strony w chwili szczerości, przy zrezygnowaniu z blagi, przy pofolgowaniu ukrytym chęciom, właśnie w doborze tekstów przez tłumacza, w całej pełni ujawnia się niczym już nie zamaskowane, ani zewnętrznymi okolicznościami nie przesłonięte duchowe oblicze poety-tłumacza".

Te przytoczone powyżej zdania Franciszka Siedleckiego potwierdzić mogą zupełnie obiektywnie sprawdzian w postaci porównawczej analizy formalno-językowej oryginału i przekładu.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład: W „Kolei żelaznej" Niekrasowa znajdują się trzy strofy, które w dosłownym przekładzie brzmią mniej więcej tak: „Dały się słyszeć groźne okrzyki, tupanie i zgrzyt zębów. Na zamrożone szyby spadł cień... Co to? Tłum umarłych". Umarli ci mówią: „Traciliśmy siły w upale i chłodzie. Z wiecznie zgiętymi grzbietami mieszkaliśmy w ziemiankach, walczyliśmy z głodem, marzliśmy i mokli, chorowaliśmy na szkorbut. Grabili nas umiejący czytać dziesiętnicy, naczelnicy bili, nędza przygniatała. Wszystko znieśliśmy, my, bojownicy boży, spokojne dzieci pracy".

Tłumaczył w swoim czasie ten wiersz Wiktor Gomulicki, zdolny, zasłużony poeta. Pomijam już, że obrał niezbyt może szczęśliwy sposób transponowania czterostopowego wiersza daktylicznego na cztero i trzystopowe trocheje, co zmusiło go zresztą do nadmiernego streszczania się — te zagadnienia w tej chwili nas nie obchodzą. Ważniejsze jest co innego: zamiast **groźnych** okrzyków w tekście Niekrasowa w przekładzie Gomulickiego mamy **rzewne jęki**, a tłum umarłych zmienia się w **upiorów tłum.** Strofa następna wygląda tak w tym przekładzie:

„Myśmy długo się porali
Z głodem i chorobą.
Deszcz nas moczył, mróz odrętwiał,

Czart wodził za sobą.

Zamiast zdania: „wszystko znieśliśmy"... itd., Gomulicki pisze:

„Bito nas i okradano —

Taka wola boża!

Powie ktoś: o czym tu mówić, nieudolny przekład i tyle. Nie, nieprawda — przekład w ramach owoczesnych pojęć był najzupełniej poprawny, a zmiana metryki i pewne przeinaczenia tekstowe całkowicie dopuszczalne. Wystarczy przypomnieć sobie, że we wcześniejszym jeszcze przekładzie Puszkina z mickiewiczowskich „Czatów", wojewoda nie jest ani zdyszany, ani nie wybiega z ogrodowej altany, jak to zauważył już jeden z krytyków.

„Bojownicy boży" i „taka wola boża" to już tak wyraźna przeciwstawność pojęć i charakteru emocjonalnego, że należałoby posądzić Gomulickiego o złą wolę, gdybyśmy nie wiedzieli, że zmiany te powstały poza świadomością tłumacza, uwarunkowane różnicą kanonów estetycznych Niekrasowa i Gomulickiego, różnicą, która jednocześnie jest wskaźnikiem odrębnych ideologicznych postaw poety i jego tłumacza.

Niekrasow, poeta rewolucyjny, wyzbyty szablonu romantycznego, racjonalista przy tym, nigdy nie uzasadniłby nędzy robotników budujących kolej żelazną dopustem bożym — mógłby to chyba powiedzieć w sensie ironicznym, tak samo jak nie mówiłby o upiorach, mając na myśli umarłych z głodu przy katorżniczej pracy, gdy dla Gomulickiego, wychowanego na poetyce romantycznej, demokraty, lecz nie rewolucjonisty bynajmniej, zarówno romantyczne stylizacje, jak i katolickie fatalistyczne podejście do spraw społecznych było właściwe.

Z tego przydługiego, lecz niezmiernie dla naszych rozważań charakterystycznego przykładu wniosek nasuwa się jeden: tłumacz, należąc do określonej grupy literackiej, a tym samym społecznej, świadomie czy nieświadomie przesiąka kanonami estetycznymi swego środowiska i tłumacząc utwór pisarza reprezentującego obcy mu układ społeczno-estetyczny, mimo woli właściwości stylistyczne danego autora, będące produktem środowiska, które go wydało, które reprezentuje — dostosowuje do swoich własnych.

Nie wiem, czy mają całkowitą rację formaliści, gdy twierdzą, że w stylu odzwierciedla się psychika pisarza, jego postawa wobec życia, a także jego stanowisko klasowe, lecz to pewne, że każda epoka, każdy prąd literacki ma swój odrębny styl i że grupa społeczna, na której podłożu powstał dany kierunek literacki, wyciska na stylu tego kierunku swoje piętno.

Jedynie tłumacz, któremu autor tłumaczony jest bliski zarówno przez swą postawę społeczną, jak i artystyczną, zdoła sprostać swemu zadaniu i dać w obcym języku równorzędny ekwiwalent, nie tworząc falsyfikatów pod względem ideologicznym i artystycznym. Niech ekspresjonista nie usiłuje tłumaczyć pseudoklasyka, niech realista nie porywa się na utwory symbolistów — nic z tego nie wyjdzie, albo wyjdą — nawet pomimo uczciwych intencji tłumacza — karykatury, falsyfikaty.

Powtórzę tu słowa, które kiedyś napisałem w „Kuźnicy" z okazji omawiania zagadnień z zakresu teorii przekładu również jak i teraz na marginesie pracy nad antologią poezji rosyjskiej: „Wybór autora, a nawet określonego utworu do tłumaczenia nigdy nie jest bez kozery — odgrywa tu rolę zarówno tak zwane „zapotrzebowanie społeczne", jak i zainteresowanie tłumacza. W danym okresie historycznym powstają zainteresowania obcym pisarzem czy to na drodze analogii, to znaczy, że obcy pisarz reprezentuje te aktualne w danej chwili tendencje, które na innym terenie zapanowały wcześniej — czy też prawem kontrastu. I nie było doprawdy dziełem przypadku, gdy w okresie okupacji zaczytywano się „Wojną i pokojem" Lwa Tołstoja, a jednocześnie, gdy w tym czasie zastałem jednego z moich przyjaciół zaczytanego w „Księciu" Macchiavellego".

Tłumacz, mimo woli nawet narzucając tłumaczonemu utworowi swoją interpretację, odzwierciedla w przekładzie swój stosunek do utworu, swój styl, swoje chwyty i nawyki literackie. Nawiasem mówiąc, to jest właśnie przyczyna, że przekłady „starzeją się", że z każdą nową epoką nowe pojmowanie dzieła literackiego narzuca konieczność nowych przekładów. „Zapotrzebowanie społeczne" niejednokrotnie zmienia przekład w oręż walki politycznej. Za przykład mogą tu służyć tłumaczenia szekspirowskiego „Koriolana". Taki był przekład rosyjski „Koriolana", dokonany przez Drużinina w siódmym dziesiątku lat zeszłego stulecia. K. Czukowski, znany krytyk rosyjski, cytuje list Turgieniewa do Drużinina: „Miał pan cudowny pomysł, aby tłumaczyć „Koriolana". Przypadnie on panu do smaku, o najmilszy z konserwatystów".

A w 1934 roku, gdy reakcja francuska toczyła najzawziętsze walki, w Comédie Française wystawiono sztukę Szekspira pod takim znamiennym tytułem: „Tragedia o Koriolanie, wolny przekład z angielskiego tekstu Szekspira, przystosowany do warunków francuskiej sceny". To przystosowanie polegało na tym, że tłumacz uczynił z Koriolona idealnego dyktatora faszystowskiego, który ginie tragicznie w nierównej walce z demokracją, jak powiada Czukowski, u którego zaczerpnąłem ten przykład.

Ale po co uciekać się do przykładów obcych. Niedawno, gdy ukazał się numer „Kameny" poświęcony Błokowi, w „Kuźnicy" rkm zarzucił red. K. A. Jaworskiemu, że „wybór przekładów dokonany został w sposób niezbyt szczęśliwy i że wystarczyłby raczej krótki wybór najbardziej istotnych dla twórczości Błoka wierszy, zwłaszcza o charakterze społecznym, z pominięciem całego szeregu utworów restauracyjno-mistycznych". Nożyce w postaci nieprzejednanych „Wiadomości" londyńskich oczywiście się odezwały. Autor noty w „Wiadomościach" zarzucił krytykowi błokowskiego numeru „Kameny" naśladowanie wzorów sowieckich, gdzie rzekomo przebiera się nawet Puszkina w bluzę robotniczą itd., itd. Istotnie, i rkm w „Kuźnicy" i Theates w nieprzejednanych „Wiadomościach" kierowali się intencjami politycznymi — quod erat demonstrandum.

Tak więc „umiłowanie", określone i zdeterminowane, nie jest najczęściej, jak widzimy, przypadkowe. O „czystym" umiłowaniu można by mówić chyba tylko przy tłumaczeniach klasyków greckich czy rzymskich, gdzie łatwiej jest tłumaczowi zdobyć się na obiektywny stosunek do utworu, w przeciwieństwie do utworów żywych, wywodzących się z okresów społeczno-literackich, które tak czy inaczej jeszcze na nas wpływają.

Od umiłowania krok tylko do współzawodnictwa. Oczywiście współzawodnictwem będzie ponowny przekład dokonany z pobudek przystosowania do zmienionych warunków społecznych i gustów literackich. Często jednak się zdarza, że w obrębie jednego panującego w danym czasie stylu literackiego powstaje prawie jednocześnie kilka przekładów tego samego utworu. W tym wypadku działa wbrew pozorom nie wyłącznie czynnik emulacji, by stworzyć przekład lepszy pod względem artystycznym, nie wyłącznie współzawodnictwo kunsztu tłumaczeniowego, lecz również wspomniana już przeze mnie „moda" na pewne utwory, „umiłowania" i zamiłowania tłumacza.

*

Leon Gomolicki w przedmowie do mającej się wkrótce ukazać w opracowaniu Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka antologii poezji rosyjskiej stwierdza, że „musiały odbić się na wyborze indywidualne gusty poetów-tłumaczy, którzy stworzyli własną hierarchię wartości, odbiegającą nieco od hierarchii już w rosyjskiej literaturze ustalonej... Czytając polską antologię poezji rosyjskiej, należy pamiętać, że antologia ta nie jest mechanicznym układem zamówionych przekładów, ale jednocześnie antologią polskiej poezji w jej dziale tłumaczeniowym".

W ten sposób pojęta antologia staje się obrazem gustów i „umiłowań" poetów polskich, a przez to — pośrednio oczywiście — obrazem ich zainteresowań społecznych, rozpiętości ich postaw ideologicznych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że fazy zmian prądów artystycznych i społecznych w poezji rosyjskiej i polskiej nie pokrywały się ze sobą. Nie często zdarzało się, by poeta rosyjski znalazł tłumacza o podobnej postawie ideologicznej i artystycznej. Najczęściej zresztą jest to możliwe, gdy poeta i jego tłumacz żyją współcześnie, jak w wypadku Puszkina i Mickiewicza, Niekrasowa i Syrokomli. Ale właśnie owo niepokrywanie się faz daje nam sposobność do wykrywania zasadniczych praw oddziaływania na siebie obcych literatur, wiązania kultur.

Zasadniczy trzon antologii stanowią pisarze, którzy odegrali wybitną rolę w historii poezji rosyjskiej, a nazwiska dla poezji tej pod każdym względem reprezentatywne. Autorzy antologii traktowali przy tym tych najbardziej znamiennych dla rozwoju poezji rosyjskiej pisarzy nie tylko jako przedstawicieli pewnej formy literackiej, jako twórców pewnych nowych kierunków poetyckich, nie tylko pod kątem widzenia czysto estetycznym, lecz również pod kątem widzenia ich roli społecznej. Najwięcej miejsca poświęcono w antologii autorom, którzy najdobitniej wyrażają swoją epokę, w których twórczości ostro zarysowuje się poczucie rzeczywistości socjalnej. Pisarze ci są niejako słupami fundamentalnymi, na nich opiera się zasadniczy zrąb antologii. Będzie to Puszkin i Lermontow, którzy najpełniej wyrazili rzeczywistość historyczną pierwszej połowy XIX wieku, będzie Niekrasow, który jeden z pierwszych potrafił zerwać z tradycją szlachecką w poezji, sięgając do źródeł ludowych, rewolucyjnych, będzie to wreszcie Błok, który wyraża najpełniej łamanie się inteligencji rosyjskiej pierwszych lat XX wieku z wiedzą o konieczności rewolucji. Będą to poeci, których twórczość jest nie tylko przełomem w rozwoju pewnych form literackich, walką nie tylko o nowe formy, lecz o własną postawę duchową. Walka jest wyrazem sprzeczności tkwiących w tych pisarzach i będących jednocześnie sprzecznościami epoki.

Nie mogli jednak być pominięci w antologii poeci o postawie indywidualistycznej, jak Tiutczew czy Fiet, gdyż odegrali oni wybitną rolę w dziejach liryki rosyjskiej. Te same względy kierowały autorami przy włączaniu do antologii parnasistów rosyjskich, a także klarysty Kuzmina.

Wacław Borowy w swej znakomitej antologii „Od Kochanowskiego do Staffa", obejmującej około 400 lat poezji polskiej, główny nacisk położył na stronę estetyczno-formalną, unikając utworów o charakterze społecznym czy politycznym. Autorzy antologii „Dwieście lat poezji rosyjskiej" wyszli z założenia wręcz przeciwnego. Antologia ta, nie pomijając bynajmniej wartości estetycznych, podkreśla te utwory, które będąc wysokimi dziełami sztuki jednocześnie dają świadectwo rzeczywistości historycznej danego okresu. Nie znaczy to oczywiście, aby utwory te, odzwierciedlając współczesność, prądy i starcia społeczne swego okresu, musiały za temat mieć zagadnienia polityczne. Nie wszyscy poeci, jak Niekrasow czy Majakowski, upolitycznili swą poezję, natomiast wszyscy, choćby mimo woli, dawali w swej twórczości wyraz zagadnieniom, prądom i antynomiom współczesności. Nawet w poezjach Tiutczewa i Pastiernaka w sposobie ich widzenia i odczuwania świata przejawia się okres historyczny, w którym żyją.

Znaleźli również miejsce w antologii poeci pomniejsi, satelici tych, których twórczość wytyczała nowe drogi w poezji rosyjskiej. Tacy poeci, jak Majkow czy Nikitin, nie mogli być pominięci, gdyż równie jak wielcy a może nawet w sposób bardziej bezpośredni odzwierciedlają w swej twórczości prądy epoki, ponieważ rzadziej wybiegają naprzód.

Jeśli chodzi o dobór tekstów, to autorzy antologii w zasadzie posługiwali się istniejącym już, gotowym materiałem. Autorzy wychodzili w tym wypadku z podwójnego założenia. Po pierwsze nie zamawiali nowych przekładów, ponieważ opierali się na założeniu wielokrotnie udowodnionym zresztą w praktyce, że tego rodzaju zamawiane przekłady rzadko kiedy udają się tłumaczom, że dobry przekład jest czymś wyjątkowym i rzadko kiedy można go sprowokować.

Po drugie, jak już była o tym mowa powyżej, omawiana przez nas antologia, w odróżnieniu od wszystkich innych antologii poezji obcej, nie tylko daje przegląd poezji rosyjskiej na przestrzeni dwustu lat, lecz również obraz stu pięćdziesięciu lat wysiłków tłumaczy polskich, chcących przyswoić literaturze naszej poezję rosyjską. Kierowali się oni przy tym zarówno intencjami poznawczymi, jak i umiłowaniem, co również odbiło się na doborze tekstów.

Ażeby zobrazować te wysiłki, wydobyte zostały z zapomnienia takie przekłady jak Jana Kruszyńskiego „Oda" Łomonosowa, jak ks. Ignacego Szydłowskiego tłumaczenie „Ody do Boga" Dierżawina, o którym wspomina w wykładach o literaturze słowiańskiej Mickiewicz, jak przekłady Franciszka Salezego Dmochowskiego z Kryłowa, Trembeckiego z Nieledinskiego-Mieleckiego, jak liczne tłumaczenia Syrokomli, jak przekład wiersza Lermontowa dokonany przez Żeromskiego.

Zestawienie szeregu przekładów tłumaczy żyjących w różnych epokach, różne mających poglądy na samą metodę tłumaczenia, niewątpliwie wpłynęło na pewną niejednolitość stylistyczną antologii, lecz okupione zostało uzyskanym ubocznie obrazem dziejów przekładu z poezji rosyjskiej. Przy tym autorzy antologii starali się zgromadzić liczne stosunkowo w poezji rosyjskiej polonica. Są one dowodem ciągłości relacyj kulturalnych, które istniały mimo politycznej wrogości. W ten sposób polscy tłumacze poezyj rosyjskich dawali wyraz temu, co sformułował w Ustępie III-ej części „Dziadów" Mickiewicz:

Ich dusze wyższe nad ziemskie przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody:
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.

Dziś antologia zaświadczy o tym, że nawet nurt dzielący spokrewnione skały — zmienił swój bieg.

Seweryn Pollak

OD ADMINISTRACJI

Z dniem 1 kwietnia administracja „Odrodzenia" przeniesiona została do Warszawy. Zamówienia prenumeraty oraz wszelką korespondencję kierować prosimy na adres: Administracja Wydawnictw „Czytelnika", Warszawa, Daszyńskiego 16. Pieniądze na prenumeratę wpłacać prosimy na konto czekowe w PKO. nr I-4739.

MARIA DANILEWICZOWA

CZŁOWIEK Z KURZU

— Proszę chwilę poczekać, zaraz będę wolny.. Więc, panie kolego, jak to już powiedziałem, granice wiedzy rozszerzają się atakami, podstępem, od wypadku do wypadku. Jakiś Archimedes siedział za długo w kąpieli, jakiemuś Newtonowi jabłko spadło na nos — i oczywiście, mówi się, że „luka w naszych wiadomościach została wypełniona". Kraść musimy, panie kolego, kraść u Natury, która robi z nas durniów, która dzieci nasze czyni analfabetami, zaczynającymi od początku. Jak tu mówić o postępie w takich warunkach? Jak świat może iść ku lepszemu, gdy traci się dwadzieścia kilka lat życia na zdobycie podstawowych wiadomości... Nic z tego nie będzie.

Tu profesor uderzył zamaszyście ręką w stół, wzbijając tumany kurzu ze stosów starych korekt, zmieszanych z korespondencją i gazetami. Wokół, jak okiem sięgnąć, piętrzyły się stosy książek, których półki, szafy i koszykowe etażerki pomieścić nie mogły. Wyłysiała ceratowa kozetka uginała się pod ciężarem czasopism, powiązanych sznurowadłami w roczniki, w oczekiwaniu oprawy, na którą jakoś nigdy nie było pieniędzy.

Słuchacz, dzielący krzesło ze zbiorowym wydaniem pism Syrokomli, otwierał raz po raz usta, by przerwać przydługi monolog, i kręcił, że tak powiem, półgębkiem po wystających drzazgach zdezelowanego siedzenia. Speszony student przestępował przy drzwiach z nogi na nogę, miętosząc kopertę listu polecającego.

— W jakiej sprawie? — spytał go wreszcie szorstko profesor.

— Panie profesorze, proszę pana profesora, przepraszam — wyrzucał z siebie pośpiesznie. — Pan profesor Ujejski poradził, żebym przyszedł tutaj, bo piszę pracę seminaryjną... „Barwa i dźwięk w „Marii" Malczewskiego"... mam tu bibliografię, ale niepełną, i potrzebne mi...

— A czemu pan nie idzie do Biblioteki Uniwersyteckiej i do tych wszystkich waszych zakładów, jak je tam zwał...

— Pan profesor Ujejski...

— Wiem, wiem... I bez tego dostałby pan, co trzeba. Tylko kolegów proszę mi tu nie sprowadzać, bo krzeseł nie mam w bibliotece. Warrus, spacer...

Na dźwięk tych słów urwał się akompaniament równego, smakowitego chrapania towarzyszący dotąd rozmowie. Z wolterowskiego fotelu zwlókł się leniwie opasły czarny jamnik, opuszczający wygodne legowisko w dwu tylko wypadkach: na brzęk blaszanej miski lub zawołanie: „spacer". Dla obu — psa i pana — oznaczały one to samo: przy jako tako regularnych posiłkach trzymał profesora tylko obowiązek karmienia psa. Z koniecznością wyprowadzania Warrusa wiązały się znów krótkie i jedyne chwile pobytu na świeżym powietrzu.

— Warrus, do nogi... Spacer potem. Więc, proszę pana, jak tam panu, niech pan siądzie spokojnie na fotelu i przejrzy sobie to wszystko. Będzie z tego nowe wydanie mojej bibliografii literatury, jeśli w ogóle wyjdzie...

— Mówił mi właśnie pan profesor Ujejski...

— Wiem, wiem. Lepiej, żeby nie mówił, ale żeby zmusił Kasę Mianowskiego do wyłożenia pieniędzy na druk.. Węża mają w kieszeni, co tam mówić... Co jeszcze panu trzeba...

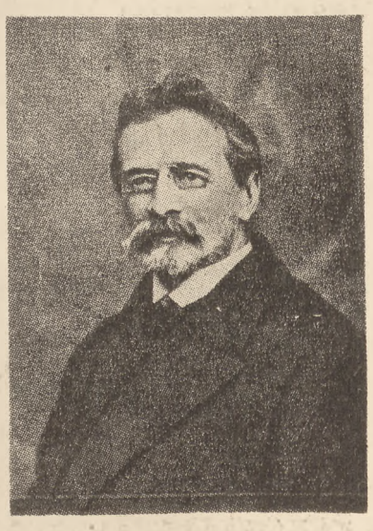

Gabriel Korbut

— Chciałbym przejrzeć lipskie wydanie „Marii" i...

— To już dosyć. Na dziś panu wystarczy. Nad pracą trzeba posiedzieć parę miesięcy, spodnie wyświecić, dorobić się dziury na łokciach.

Student siadł pokornie w fotelu i z miejsca, gorączkowo zaczął robić notatki. Warrus obwąchiwał podejrzliwie jego buty. Profesor wrócił do gościa. Ten zagaił pojednawczo.

— Cóż, panie profesorze. Rację miał Anatole France, stary nasz przyjaciel, gdy orzekł, że najprzyjemniejszą lekturą jest czytanie katalogów antykwarskich.

— Jak dla kogo, jak dla kogo... Jeśli ktoś może rzucać pieniędzmi na prawo i lewo, to może mu i przyjemnie. Mnie nieprzyjemnie... Ten gałgan Fiszler ze Świętokrzyskiej co roku przedrukowuje stary katalog, ceny tylko mnoży przez dwa, jakby odstraszyć chciał do reszty starych klientów... Dziesięć lat temu do mieszkania do mnie przychodził, a dziś...

„Człowiek z kurzu" zasapał się ze złości. W szarzyznę książkowego pyłu zlały się krzaczaste jego brwi, kosmate ubranie, brudne szyby okien pracowni, stosy wycinków i starych korekt...

— A przecież — podjął gość — na Świętokrzyskiej można jeszcze czasem coś upolować. Mój Zan...

— Jaki Zan? Co znowu...

— Zan, Tomasz Zan, filomata. Przyszedłem właśnie, żeby się pochwalić, ale pan mi dojść do słowa nie daje. Kupiłem portret Zana z zesłania, gdzieś na Syberii malowany — i zapłaciłem...

— Wolę nie wiedzieć ile.

— Dwanaście złotych. U tegoż Fiszlera.

Profesor zamarł w bezruchu. Słońce, odbite od szyb przeciwległej oficyny pałacu Staszica, wtargnęło jasną smugą do pokoju, wydobywając na jaw miliony drobin kurzu, pląsających wesoło w blaskach zachodu. Zza okna, poprzez zgrzyt tramwajów na Nowym Świecie, doszła zniekształcona, uproszczona i ledwo poznawalna aria z „Poławiaczy pereł" w wykonaniu ulicznej katarynki, spod dziecięcego szpitala czy też może z placyku przed Ubezpieczeniami. Gość ciągnął dalej.

— Zaszedłem tam wczoraj, bo mi potrzebna była rozprawka Surowieckiego „O upadku przemysłu i miast w Polszcze". Aż tu patrzę, oczom nie wierzę: Zan. Znałem ten portret z kopij i przerysów. A tu oryginał, poczułem to od razu nosem. Więc rzuciłem się na Surowieckiego i udaję, że portret nic mnie nie obchodzi. Wreszcie, na odchodnem, pytam od niechcenia: „A to co znowu?" A Fiszler mi klaruje, że to znakomity portret nieznanej osobistości pędzla wielkiego nieznanego mistrza. Dla znawcy i przyjaciela, jak niby ja, ustąpi za dwadzieścia złotych. Targ w targ, kupiłem za dwanaście, gdyż — jak się okazało — rama była tyle warta.

Profesor rzucił się ku półkom. Wydawało się, że wyzwolił się z więzów materii. Starożytni Babilończycy, przerzucający od niechcenia tysiące cegiełek z napisami klinowymi w poszukiwaniu cytaty, dorównywali mu może, gdy, zawiesiwszy się jedną nogą o półkę a drugą balansując w powietrzu, gdzieś u sufitu samego, rękę jak szpon wysuwał, by — nie patrząc — schwycić potrzebną książkę.

— Ten portret?

— Tak — padła spokojna odpowiedź — Tylko w oryginale daje to zupełnie inne wrażenie. Oczy mówią, czoło ma zarys szlachetniejszy...

— Czy Fiszler już wie?

— Wie. Byłem właśnie u niego. Myślałem, że podskoczy. Tymczasem nic, nie widać, żeby żałował, że sprzedał za tanio. Aż mi się zrobiło nieprzyjemnie. Pytam, ile zarobiłem, a on mi na to: „Pan wizytator w tym coś widzi. Dla pana ma to wartość, bo pan zbiera mickiewicziana. Idź złoto do złota. Ja, jak Wierzynek, ja się nie martwię. To było więcej warte. Ale jakby tu panu powiedzieć: rama skromna, obraz ciemny, ten pański filomata pokorniutki jak kapucyn, w jakimś burym kubraczku pod szyję. Ani siwej peruki, ani orderów, ani munduru na nim. Z takim portretem nic zrobić nie można — on nie nadaje się na przodka. Jak takiego powiesić w salonie? Nikt by go nie kupił"...

— To tak jak z Kallenbachem u Krasińskich...

— Z Kallenbachem? Nie słyszałem.

— To znów tak było. Jakaś babina przychodzi do biblioteki na Okólnik i odwija z bibułek rękopis. Kallenbach tylko okiem łypnął — widzi, że Krasiński, Zygmunt Krasiński. Ogląda — nie drukowane wiersze, autograf, odkrycie. Powiada więc babinie: „Kupuję na wagę złota!" i kartki kładzie na jedną szalkę wagi do listów a złoty imperiał na drugą. Zanim babina oprzytomniała, wypchnął ją z imperiałem na ulicę, a sam drzwi zamknął na klucz dla pewności i Wiktorowi mówić kazał, że go nie ma.

— Spisać pan powinien te wszystkie wspomnienia.

— A powinienem. Właśnie myślę, że naprzód przygotuję drugie wydanie literatury, potem „Wstęp do badań historyczno-literackich" wydam na nowo, potem uporządkuję wykłady — i wreszcie napiszę wspomnienia. Starczy roboty na dwadzieścia lat, więc pewno czegoś nie zrobię, bo moi rówieśnicy na dobre zaczynają się przenosić na tamtą stronę. Właśnie Brücknerowi się zmarło, rzucił rozgrzebaną robotę, pozostawił jakieś notatki, z których niczego dojść nie można — zakończył z nutą zgorszenia w głosie.

— Toż pan profesor na zdrowie uskarżać się nie może. I pamięć taka wspaniała.

— To tylko tak wygląda, to nic nie znaczy. Człowiek nie ryba, nie psuje się od głowy. „Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei!". Coś się jeszcze może zrobi, a resztę te pętaki od Chrzana i Ujejskiego będą kończyły. — Dziadek mój, panie kolego, dziewięćdziesięciu lat dożył i ze zdrowych zębów słynął na całą Oszmianę. Ptaki lubił. Ktoś mu powiedział, że kruk sto lat przeżyć może, więc, gdy na stare lata na rezydenta do córki poszedł, piskię krucze sobie sprawił, żeby zobaczyć, czy to prawda...

Zegar bić zaczął szóstą. Profesor gościa wyprawił, studenta się pozbył, Warrusa z poduszki poderwał i razem w szczęku łańcuchów przy drzwiach, w zgrzycie kluczy, stoczyli się na dół, po spadzistych schodach na podwórko pałacu Staszica i szli dalej (— kamień każdy pamiętam ich drogi —) złą stroną chodnika, potykając się o przechodniów obok pomnika Kopernika, wzdłuż domu Wokulskiego, mimo bram uniwersytetu i Warrusowi najmilszych „pachołków" kamiennych przed pałacem Potockich, skrótem koło Wizytek — gdzież, gdzieżby, jak nie do kantoru „Kuriera Warszawskiego" po numer wieczorny, ciepły jeszcze od nowin...

Ileż to lat temu tak bywało? — Dwanaście, może piętnaście. „Jak ten czas leci, jak ten czas leci.." — utyskiwał Rzecki. Dobrze tym, którzy dzisiaj nie dożyli.

Maria Danilewiczowa

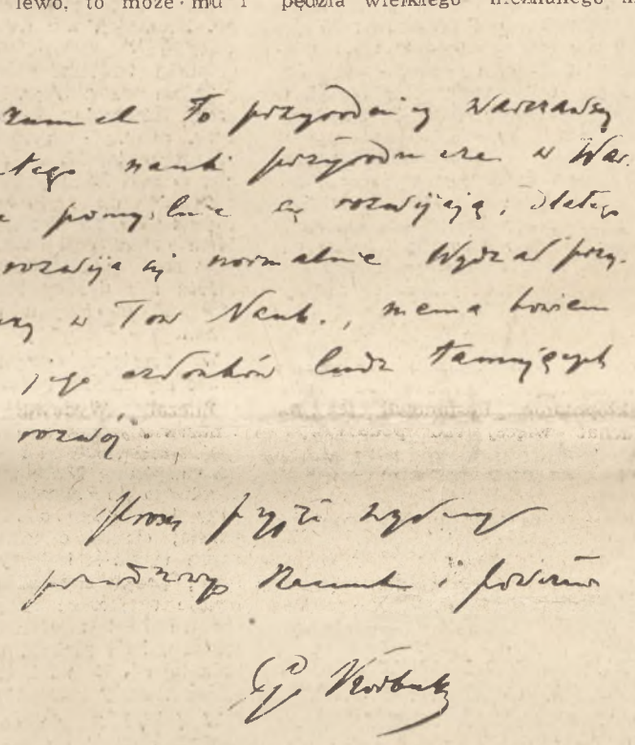

Fragment listu Korbuta

TADEUSZ LEHR-SPŁAWIŃSKI

Pochodzenie Słowian w świetle nauki rosyjskiej

Zagadnienie pochodzenia i praojczyzny Słowian, podstawowe jako punkt wyjścia dla dziejów kultury ludów słowiańskich, weszło w ostatnich latach przed wojną w stadium badań rozstrzygających. Panujące prawie powszechnie w nauce na przełomie XIX i XX w. przekonanie o wschodnim pochodzeniu Słowian i o stosunkowo późnym — w IV—VI w. po Chr. — przyjściu ich do Europy środkowej, podtrzymywane nieraz przez wyraźne proniemieckie tendencje polityczne — zaczęło się chwiać pod wpływem coraz głębszych badań naukowych.

Poszukiwania, głównie językoznawcze i archeologiczne, prowadziły stopniowo do coraz węższego zacieśniania ram geograficznych, zakreślanych dla przypuszczalnej praojczyzny Słowian, do przesuwania ich z obszarów Europy wschodniej — czy nawet Azji — ku terenom naddnieprzańskim i nadwiślańskim, coraz bardziej zbliżonym do najdawniejszych historycznie znanych siedzib plemion słowiańskich. Szczególnie skrupulatne badania nazw geograficznych oraz znalezisk przedhistorycznych z zakresu kultury materialnej, prowadzone bardzo intensywnie w okresie międzywojennym w Niemczech i w Polsce — mimo wręcz sprzecznych tendencyj ideowych, ożywiających badaczy obu stron — nagromadziły tak znaczną ilość materiału faktycznego i przyczyniły się do tak dokładnego krytycznego przedyskutowania wszystkich szczegółowych problemów, że można było mimo wojny przystąpić do nowej próby syntezy zagadnienia. Można było w przybliżeniu zakreślić granice obszarów, na których powstał etniczno-językowy zespół prasłowiański, oraz wyznaczyć przypuszczalne ramy czasowe tego wielkiego procesu etnogenetycznego.

Próba ta — podjęta przeze mnie w książce „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian" (Poznań, Instytut Zachodni, 1946)—potwierdziła na ogół wysuwane już dawniej przez uczonych polskich: J. Kostrzewskiego, L. Kozłowskiego, J. Czekanowskiego i M. Rudnickiego przypuszczenie, że praojczyzną Słowian był, ogółem biorąc, obszar dorzecza Odry i Wisły. Zespół prasłowiański ukształtował się tutaj na podłożu etnicznym ludu, który w ciągu ostatniego tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa wytworzył najpierw tzw. kulturę łużycką, a potem, przechodząc rozmaite przemiany i przegrupowania wewnętrzne, skrystalizował się ostatecznie w zespół noszący w prehistorii miano tzw. kultury grobów jamowych. Kultura ta w swojej dalszej ewolucji łączy się bezpośrednio z kulturą materialną wczesnohistorycznych plemion słowiańskich. W archeologii odpowiada okresowi, który językoznawstwo nazywa zespołem prasłowiańskim. Skrystalizowanie jej przypada na okres tzw. młodszy lateński oraz na początki tzw. okresu rzymskiego, tj. mniej więcej na czas od 250 przed Chr. do 100 po Chr., który możemy przeto uważać za właściwy okres istnienia wspólnoty prasłowiańskiej. Potem, w miarę coraz silniejszej ekspansji terytorialnej we wszystkich kierunkach, wspólnota ta uległa rozluźnieniu i plemiona słowiańskie rozpadły się stopniowo na trzy grupy: wschodnią, południową i zachodnią. Ta druga pozostała przeważnie na pierwotnych obszarach prasłowiańskich w dorzeczu Odry i Wisły, inne natomiast zajęły bardzo znaczne tereny w Europie wschodniej (aż po rzekę Wołgę) i południowej (prawie cały półwysep Bałkański z ziemiami przyległymi). Z tych trzech grup wykrystalizowały się w ostatniej ćwierci pierwszego tysiąclecia po Chrystusie poszczególne narody słowiańskie z odrębnymi narodowymi językami, wewnątrz ponadplemiennych samodzielnych organizacyj państwowych.

Wyniki te badań polskich, oparte na całkowitym wyzyskaniu materiału naukowego ostatniego dwudziestolecia w Polsce, Czechach, Niemczech i innych krajach zachodnioeuropejskich, w bardzo małym tylko stopniu uwzględniały dane nauki rosyjskiej, które w ostatnich latach przed wojną, a tym bardziej w czasie wojny, były dla nas w Polsce niedostępne i nieznane. A tymczasem właśnie w tym okresie badania uczonych rosyjskich posunęły się naprzód bardzo wydatnie. Przyczyniło się do tego w znacznym stopniu przewrót, jaki przebyła nauka rosyjska w dobie porewolucyjnej.

W okresie bezpośrednio poprzedzającym pierwszą wojnę światową i zaraz po niej panował pogląd, reprezentowany głównie przez jednego z największych językoznawców rosyjskich A. A. Szachmatowa, który umiejscowiał praojczyznę Słowian na terenie północno-wschodniej Europy. Reakcja przeciw temu pogądowi wyszła od głównego teoretyka marksistowskiej szkoły w językoznawstwie i prehistorii rosyjskiej, akademika N. J. Marra. Głosił on teorię genezy narodowości i języków narodowych jako wyniku skomplikowanych procesów całkowania i stapiania w jedność różnorodnych elementów plemiennych i językowych— w związku z powstaniem i wzrastaniem, na wyższych szczeblach rozwoju społecznego, spójni społeczno-gospodarczej.

Teoria ta przyczyniła się do odrodzenia odrzucanych do niedawna i podejrzewanych o nienaukowe tendencje hipotez autochtonicznych, które umiejscowiały proces powstawania słowiańskiego zespołu etniczno-językowego na obszarach zaludnionych przez Słowian w zaraniu okresu historycznego. Kierując się zasadniczymi założeniami N. J. Mar-

JERZY ANDRZEJEWSKI (11)

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Tak zwana bankietowa sala Monopolu mieściła się w głębi lokalu. Ponieważ nie miała osobnego wejścia, Drewnowski musiał przejść przez całą restaurację. Była to niska, niezbyt rozległa sala z estradą dla orkiestry i parkietem po środku, z lożami po bokach, teraz pełna ludzi, gwaru i dymu. Większość stolików była już zajęta. Po prawej stronie, podobna trochę do półmrocznej, tajemniczej groty, znajdowała się druga jeszcze salka. Mieścił się w niej bar, na razie pusty. Zabawa zaczynała się dopiero.

Orkiestra grała akurat modną przed samą wojną **Ośla Serenadę** i Drewnowski, chcąc się przecisnąć na koniec sali, musiał okrążyć zatłoczony tańczącymi parami parkiet. Wtem ktoś go chwycił za łokieć. Obejrzał się. Był to Pieniążek, dziennikarz z „Głosu Ostrowieckiego" drobny, czarny człowieczek o twarzy wymiętej i pryszczatej.

Drewnowski nie lubił Pieniążka. Znał go wprawdzie mało, lecz słyszał o nim coś niecoś od Święckiego. Tamci dwaj znali się sprzed wojny jeszcze i w pewnym okresie kolegowali nawet ze sobą w redakcji stołecznego brukowca. Święcki wspominał o tych odległych czasach ogólnikowo, lecz o Pieniążku zawsze mówił z lekceważeniem, jako o podrzędnym i stale zapijaczonym dziennikarzynie.

W tej chwili Pieniążek był rzeczywiście podpity. Chwiał się lekko na swoich przykrótkich nogach i małe, niespokojnie rozbiegane oczki miał przymglone.

— Dobry wieczór — przywitał się z nim sztywno Drewnowski. — Jakżeż się pan bawi?

Pieniążek skrzywił się.

— Burdel, nie zabawa. Zwyczajny burdel.

Zachwiał się i chcąc utrzymać równowagę, znów się uczepił łokcia Drewnowskiego. Ten szorstko go od siebie odsunął. Pieniążek aż się zdawał lepić od niechlujstwa. Miał na sobie pomiętą, brudną koszulę, marynareczkę kusą i wyświechtaną.

— Nie podoba się panu tutaj? Wytworne towarzystwo, piękne kobiety...

— Burdel! — powtórzył Pieniążek.

— Czy nie przesadza pan?

I nim tamten zdążył odpowiedzieć, wyciągnął rękę.

— Przepraszam, ale muszę pana pożegnać.

Pieniążek stał w ciasnym przejściu pomiędzy stolikami i nie ruszył się. Przeciwnie, rozkraczył nogi, ręce wsunął w kieszenie spodni.

— Gdzie się śpieszycie? Pali się, czy co?

— Wybaczy pan, ale jestem służbowo...

Pieniążek pokiwał głową.

— Widzę, że czcigodny magistrat coś niełaskawy dla prasy.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł chłodno Drewnowski.

— Czyżby? Zaproszenka na bankiecik nie przysłało się jednak.

Drewnowski natychmiast przybrał ton urzędowy.

— Redaktor Pawlicki otrzymał zaproszenie.

— Pawlicki, Pawlicki! A Pieniążek nic nie znaczy?

— Pan wybaczy, listę gości układał sam prezydent.

— O to, to! — wykrzyknął Pieniążek. — Pan kolega Święcki.

Drewnowski zmierzył go ostrym spojrzeniem.

— Tak, prezydent Święcki.

Dziennikarz nagle wytrzeźwiał. Wyprostował się i obejrzał Drewnowskiego ciekawym, trochę drwiącym spojrzeniem.

— Cóż mi się pan tak przypatruje? — poruszył się niecierpliwie Drewnowski.

Pieniążek począł się drapać w nos.

— Zastanawiam się właśnie nad pewną sprawą, która pana być może mogłaby trochę zainteresować...

— Mnie? — wzruszył ramionami Drewnowski. — Obawiam się, że się pan myli.

Lecz na wszelki wypadek spytał:

— Cóż to za sprawa?

Pieniążek, ciągle się drapiąc w nos, spojrzał na sufit.

—Co za sprawa? — powtórzył z namysłem. — Czy ja wiem? Może takie na przykład zagadnienie: zabierze pana ze sobą kolega Święcki, czy nie zabierze? Interesujący problem, nie?

Drewnowski drgnął.

— Zabierze? Gdzie zabierze? Co pan chce przez to powiedzieć?

Tamten zachichotał i zrobił ruch, jakby chciał odejść. Teraz Drewnowski z kolei go przytrzymał

— Wie pan coś? — spytał szeptem.

— Pieniążek wszystko wie, jeżeli chce.

— Ale co, co pan wie, do licha? Może pan przecież powiedzieć...

Pieniążek zastanowił się.

— No? — przynaglił Drewnowski.

Tamten zerknął w kierunku baru. I nim się Drewnowski zorientował, Pieniążek prześliznął się obok i pomknął w tamtą stronę.

— Cholera! — zaklął Drewnowski.

Spojrzał na zegarek: za kwadrans dziewiąta. Pięć minut mógł jeszcze ostatecznie stracić, nie więcej. Pobiegł za Pieniążkiem.

W barze było pusto i zacisznie. Barmenka, ładna dziewczyna o jasnych, puszystych włosach, zajęta była rozmową z jedynym do tej chwili gościem. Był nim Maciek Chełmicki. Zjawienie się nowych gości przyjęła z wyraźnym niezadowoleniem. Chełmicki też się skrzywił.

— Co to za jeden? — szepnął, wskazując spojrzeniem na Pieniążka.

Nim zdążyła odpowiedzieć, przy barze stanął Drewnowski.

— Dwie czyste, proszę pani — zamówił szybko.

Tymczasem Pieniążek ze zwinnością małpy usadowił się na wysokim, barowym stołku.

— Dwie duże, panno Krysiu!

Czuł się jak u siebie w domu. Bywał tu najwidoczniej częstym gościem. Barmenka spojrzała pytająco w stronę Drewnowskiego. Temu było wszystko jedno, byle prędzej.

— Niech będą duże.

— Do tego porcję grzybków, panno Krysiu — uzupełnił Pieniążek. — Doskonałe tu mają grzybki, zobaczycie.

Drewnowski gonił resztkami cierpliwości. Dziennikarz życzliwie poklepał go po ramieniu.

— Siadajcie. Świetnie się tu siedzi na tych stołkach.

Drewnowski usłuchał.

— Więc?

— Co więc? Napijemy się.

— Co mi pan miał powiedzieć?

Barmenka podała wódkę.

— A grzybki? — upomniał się Pieniążek.

Znalazły się i grzybki. Spełniwszy, co do niej należało, barmenka przeszła natychmiast na drugi koniec baru, gdzie siedział Chełmicki. Pieniążek zatarł dłonie.

— Zdrowie kolegi Święckiego!

Tym razem Drewnowski zrezygnował z lojalności sekretarza. Wypili. Spojrzał na zegarek: wyznaczonych pięć minut umykało w bardzo szybkim tempie. Pieniążek skwapliwie podsunął mu talerzyk z grzybkami.

— Spróbujcie, warto. Panno Krysiu! — uniósł się na stołku — dwa takie same poprosimy.

Chełmicki pochylił się nad barem.

— Niech im pani naleje spirytusu — szepnął. — Prędzej będą gotowi. Trzeba pomagać bliźnim.

Ładna barmenka spojrzała na niego przeciągle.

— Widzę, że ma pan dobre serce.

— Ja? Jak złoto. Słowo pani daję.

Drewnowskiemu smakował pierwszy kieliszek i nie zaprotestował przeciw następnemu.

— Urżnie się pan — powiedział tylko ze złośliwym akcentem.

Pieniążek dziobał wykałaczką grzybki. Wyślizgiwały mu się, wreszcie jeden dał się przychwycić. Zjadł go, głośno mlaskając. Panna Krysia napełniła duże stopki.

— Zakropić może?

Drewnowski wzruszył ramionami.

— Nie trzeba. Urżnie się pan — powtórzył, pierwszy biorąc swoją stopkę.

— Razem się urżniemy — odparł Pieniążek. — Zdrowie!

Wypili. Drewnowski poczerwieniał, oczy mu wyszły na wierzch, przez moment zatkało go zupełnie. Po chwili dopiero począł się mocować z oddechem.

— O, do diabła! — wykrztusił wreszcie. — Co to było? Co pani nalała? Przecież to spirytus...

Pieniążek parsknął z uciechy.

— Jak Boga kocham, spirytus! A to pani ubrała młodego człowieka...

Panna Krysia szczerze się zaniepokoiła.

— Ależ co znowu, skąd spirytus? To niemożliwe. Nie mogłam się przecież tak pomylić...

Pośpiesznie poczęła szukać butelki, z której przed chwilą nalewała. Znalazłszy ją, stropiła się.

— I co? — spytał Pieniążek.

Miała bardzo skruszoną minę.

— Strasznie panów przepraszam...

— Nie ma za co! — podskoczył na stołku Pieniążek.

Drewnowskiemu zrobiło się wstyd, że nie potrafił stanąć na wysokości zadania.

— Głupstwo! — powiedział niedbale.

— Wcale nie głupstwo....

— Niech się pani nie przejmuje, nie warto. Lepiej niech nam pani da jeszcze po jednym.

— Tego samego?

— Oczywiście! Spirytus o wiele lepszy od czystej. Trzeba tylko wiedzieć, co się pije.

Czuł już w głowie lekki szum, w końcach palców drażniący niepokój. Wygodniej rozsiadł się na taborecie. Przyjemnie tu było. Półmrok. Dźwięki orkiestry i gwar, który hałaśliwie się kotłował na dużej sali, tu dochodziły ściszone, jakby ze znacznej odległości. Przyjrzał się Pieniążkowi. Nawet ten niechluj z wymiętą twarzą szczura wydał mu się nieco sympatyczniejszy.

— Zdrowie! — znowu pierwszy sięgnął po stopkę.

Tym razem przełknął spirytus gładko. Zakąsili grzybkami.

— Więc co? — pochylił się poufale w stronę Pieniążka. — Co ze Święckim? Rzeczywiście idzie w ministry?

Dziennikarz zamrugał zwężonymi i znów bardzo zmętniałymi oczkami. — No!

— Gdzie?

— Propaganda.

Drewnowski zamyślił się.

— Nieźle. Wolałbym co prawda MSZ.

— On by też wolał.

— A to pewne?

— Gówno zawsze wypłynie na wierzch.

Drewnowski roześmiał się i klepnął Pieniążka po kolanie.

— Dobre!

— Nie bój się, ty też wypłyniesz...

ra, uczeni młodszej generacji, przede wszystkim prehistorycy jak M. I. Artamonow, B. A. Rybakow, M. A. Tichanowa, P. N. Tretiakow, A. D. Udalcow i inni, skupieni w „Instytucie Historii Kultury Materialnej" Akademii Nauk ZSRR i około jego organu „Kratkije Soobszczenija Instituta Istorii Matierialnoj Kultury" (dotąd ukazało się 13 tomów), opracowali szczegółowo główne zagadnienia etnogenezy Słowian (przede wszystkim wschodnich) z punktu widzenia archeologicznego. Przez to umożliwili oni nakreślenie ogólnego — nie tak wprawdzie pełnego jak w Polsce, ale nie mniej jasnego — obrazu sformowania się zespołu etnicznego słowiańskiego i jego pierwotnych siedzib. Obraz ten ujęty został syntetycznie w pracach poświęconych pochodzeniu i najdawniejszym dziejom Rusi, jakie wyszły spod pióra filologa akademika N. S. Dierżawina oraz historyków-mediewistów — akademika B. D. Grekowa i prof. W. W. Mawrodina. Szczególnie jego dwie prace: obszerny podręcznik uniwersytecki pt. „Obrazowanije driewnie-russkogo gosudarstwa" (Powstanie staroruskiego państwa), Leningrad 1945, i popularno-naukowa książka „Driewniaja Ruś" (Dawna Ruś), Moskwa 1946, pozwalają dokładnie zdać sobie sprawę z wyników ostatnich badań rosyjskich i z poglądów, jakie dziś w nauce rosyjskiej panują w tym względzie.

Zasadniczy tok myśli w badaniach uczonych rosyjskich jest następujący: W dobie tzw. neolitycznej — około 3.000 lat przed naszą erą — plemiona zamieszkujące Europę wschodnią rozpadały się na dwie wielkie gromady. Jedną tworzyły plemiona koczownicze o kulturze typu myśliwsko-rybackiego (noszącej w prehistorii miano kultury grzebykowej), które zajmowały ogromne leśne obszary od Uralu aż po brzegi Bałtyku, od dalekiej północy aż po Prypeć i Desnę; byli to przodkowie późniejszych ludów ugro-fińskich. Od nich na południe siedziały ludy rolnicze, które na przestrzeni dzisiejszej Jugosławii, Rumunii, pobrzeża Czarnomorskiego, Ukrainy prawobrzeżnej, a po części i lewobrzeżnej, wytworzyły oryginalną, stojącą na wysokim technicznym poziomie, kulturę plemion osiadłych, o ustroju rodowym matriarchalnym, zwaną w prehistorii (od znalezisk w Trypoliu koło Kijowa) kulturą trypolską. Twórców tej kultury nie można wprawdzie — w ślad za jej odkrywcą i głównym badaczem, W. Chwojką — identyfikować z Prasłowianami, ale też nie da się zaprzeczyć, że naddnieprzańscy potomkowie ludu kultury trypolskiej odegrali wybitną rolę w składzie etnicznym i rozwoju kulturalnym ludności dorzecza średniego Dniepru od czasów neolitycznych aż do ukazania się tam właściwych Słowian. Dalszym etapem w etnogenezie ludów Europy środkowo-wschodniej było wydzielenie się na jej obszarach na pograniczu doby neolitycznej i brązowej, tj. w czasie między r. 2.500—1.800 przed Chrystusem, bardzo licznej, choć kulturalnie dosyć zróżnicowanej, grupy plemion, tworzących mimo wszystkich różnic zespół o wyraźnie wspólnym typie kulturowym, znany w nauce pod nazwą kultury ceramiki sznurowej. Zespół ten ogarnął stosunkowo szybko, ogromne przestrzenie od dorzecza Łaby i pobrzeża Bałtyku aż po średnie i dolne dorzecze Dniepru, pobrzeże Czarnomorskie, dorzecze Dniestru, Besarabię, Bukowinę i północne stoki Karpat. Na podłożu etnicznym plemion o kulturze ceramiki sznurowej — które w nauce zachodnio-europejskiej utożsamia się z zespołem językowym indoeuropejskim — wyrosła w ciągu epoki brązowej, luźno z nim związana grupa etniczna, która wytworzyła tzw. kulturę łużycką (nazwaną tak od najstarszych znalezisk na obszarze saskich Łużyc); ogarnęła z czasem tereny od Łaby aż po zachodnią część dorzecza Dniepru (Wołyń i Podole), od Bałtyku po średni Dunaj. Z kulturą łużycką wiąże się bezpośrednio szeroko rozprzestrzeniony zespół kulturowy, który w nauce polskiej otrzymał miano kultury grobów jamowych, a w nauce rosyjskiej nazywa się „kulturą pól z urnami pogrzebowymi" („kultura polej pogriebalnych urn"). Zespół ten stanowi bezsprzecznie ogniwo pośrednie, łączące potomków kultury łużyckiej z kulturą wczesnohistorycznych Słowian, tak że nie można wątpić o słowiańskim charakterze etnicznym jego plemion składowych. Kultura „pól z urnami pogrzebowymi" sięgała wedle danych nauki rosyjskiej, w pierwszych wiekach ery pochrystusowej, od Odry po średnie dorzecze Dniepru, od Bałtyku przy ujściach Odry i Wisły po północne Podkarpacie. Zespół ten był zewnętrznym wyrazem etnicznej jedności Słowian w tej epoce, czyli — wedle terminologii przyjętej w nauce polskiej—był archeologicznym odpowiednikiem etniczno - językowej wspólnoty prasłowiańskiej.

Tak ujęty przez naukę rosyjską obraz pochodzenia i praojczyzny Słowian, oparty na danych archeologicznych, a uzupełniony po części danymi językoznawczymi, a także pewnymi danymi historycznymi, da się bez trudności uzgodnić z wynikami polskich badań, któreśmy wyżej streścili. Różnica w zasięgu przypuszczalnej praojczyzny Słowian, którą uczeni polscy zakreślają na ogół na przestrzeni od Odry po Wołyń i Podole, a do której rosyjscy włączają obszar środkowego dorzecza Dniepru — jest w istocie pozorna. Pochodzi ona z odmiennego ujęcia chronologicznych ram wspólnoty prasłowiańskiej w nauce polskiej i rosyjskiej. Prehistorycy polscy zamykają mianowicie okres względnej jedności Słowian na ogół w obrębie tzw. młodszego okresu lateńskiego i samych początków okresu rzymskiego, tj. ogółem biorąc między r. 250 przed Chrystusem a 100 po narodzeniu Chrystusa, gdy uczeni rosyjscy umieszczają tę wspólnotę w całości w ciągu pierwszych 2—3 wieków naszej ery. Nauka polska wyróżnia w tym czasie na obszarach na wschód od Bugu, od źródeł Niemna po środkową Ukrainę istnienie osobnej grupy kulturowej, zwanej (od cmentarzyska w Zarubińcach w pow. kaniowskim), kulturą zarubiniecką. Grupa ta poza nawiązaniami do dawniejszych kultur środkowo - naddnieprzańskich ma wiele charakterystycznych cech wspólnych z kulturą grobów jamowych (tzw. grupą przeworską), szczególnie w zakresie ceramiki i obrzędu grzebania zmarłych. Opierając się na tym, prof. Kostrzewski uznał ją za wytwór wschodniego odłamu Prasłowian, z których wyodrębniły się z biegiem czasu plemiona wschodnio-słowiańskie. W nauce rosyjskiej, która rozporządza liczniejszymi i dokładniejszymi danymi archeologicznymi, dotyczącymi tej kultury, uważa się ją wprost za część składową kultury „pól z urnami pogrzebowymi" (tj. kultury grobów jamowych) i wskutek tego rozszerza się przestrzeń siedzib słowiańskich w dobie jedności na obszar od brzegów dolnej Łaby aż po dorzecze średniego Dniepru, gdzie kultura ta w pierwszych wiekach po Chr. przerzuciła się nawet na lewy brzeg tej rzeki i na teren Połtawszczyzny.

Ponieważ równocześnie uczeni rosyjscy uznają polski punkt widzenia, że kultura „pól z urnami pogrzebowymi" wyrosła pierwotnie na zachodzie na podłożu dawniejszej kultury łużyckiej, przeto tym samym przyjmują jej ekspansję z terenów nadodrzańsko-nadwiślańskich na obszary nad Dnieprem, chociaż nie wyjaśniają bliżej, w jakich warunkach odbył się ten proces. Zgadza się to oczywiście z polskim pojmowaniem asymilacji kultury zarubinieckiej przez kulturę grobów jamowych, jako procesu ekspansji Prasłowian ku wschodowi, na tereny naddnieprzańskie w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa. Rozumie się samo przez się, że ekspansja ta nie wyrugowała stamtąd dawniejszego — dość rzadkiego — zaludnienia, ale przeprowadziła jego kulturową, a także językową asymilację, o czym świadczy fakt, że dalsza ewolucja kulturowa zaludnienia tego obszaru wiąże się ściśle z kulturą wczesnohistorycznych plemion wschodnio-słowiańskich czyli ruskich.

Tak więc w istocie panuje zasadnicza zgoda między nauką rosyjską i polską w poglądach na pochodzenie i lokalizację pierwotnych siedzib słowiańskich. Pozostaje oczywiście do dalszego wyjaśnienia mnóstwo zagadnień szczegółowych zarówno z zakresu prehistorii, jak w większym jeszcze stopniu z zakresu językoznawstwa — znacznie słabiej uwzględnianego w badaniach rosyjskich niż u nas — a także etnologii i antropologii. Wszystko to powinno stać się dziedziną ścisłej współpracy uczonych polskich i rosyjskich.

Tadeusz Lehr-Spławiński

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

PROBLEMY DEMOKRACJI

W historycznym okresie Europy dwa czynniki wysunęły się na czoło i zaciążyły na ukształtowaniu społeczeństw europejskich i ich kultury. Te czynniki to koncentracja władzy politycznej i koncentracja władzy ekonomicznej. W czasach obecnych koncentracja władzy politycznej okazuje się jedynym narzędziem dostatecznie silnym do pokonania władzy ekonomicznej. Zupełne pokonanie władzy ekonomicznej przez władzę polityczną daje tej ostatniej pełny monopol władzy w społeczeństwie. Walkę o nowy ustrój ekonomiczny demokracja nowoczesna może wygrać za cenę koncentracji woli i władzy, jak się ma jednak zabezpieczyć, aby sama nie padła jej ofiarą? W tym pytaniu zawiera się centralny problem demokratycznej socjotechniki i demokratycznej „strategii wojennej".

Nie jest to problem dzisiejszy. Sprawowanie wielkiej władzy stawia jednostki i grupy ludzkie w tak wyjątkowej sytuacji społecznej, że łatwo tracą one kontakt ze społeczeństwem, zaczynając się do najbliższego grona współrzędnych, którzy skłonni są widzieć świat takim, jakiego potrzebują. Stąd wynika ta wieczna choroba człowieka, o której pisał Montesquieu w „Duchu praw", że „każdy człowiek, który ma władzę, jest skłonny do jej nadużycia". Liberalizm ujmował ten problem na jednostronnej płaszczyźnie stosunku jednostki i państwa. Obecnie widzimy go na płaszczyźnie wzajemnego stosunku różnych form władzy i kierownictwa w społeczeństwie.

Do koncentracji władzy politycznej i władzy ekonomicznej rozwój nowoczesnych społeczeństw dodał jeszcze *koncentrację naukowej wiedzy*. Socjolog Mannheim w książce pt. „Człowiek i społeczeństwo w wieku rekonstrukcji" (Karl Mannheim, „Man and Society. In an Age of Reconstruction, London, 1944. Pierwsze wydanie angielskie 1940) słusznie zwraca uwagę na to, że do centralnych problemów nowoczesnego społeczeństwa należy problem *scentralizowanego przywództwa intelektualnego*. Wobec ogromnego i wciąż rosnącego znaczenia nauki w nowoczesnym społeczeństwie na czoło wysuwa się problem organizacji nauki oraz jej ustosunkowania do władz politycznych, do władzy ekonomicznej i do szerokich mas społeczeństwa. Jest to niewątpliwie problem ogromnej doniosłości.

ZAGADNIENIE MORALNEGO AUTORYTETU

Najważniejszy problem organizacji wielkiego społeczeństwa nowoczesnego, a tym samym problem demokracji, tkwi jednakże gdzie indziej. Z punktu widzenia demokracji, zarówno władza ekonomiczna, jak i władza polityczna nie są celami same dla siebie. One są narzędziami najbardziej wszechstronnego i pełnego rozwoju kultury ludzkiej. Takie stanowisko w stosunku do władzy politycznej i ekonomicznej należy do istoty demokracji. W związku z tym *powstaje pytanie o najwyższe społeczno-moralne autorytety społeczeństwa. Inaczej mówiąc, jakie grono ludzi ma sprawować moralne kierownictwo w społeczeństwie, pomagając szerokim masom w ustalaniu ideałów i filozofii życia, w ustalaniu hierarchii wartości i w udostępnieniu historycznego dorobku kultury ludzkiej?* W jaki sposób grono to ma się rekrutować i odnawiać? W jakim stosunku pozostawać do władzy politycznej i ekonomicznej? Jakie ma mieć prawa ingerencji w sprawy ludzkie poza autorytetem moralnym? *Zagadnienie autorytetu moralnego to podstawowe zagadnie nowoczesnego społeczeństwa. Wiąże się ono z zasadą, że istnieje sfera wolności człowieka, zabezpieczona przed ingerencją władzy politycznej, do której ma dostęp tylko uznany przez jednostkę autorytet moralny.*

To zagadnienie wiąże się znowu z innym. Nie da się zaprzeczyć, że ten okres dziejów demokratyzacji, w jakim się obecnie znajdujemy, obok pozytywnych i konstrukcyjnych elementów nacechowany jest daleko posuniętą dezorganizacją społeczną. Człowiek pracy podnosi się do wysokości najwyższego kryterium wybitności, uznania i zasługi. Jego potrzeby materialne i duchowe stają się coraz bardziej celem zbiorowego wysiłku ludzkiego. Niemniej, nie dokonało się jeszcze ścisłe sprzęgnięcie różnych dziedzin twórczości kulturalnej ze światem pracy. *W jaki sposób twórczość kulturalną — naukę, literaturę, sztukę — związać z życiem mas pracujących w sposób tak ścisły, w jaki historycznie wiązała się z warstwami wolnymi od pracy utylitarnej? To jest zasadniczy problem demokracji nowoczesnej.* Od jego rozwiązania zależy, czy i o ile pisarz lub uczony staną się autorytetami moralnymi nowej demokracji.

W arystokratycznym społeczeństwie arystokracja rodowa, choć sama z reguły mało twórcza, sprawowała mecenat nad kulturą. Patrycjat mieszczański również ma dobrze zapisaną kartę w historii kulturalnego mecenatu. Nie chodzi przy tym tylko o materialne poparcie; chodzi o uznanie najwyższych wartości kultury przez określoną grupę społeczną. W jakiej grupie społecznej znajdzie obecnie oparcie kult myślenia, kult charakteru, kult piękna, poszanowania ludzkiej godności i inne trwałe zdobycze kultury ludzkiej?

W jakiej grupie społecznej ma znaleźć oparcie i obronę niewątpliwa zdobycz kultury ludzkiej, jaką jest zasada, że pewna sfera wolności sumienia i słowa jest nie tylko przywilejem jednostki, ale i warunkiem normalnego życia cywilizowanego społeczeństwa i rozwoju kultury? W jakiej grupie społecznej ma znaleźć oparcie indywidualność ludzka, poszanowanie odrębności ludzkich i uznanie dla nieprzeciętności?

W przejściowym okresie, w jakim żyjemy, dokonuje się praca nad tworzeniem się nowej kulturalnej wiary ludowej. Jeżeli masy ludowe, jeżeli klasa robotnicza ma się stać tą warstwą społeczną, o którą mają się oprzeć autorytety moralne demokracji ludowej i ideały narodowej kultury, to masy ludowe muszą mieć filozofię społeczną, wiarę kulturalną, określającą ich stosunek do podstawowych i najwyższych wartości życia i człowieka, społeczeństwa i kultury. Czy tą wiarą ma być marksizm?

ZNACZENIE MARKSIZMU

Charakter propagandy marksizmu budzi zastrzeżenia. Czy chodzi o nową religię dogmatyczną czy o upowszechnienie kultury naukowego myślenia? Propaguje się marksizm jako niezawodną naukę, która dała już odpowiedź na wszystkie najważniejsze pytania życia, społeczeństwa i kultury. Głosi się, że wszystko, co marksizm twierdzi, jest naukowe, i że wszystko, co jest naukowe, jest marksistowskie. Marksizm to nauka. Nauka to marksizm.

Mówi się o humanizmie. Prawdziwy i realny humanizm, oparty na nauce — usłyszycie od marksistów—reprezentujemy my marksiści i tylko my, nikt inny. (Patrz A. Schaff, „Humanizm socjalistyczny", „Kuźnica", 19 i 26 lutego 1947). Czy tak jest naprawdę, czy marksizm to teoria „humanistycznego" społeczeństwa? *Z punktu widzenia naukowego marksizm jest naukową teorią społeczeństwa kapitalistycznego.* Niczym więcej. Jest to więc teoria społeczeństwa antyhumanistycznego, bo kapitalizm jest antyhumanistyczny.

Marksizm dał moralną teorię człowieka takiego, jakim go czyni ustrój kapitalistyczny. Techniczno-ekonomiczny punkt widzenia, z jakiego ujmuje marksizm społeczeństwo i moralność, to jest punkt widzenia kapitalizmu. Na tym polega naukowa wartość marksizmu, że pokazał nam społeczeństwo kapitalistyczne w najgłębszych jego tendencjach rozwojowych, tak jak kapitalizm je kształtuje, w całej grozie kapitalistycznego antyhumanizmu, do którego kapitalizm nie chce się przyznać.

Z punktu widzenia marksizmu nie ma miejsca na humanizm w ustroju kapitalistycznym. Dlatego moralność ruchu komunistycznego w ustroju kapitalistycznym musi być także w swej istocie antyhumanistyczna, klasowa. Jej istotnym elementem musi być nienawiść klasowa.

„Dla nas moralność — mówił Lenin w 1920 r. — podporządkowana jest interesom klasowym walki proletariatu... Dla komunisty cała moralność mieści się w tej zwartej solidarnej dyscyplinie i w świadomej walce masowej przeciwko wyzyskiwaczom. W wieczystą moralność nie wierzymy i zdzieramy maskę oszustwa z wszelkich bajeczek o moralności". „Humanizm proletariatu — pisał Gorkij w książce „O literaturze" — potrzebuje niegasnącej nienawiści do mieszczaństwa..."

„Manifest komunistyczny" (1847) zapowiadał, że „miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdej jednostki jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich". O przejęciu środków produkcji przez społeczeństwo pisał Engels, w „Rozwoju socjalizmu od utopii do nauki", że *„jest to skok ludzkości z państwa konieczności w państwo wolności"*. W takich słowach marksizm przed-

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK« PRAGNĄC SIĘ PRZYCZYNIĆ DO OŻYWIENIA TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ USTANOWIŁA

COROCZNĄ NAGRODĘ »ODRODZENIA«

NAGRODĘ TĘ PRZYZNAWAĆ SIĘ BĘDZIE KAŻDEGO ROKU W DNIU 22 LIPCA, W DNIU ŚWIĘTA ODRODZENIA POLSKI, ZA NAJWYBITNIEJSZY TOM PROZY (POWIEŚĆ, OPOWIADANIA, KRYTYKA, WSPOMNIENIA) OGŁOSZONY DRUKIEM PO 1 WRZEŚNIA 1939 R.

W ROKU 1946 JURY W SKŁADZIE: KAZIMIERZ CZACHOWSKI, MARIA DĄBROWSKA, JULIAN KRZYŻANOWSKI, WACŁAW KUBACKI, KAROL KURYLUK, STANISŁAW ŁEMPICKI I KAZIMIERZ WYKA, PRZYZNAŁO PIERWSZĄ NAGRODĘ »ODRODZENIA« W WYSOKOŚCI 100.000 ZŁOTYCH TADEUSZOWI BREZIE ZA POWIEŚĆ »MURY JERYCHA«.

SKŁAD JURY I WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY ZOSTANĄ PODANE DO WIADOMOŚCI 1 MAJA BR.

Drewnowski jeszcze głośniej się zaśmiał.

— Pewnie, że wypłynę, a coś sobie myślał? Zobaczysz za pięć lat.

— Co zobaczę?

— Dokąd zajdę.

Pieniążkowi odbiło się.

— Grzybka zjedz — poradził przyjaźnie Drewnowski. — Ja, widzisz, wiem czego chcę. To najważniejsze.

— Gówno samo wypływa — czknął znowu Pieniążek. — A czego chcesz?

Drewnowski wykonał ręką szeroki gest.

— Wszystkiego! Przede wszystkim dużo forsy.

— Będziesz miał.

— Będę. Dość mam bidy. Słuchaj, ty znałeś Święckiego przed wojną?

— Yhy.

— Co to za jeden?

— Łobuz.

— To dobrze. Takiego mi potrzeba. I co jeszcze?

— Spryciarz.

— Ja jestem sprytniejszy. Zobaczysz, jak go osiodłam. Czego się śmiejesz? Myślisz, że mi się to nie uda?

— Uda ci się.

— To czego się śmiejesz?

— Nic. Pomyślałem sobie, jak to będzie wyglądać, jak będziesz siodłać Święckiego.

— Dobrze będzie wyglądać. Nawet się facet nie spostrzeże. Już go osiodłałem.

Pieniążek dziobnął wykałaczką grzybka.

— Gadanie!

— Wcale nie gadanie, tak jest.

— Gadanie. W portki przed nim ze strachu robisz.

— Ja w portki? To mnie nie znasz.

— Znam cię, jeszcze jak! Boisz się go.

— Święckiego?

— Może nie? Na przyjęcie byś mnie teraz nie zaprosił, bałbyś się.

Drewnowski zastanowił się.

— Widzisz! — kiwnął się na stołku Pieniążek. — Boisz się, nie mówiłem?

Chełmicki spojrzał na zegarek. Panna Krysia zauważyła to.

— Śpieszy się pan?

— Skąd znowu? Mam masę czasu.

— To po co pan patrzy na zegarek?

— Umówiłem się tu z kimś.

— Z kobietą?

— Może... Niezadowolona?

— Kto?

— Pani.

— Ja? A cóż mnie to obchodzi, z kim się pan umówił.

— Nic?

— Pewnie, że nic.

— A jeżeli się nie umówiłem z kobietą?

— To też nic.

— Co nic?

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Naprawdę? A gdybym nie uwierzył?

— Proszę bardzo. Jeśli sprawi to panu przyjemność...

— To co?

— Niech pan nie wierzy.

— Świetnie! Wobec tego nie wierzę. Długo tu musi pani siedzieć?

— Do końca. Dopóki są goście.

— To znaczy?

— Jak czasem, zależy od dnia.

— A dzisiaj?

— O, dzisiaj to pewnie do samego rana.

— Koniecznie? Jest tu pani sama?

— Teraz sama. O dziesiątej przyjdzie jeszcze koleżanka.

— A widzi pani!

— Nic nie widzę. Jak jest dużo gości, to we dwie ledwie możemy sobie dać radę.

Drewnowski obejrzał się w ich stronę.

— Proszę pani!

— Szlag by go trafił! — mruknął Chełmicki.

Panna Krysia, poprawiając włosy, przeszła wolno na drugą stronę baru.

— Rachunek — zażądał Drewnowski.

We drzwiach, do połowy przysłoniętych ciemno-zieloną kotarą, stanął Andrzej Kossecki i rozejrzał się po barze. Chełmicki natychmiast go spostrzegł.

— Hallo!

Kossecki podszedł do bufetu.

— Serwus, Andrzej. Co nowego?

— Nic. Jeść mi się chce.

— Mnie też. Zaraz każemy coś podać. Zajmij tymczasem stolik.

— A ty?

Chełmicki porozumiewawczo przymrużył oko.

— Jedną chwilę. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Drewnowski płacił tymczasem rachunek. Pieniążek, niezainteresowany tą sprawą, łapczywie wyjadał z talerzyka pozostałe grzybki.

— Idziemy?

— Mamy czas — mruknął tamten.

— Dziewiąta.

— To co?

Drewnowski wnikał w coraz gęstszy wewnętrzny szum. Ale było mu z tym dobrze. Widział wszystko wyraźniej i ostrzej i wszystko wydawało mu się niewiarygodnie łatwe do osiągnięcia. Samo życie szło mu do rąk. Miał w tej chwili pewność, że może je kształtować, jak tylko zechce. Rozpierała go potrzeba działania.

— Ja idę! —, zdecydował.

Pieniążek dalej chciał ciągnąć swoje racje, widząc jednak, że Drewnowski stanowczym krokiem zmierza ku wyjściu, zsunął się pośpiesznie ze stołka i lekko się zataczając, podążył za nim.

Panna Krysia wróciła do Chełmickiego.

— Co nam pani poda? Mój kolega już przyszedł, siedzi tam.

— Widzę. Niestety, nie kobieta.

— Niestety?

— Dla pana.

— A dla pani?

— Dla mnie? Powiedziałam już, że mnie to nic nie obchodzi. Więc co mam podać? Coś do picia?

— To też. I jakieś zakąski na początek, strasznie jesteśmy głodni.

— Może być zimne mięso, jajka faszerowane, sałatka...

— Wszystko jedno. Co pani chce.

— Przecież nie ja będę jeść.

— To nic. Ale pani najlepiej sama wybierze.

— O, tyle zaufania?

Pochylił się nad bufetem.

— Niesłusznie?

— Musi się pan dopiero przekonać.

— Świetnie! Przekonam się na pewno.

Andrzej siedział przy stoliku w głębi baru. Był zamyślony i nie zauważył, kiedy podszedł Chełmicki.

— Jestem — powiedział tamten, zajmując miejsce obok.

Andrzej podniósł głowę.

— Zamówiłeś?

— Już. Zaraz nam przyniosą. Spójrz, Andrzej, na tę małą...

— Którą?

— Za barem.

— I co?

— Ładna, nie?

— Owszem — mruknął obojętnie Andrzej.

Chełmicki spojrzał na niego z ukosa.

— Wiesz co, Andrzej?

— Co?

— Powinieneś się dzisiaj urżnąć.

— Nie bój się, pewnie to zrobię.

— To byczo!

— Myślisz?

— Zobaczysz. Świetnie ci to zrobi. Jedną jeszcze bym ci dał radę, ale zaraz się oburzysz.

Andrzej wzruszył ramionami.

— Nie wysilaj się, znam twoje dobre rady.

— Może złe?

— Nie zawsze skuteczne.

— A ja ci mówię, stary, że zawsze. Przestać w pewnym momencie myśleć i zanurzyć się, to wszystko.

— A potem?

— Przepraszam cię, co mnie potem obchodzi? Zdążę się przekonać. Nie ucieknie, nie ma obawy. Mówię ci, to najlepszy sposób. Wyłączyć się. Tak, jakbyś kontakt przekręcił. Jedno naciśnięcie i wszystko znika. O niczym nie pamiętasz, nic cię nie obciąża. Trochę wódki, w ramionach ładna dziewczyna, nie opowiadaj, to zawsze bierze. Źle?

— Może dobrze.

— Sam powiedz, po diabła się dręczyć? Komu to potrzebne? Nie trzeba tego wszystkiego brać zbyt serio. Przepchać się po prostu przez tę całą hecę. Nie dać się nabrać. I co więcej?

Andrzej nic nie odpowiedział. Kto wie, może Maciek miał słuszność? Czuł, że mógłby myśleć podobnie, również podobnie żyć i z taką samą niedbałością potrafiłby szukać łatwego zapomnienia, gdyby nie ów od niego samego niezależny sprzeciw, który tkwił w nim i jakkolwiek bywał nikły, zmuszał przecież do poszukiwania we wszystkim trwałego sensu wówczas nawet, gdy życie wszelki sens zdawało się kruszyć i zacierać. Lecz co z tego? Czemu ten sprzeciw miał służyć? Pustka. Ciemność. Z żarliwości minionych lat walki nie zostało nic. Z zapału i z entuzjazmu nie zostało nic. Z pragnień i nadziei także nic. Świat jeszcze raz się podzielił na oszukujących i oszukanych. Do tych drugich dołączyły się cienie zmarłych, którzy za co potracili swoje życia? Za nic. Wojna dogorywała. I żadna nadzieja nie wschodziła, aby usprawiedliwić bezmiar tych wszystkich ofiar, cierpień, krzywd, gwałtów i ruin, które pozostały wśród dnia wczorajszego. Przypomniał sobie, co Waga mówił przed godziną o solidarności. Czuł jednak, że to nie to, że chodzi o coś zupełnie innego. Oszukano i żyjących i umarłych. Oszukano wszystkich. Wszystkich wystawiono do wiatru. W imię najwyższych wartości życia porwano do walki miliony ludzi wielkimi słowami; jedni za nie zginęli, drugim udało się ocalić, a życie raz jeszcze zakpiło z ogromnych słów, z ludzkości i ze sprawiedliwości, z wolności i z braterstwa. Z wielkich, szlachetnych celów pozostał gnój tylko, wielkie gnojowisko. Tyle oto znaczył strzęp żałosnej solidarności...

Chełmicki łokciem trącił Kosseckiego.

— Andrzej!

— Co?

— Co ci się tak pysk wyciągnął?

— Odczep się!

— Słuchaj, możesz mi dać w mordę, jeżeli ci to sprawi przyjemność.

— Odczep się, mówię.

Maciek pokiwał głową.

— Ech, Andrzej, Andrzej...

— Co znowu?

— Nic.

— Tym lepiej. Myślałem, że z nowymi radami wyjedziesz...

— — — — — — — — — —

Święcki przyjechał do Monopolu przed samą dziewiątą. Deszcz jeszcze padał ulewny. Gdy szofer, wyskoczywszy z wozu, otworzył drzwiczki samochodu, trzej mężczyźni, rozchlapując ogromne kałuże, szybko, jeden za drugim przebiegli niewielką przestrzeń dzielącą ich od wejścia do restauracji. Święcki przyjechał nie sam. Do ostatniej chwili miał u siebie długą konferencję i wprost z niej jadąc na bankiet, zabrał ze sobą swego zastępcę, wiceprezydenta Weycherta i przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, Kalickiego.

W hallu czekał na Święckiego zarządca Monopolu, Słomka. Był to znany przed wojną restaurator lwowski, tłusty grubas o jasnych rzęsach, okrągłej twarzy, okrągłym

stawiał ideał przyszłego społeczeństwa. Jest to ideał humanistyczny. Ale marksistowska metoda realizacji tego ideału — mianowicie „dyktatura proletariatu" — jest antyhumanistyczna. Do pojęcia marksizmu należy dyktatura proletariatu. *„Marksistą jest ten jedynie* — pisze Lenin w „Państwie i rewolucji" — *kto rozszerza uznanie walki klas do uznania dyktatury proletariatu"*. Konieczność dyktatury proletariatu wyrasta z antyhumanistycznego charakteru kapitalizmu i stąd dyktatura proletariatu jest także antyhumanistyczna. Według marksizmu antyhumanistyczny kapitalizm nie może być pokonany humanistycznymi środkami. *Marksizm jako teoria przezwyciężenia kapitalizmu nie jest teorią humanistyczną.*

A po „dyktaturze proletariatu" już nic nie wiadomo. Marksizm nie daje bowiem naukowej teorii przyszłego humanistycznego społeczeństwa bezklasowego. Mówiąc o społeczeństwie przyszłości, marksizm przestaje być realistyczny, a staje się utopijny. Będzie coś zupełnie nowego, czego jeszcze nie było nigdy; będzie coś, co nie ma być kontynuacją dawnego stanu rzeczy, lecz jego zaprzeczeniem; będzie coś, czego nie można realnie określić w kategoriach istniejącej rzeczywistości społecznej. To będzie, jak pisał Engels, „skok ludzkości z państwa konieczności w państwo wolności".

Marksizm jest realistyczny w tym znaczeniu, że realizację ideałów humanizmu wiąże w sposób konieczny z uspołecznionymi formami gospodarstwa. Nic jednakże nie mówi o tym, jak konkretnie ma wyglądać to uspołecznienie i „humanizacja" społeczeństwa bezklasowego.

Jeżeli demokracja szuka sposobów realizacji uspołecznienia ustroju gospodarczego i „humanizacji" społeczeństwa bez „dyktatury proletariatu", to jest to szukanie bardziej humanistycznej drogi do socjalizmu niż ta, jaką przewidywała klasyczna teoria marksizmu, dla której dyktatura proletariatu była koniecznością historyczną, konieczną fazą przejściową od kapitalizmu do socjalizmu. Konieczność tej fazy wynikała według marksizmu z klasowej struktury kapitalizmu.

Marksizm dał naukową teorię społeczeństwa kapitalistycznego i teorię rewolucji proletariatu, która jako nieuchronny wynik historii doprowadzić miała do zniszczenia kapitalizmu, klas i państwa. Pod względem praktycznym marksizm uczył, jak obalić kapitalizm, a nie jak budować nowy ustrój po obaleniu kapitalizmu. *Marksizm był teorią drogi od kapitalizmu do socjalizmu, a nie teorią humanistyczno-socjalistycznego społeczeństwa.*

Marx nie dał nigdzie teorii kształtowania się społeczeństwa po przezwyciężeniu kapitalizmu. Marx — nie dał teorii planowania gospodarczego i społecznego. Kto chce budować społeczeństwo nowe, niekapitalistyczne, musi wyjść poza marksizm. Teorie Marxa i Engelsa nie dają dostatecznej podstawy dla planowanej demokracji.

Propaganda marksizmu jako klucza, rozwiązującego wszelkie problemy nowoczesnej demokracji, jest sprzeczna z historyczną istotą marksizmu. Ona nie usuwa, lecz potęguje intelektualne zamieszanie. Z punktu widzenia współczesnej nauki sam marksizm wymaga nowego pojęciowego uporządkowania, jakiego się jeszcze dotychczas nie doczekał. Nikt się tym w Polsce nie zajmuje.

PROBLEM ORGANIZACJI SPOŁECZNEJ

A teraz problem organizacji społeczeństwa. Kultura żyje w oparciu o jakiś system społecznych komórek. Muszą w całym społeczeństwie istnieć komórki społeczne, ożywione wartościami kultury określonego typu. Te komórki muszą być ze sobą powiązane tak, aby tworzyły sieć ogarniającą całe społeczeństwo. I tylko wtedy, gdy taki system komórek ma oparcie w odpowiednim ustroju ekonomicznym i odpowiednim autorytecie społeczno-moralnym. Wartości reprezentowane przez ten system, mają trwałe oparcie w społeczeństwie. Każdy typ kultury utrzymuje się dzięki takiemu systemowi komórek. Sieć małych grup społecznych o ścisłej więzi osobistej oraz sposób ustosunkowania tej sieci do centralnych instytucji społeczeństwa, to podstawowa sprawa organizacji kultury wielkiego społeczeństwa. Kultura chłopska miała oparcie w tradycyjnej społeczności sąsiedzkowiejskiej. Kultura ziemiańsko-arystokratyczna w dworach. Kościół w parafiach. Na jakim systemie komórek społecznych oparta ma być demokratyczna kultura nowoczesnego społeczeństwa?

Na tle stanu dezorganizacji wielkiego społeczeństwa nowoczesnego zrodził się problem wytworzenia organizacji, która by stanowiła oparcie dla najwyższych wartości moralnych, dla filozofii życia, określającej stosunek człowieka do podstawowych wartości. W przeszłości funkcje te dzieliły między sobą Kościół i arystokracja. Lata międzywojenne wytworzyły totalny system organizacji społeczeństwa, polegający na skupieniu w jednym systemie: (1) władzy politycznej, (2) władzy ekonomicznej, i (3) autorytetu moralnego. Połączone w jedno, (1) państwo, i (2) gospodarstwo sięga po autorytet moralny, chce zająć miejsce Kościoła. *Idea społeczeństwa jako samoistnej i samorzutnie kształtującej się całości moralnej była podstawową ideą demokracji liberalnej XIX w.* Odrzucamy tę teorię samorzutnego kształtowania się społeczeństwa jako całości moralnej. Więc kto tę całość ma organizować? Czy partie polityczne? Czy monopartie? Czy rywalizujące ze sobą różne ośrodki ideologiczne? To nie jest tylko problem kierownictwa politycznego i gospodarczego, lecz także społeczno-moralnego.

SPOŁECZNO-MORALNY PROBLEM KAPITALIZMU

Istota społeczeństwa kapitalistycznego nie polega na tym, że władza ekonomiczna narzuca się społeczeństwu wbrew prawom moralnym, jakie do tego posiada. *Istota społeczeństwa kapitalistycznego polega na tym, że społeczeństwo uznaje prawa moralne do rządzenia tych ludzi i klas, które mają bogactwo, władzę ekonomiczną.* Tak jest w Ameryce. Moralny problem kapitalistycznego społeczeństwa wynika stąd, że bogactwo staje się kryterium moralnej wartości i moralnego autorytetu.

Z rozwojem kapitalizmu upowszechniło się w społeczeństwie przekonanie, że ekonomiczne bogactwo jest najwyższym kryterium wartości człowieka. *W społeczeństwie kapitalistycznym pieniądz i ekonomiczne bogactwo stało się demokratycznym idealem, nie pytającym nikogo ani o pochodzenie, ani o żadne inne tytuły społeczne i moralne.*

W ten sposób kapitalizm dezorganizował społeczeństwo, nie tylko rozbijając tradycyjne formy społecznego bytowania, nie tylko nie dopuszczając do wytworzenia się niezależnego moralnego kierownictwa, lecz także zabierając masom wiarę we wszelkie wartości społeczne i moralne.

W takich warunkach w latach 1923—1926 wystąpił w Stanach Zjednoczonych A. P. ruch ludowy, niezmiernie symptomatyczny dla społeczno-kulturalnych stosunków kraju. Ruch ten, który objął stany południowe, wystąpił przeciwko nauczaniu teorii ewolucji w szkołach. Patronował mu J. Bryan, najwybitniejszy przywódca mas ludowych w walce z plutokracją. On to był kandydatem ludowym na prezydenta Stanów Zjednoczonych w wyborach 1896, kiedy przegrał na rzecz kandydata przemysłu niewielkim marginesem głosów.

„Dążymy do utwierdzenia doktryny — mówił Bryan w 1925 r. w związku z kampanią przeciw ewolucji — że płacący podatki ma prawo mówić, czego szkoły mają uczyć — płacący podatki, a nie uczony. Amerykańskie towarzystwa popierania nauki mają tylko 11 tysięcy członków. Nie wierzę przeto, ażeby jeden z dziesięciu miał dyktować prawa reszcie. 109 milionów Amerykanów znajduje się po przeciwnej stronie. Oto jest problem! Jest to jedno z największych zagadnień kiedykolwiek podniesionych — zagadnienie prawa ludu do rządzenia szkołami, które utworzył i które utrzymuje. Jeżeli nie płatnik podatkowy ma rządzić, więc któż inny".

W tej niezmiernie charakterystycznej wypowiedzi spotykają się ze sobą dwie tendencje. Jedna — to chłopska koncepcja demokracji lokalnej, charakterystyczna dla politycznej historii Ameryki i wciąż stanowiąca istotny element prądów politycznych Ameryki. Druga — to charakterystyczna dla ewolucji kapitalizmu tendencja do przenikania kryterium pieniężnego do wszelkich dziedzin życia społecznego. Sukces ekonomiczny jako najwyższe kryterium wybitności i zasługi jednostki podporządkowuje sobie wszelkie inne kryteria kulturalne, społeczne i moralne; upowszechnia się zasada, że społecznie liczy się ten, kto płaci. Różnica pomiędzy stanowiskiem plutokracji a stanowiskiem zawartym w tej deklaracji amerykańskiego ruchu ludowego pod tym względem dotyczy tylko wysokości posiadanego bogactwa, od której zaczyna się liczyć zdanie jednostki ludzkiej. Jest to stan rzeczy nacechowany daleko posuniętą dezorganizacją społeczno-moralną, stwarzającą warunki sprzyjające wszelkim ruchom odrodzenia moralnego pod hasłem „czystości rasy ludzkiej", czy to będzie ruch antyewolucyjny czy antysemicki i nordycki. Nigdy nie wiadomo, kiedy taki ruch ujawni się i sięgnie po totalny autorytet moralny w społeczeństwie.

PROBLEM INTELEKTUALNEGO KIEROWNICTWA

W tradycyjnej społeczności chłopskiego sąsiedztwa ekonomiczne kryteria zespalały się ściśle ze społecznymi kryteriami dobrego sąsiedztwa. W wielkim społeczeństwie nowoczesnym jednakże „dobry sąsiad" przestaje być dostateczną podstawą organizacji społecznej.

Mannheim słusznie zwraca uwagę na to, że w społeczeństwie nowoczesnym kłócą się ze sobą sprzeczne tendencje. Z jednej strony występuje emancypacja społeczna szerokich mas społeczeństwa, a z drugiej — złożoność nowoczesnego społeczeństwa zmniejsza do zera rozumienie całości społecznej przez przeciętnego człowieka z masy. Wskutek tego masy, niezdolne do samodzielnej orientacji w zawiłych problemach nowoczesnego społeczeństwa, skazane są na bezkrytyczną zależność od intelektualnego przywództwa nielicznej mniejszości intelektualnej. Z demokratyzacją społeczeństwa problem elity intelektualnej zmienia się, ale nie znika. Nie rozwiązuje się sam przez się.

Mannheim zwraca dalej uwagę na to, że problemy stąd wynikające w liberalno-kapitalistycznych społeczeństwach komplikują się jeszcze przez to, że w społeczeństwach tych nie ma jednej elity intelektualnej, lecz wiele grup intelektualnych, których związki między sobą i z szerokimi masami są luźne. Grupy te nie mają charakteru ogólnego autorytetu społeczno-moralnego.

Wreszcie, podkreśla Mannheim, intelektualny wysiłek tych elit umysłowych skierowany jest na cele indywidualistyczne, a nie społeczne. Wynika to ze społeczno-kulturalnych tradycji inteligencji, z budowy liberalno-kapitalistycznego społeczeństwa, i z braku węzłów, które by łączyły inteligencję z masami.

Społeczeństwo nowoczesne, zdaniem Mannheima, wystawione na działania przedstawionych tendencji woła o wysiłek planowego pokierowania rozwojowymi siłami tego społeczeństwa. Inaczej będzie ono wciąż wystawione na śmiertelne niebezpieczeństwo pogłębiającej się dezorganizacji i chaosu.

Totalizm, ucieleśniony w hitleryzmie, przyniósł katastrofę wojenną. Hitleryzm został pokonany. Ale problem „totalizmu" nie został przez to ani pokonany, ani rozwiązany. Nie narodził go bowiem hitleryzm. Wyrósł on na podłożu dezorganizacji kapitalistycznego społeczeństwa nowoczesnego — i czeka na rozwiązanie. Gdy wskutek dezorganizacji społecznej, dokonującej się samorzutnie, a nawet celowo przyśpieszanej przez zainteresowane czynniki polityczne, rozpadają się w społeczeństwie warstwy czy grupy, stojące na straży wolności, lecz równocześnie utrzymujące ją w koniecznych granicach społecznych — zjawia się hegemonia jednej grupy i prowadzi do hitleryzmu. W społeczeństwie, w którym wszyscy uzyskują wolność za cenę rozpadu organizacji społecznej, sytuacja dojrzewa do tego, by wszyscy wolność utracili.

Józef Chałasiński

Z WYSTAWY TADEUSZA KULISIEWICZA

Łodzie (rysunek — pióro)

---

brzuchu i małych, pulchnych, stale na poziomie piersi żwawo się poruszających dłoniach. Dawny właściciel Monopolu, bogacz ostrowiecki Lewkowicz, zginął w swoim czasie z całą rodziną w Treblince.

Święcki, który był stałym gościem Monopolu, familiarnie przywitał się z restauratorem.

— Jakżesz się pan ma, panie Słomka?

— Ja się zawsze dobrze mam, panie prezydencie.

Święcki się roześmiał i obrócił do swoich towarzyszy.

— Popatrzcie, panowie, nareszcie człowiek, który nie narzeka i jest zadowolony. Pan nigdy nie narzeka, panie Słomka?

Słomka zatrzepotał przy piersi pulchnymi palcami.

— Broń Boże! Po co narzekać, panie prezydencie? Czy ja mam starą żonę, żeby narzekać?

— A co, młodą pan ma?

— Młodej też nie.

— Popatrzcie! — zdziwił się trochę Święcki. — Nie jest pan chyba wrogiem kobiet?

Słomka rozciągnął tłuste wargi w szerokim uśmiechu, upodabniając dzięki temu swoją twarz do ogromnej, różowej pupy.

— Przeciwnie, panie prezydencie. Dlatego wolę się nie żenić. Po co jeść stale jedną potrawę?

Weychertowi, który z zawodu był architektem, a poza tym wesołym i towarzyskim człowiekiem, podobało się to określenie.

— Stosuje pan w życiu kulinarne przepisy miłości...

Słomka zawsze wysoko sobie cenił dokładność w tytułowaniu gości. W tym wypadku znał na szczęście z widzenia Weycherta i wiedział, jakie zajmuje stanowisko.

— To zrozumiałe, panie wiceprezydencie — ukłonił się w jego stronę. — Jestem restauratorem.

I aż spotniał ze strachu, aby trzeźwi z przybyłych, o którego personaliach nic niestety nie wiedział, nie odezwał się przypadkiem i nie zmusił go do udzielenia mu ogołoconej z tytulatury odpowiedzi. Ale Kalicki nie lubił większych zebrań, nie znosił atmosfery knajpy i do Monopolu dał się wyciągnąć tylko dlatego, że chciał się zobaczyć ze Szczuką. Nie zdradzał też na razie ochoty do brania udziału w rozmowie. Był to człowiek starszy, po pięćdziesiątce, suchy i wysoki, o gęstych, siwizną przyprószonych włosach, i długich, również szpakowatych wąsach, które całej jego sylwetce, a zwłaszcza twarzy, nadawały wygląd bardzo niedzisiejszy.

Niemniej jednak, chociaż milczący, Kalicki nie dawał Słomce spokoju. Gdy przybyli w szatni zdejmowali płaszcze, tak się przez cały czas starał wśród nich lawirować, aby na wszelki wypadek uniknąć z Kalickim bezpośredniego zetknięcia. Był to bolesny cios zadany jego obowiązkom gospodarza. Zwykł cenić prawdziwie tych tylko gości, których znał osobiście. Pozostali byli cyframi rachunków, niczym więcej. Wreszcie, gdy przeprowadzał prezydenta i jego towarzyszy przez ogólną salę, skorzystał z okazji, że torując wśród tłoku drogę, znalazł się przez moment blisko Święckiego.

— Panie prezydencie, proszę mi wybaczyć... — szepnął, sapiąc i żwawo, jakby płynął, poruszając przy piersi paluszkami.

Święcki odpowiadał akurat na czyjś ukłon. Kłaniano mu się z wielu stron. Lubił to. Lubił się teraz pokazywać w miejscach publicznych. Przez sekundę wyobraził sobie, że z odkrytą głową i w otoczeniu licznej świty idzie wolnym krokiem wzdłuż na baczność wyprężonych szeregów honorowej kompanii wojska.

— Słucham? — pochylił się w stronę niskiego Słomki z gestem tak uprzejmym, jakby się zwracał do premiera.

— Pana wiceprezydenta Weycherta mam już zaszczyt znać — ciurknął Słomka. — Ale ten drugi pan...

— Kalicki?

— Właśnie, właśnie... Nie znałem niestety godności ani stanowiska....

Święcki dobrotliwie się roześmiał.

— A, o to panu chodzi! Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Powinien pan jednak znać miejscowych dygnitarzy, panie Słomka. A poza tym — ujął poufale grubasa pod ramię — jeśli pan rzeczywiście takie znaczenie przywiązuje do tytułów...

— A, bo to ważne, panie prezydencie — zasapał Słomka. — Bardzo ważne.

Święcki znowu oddał ukłon.

— Nie przeczę. Może mnie pan wobec tego tytułować od dzisiaj, od zaraz powiedzmy, jeśli sprawi to panu przyjemność...

— Jak, panie prezydencie? — szepnął cichutko Słomka.

— Niestety ministrem, drogi panie Słomka.

Restaurator aż się potknął z wielkiego wrażenia.

— Niech pan uważa — ostrzegł go Święcki.

Tamten, jakby pod dotknięciem najwyższego szczęścia, cały się zmienił w promieniejące zera. Wszystko w nim było teraz doskonale okrągłe: głowa, oczy, usta, tułów, malutkie rączki.

— Co za radość, panie prezydencie... przepraszam, panie ministrze. To naprawdę wielki dzień dla mnie.

W rzęsiście oświetlonej kryształowymi żyrandolami sali bankietowej, poza dwoma wyfraczonymi kelnerami, którzy na widok wchodzących dyskretnie się cofnęli w głąb, nie było na razie nikogo.

Święcki rozejrzał się po sali.

— Pierwsi, widzę, jesteśmy — zatarł dłonie. — To świetnie! Acha, panie Słomka, mojego sekretarza tu nie było?

Restaurator podziwiał tymczasem w skupieniu doskonałą wspaniałość stołu. Na tle luster w złotych ramach i ścian spłowiałych cokolwiek, lecz jeszcze przechowujących intensywną pąsowość, biały, różami przybrany i uginający się pod zastawą i zakąskami stół podziałał na niego urzekająco. Święcki musiał powtórzyć pytanie.

— Pana Drewnowskiego? — ocknął się Słomka. — Nie, panie ministrze, nie było.

Święcki wyrozumiale się uśmiechnął do swoich towarzyszy.

— Słyszeliście, panowie? — powiedział cicho. — Już pan minister. W tym plotkarskim mieście nic się nie da ukryć.

— Zależy ci na dyskrecji? — roześmiał się Weychert.

— Powiedzmy, że w tym wypadku nie — odparł swobodnie Święcki. — Ale moje ucho musi się przyzwyczaić.

— Nie obawiaj się! — poklepał go po ramieniu Weychert — nie przyjdzie mu to z trudem.

— I ja tak myślę.

Zadowolony z żartu zwrócił się do Słomki.

— Pogratulować panu, panie Słomka. Świetnie się pan spisał. Wygląd stołu całkiem przedwojenny.

Promieniejący zadowoleniem Słomka ukłonił się bez słowa. Wszelkie wyrazy uznania dla swojej sztuki kulinarnej zawsze przyjmował w milczeniu. Traktował je jako należny hołd. Nagle się poderwał.

— Chwileczkę, panie ministrze...

I szybko się potoczył w głąb sali, gdzie stali kelnerzy. Skinął na bliższego.

— Jakie wina zostały zamówione? — spytał szeptem.

— Reńskie, panie szefie. Mamy ich bardzo dużo.

Słomka skrzywił się i zamachał malutkimi rączkami.

— Zmienić, natychmiast zmienić. Podać najdroższe francuskie. Białe i czerwone. Same francuskie.

„Niech płacą!" — szepnął samemu sobie z zadowoleniem.

Tymczasem Święcki częstował Weycherta i Kalickiego papierosami.

— Po dziewiątej już. Obawiam się, że się nasi goście pospóźniają. Ta idiotyczna burza wlazła nam w paradę.

— Szczuka mieszka w Monopolu — odezwał się z boku stojący Kalicki.

Święcki wzruszył ramionami.

— Mieszka. Ale co z tego? Z samym Szczuką nie siądziemy do stołu. Nie wiem, jak panowie, ale mnie, przyznam się, porządnie się już chce jeść.

— Mnie też — stwierdził Weychert.

— I gdzie się ten Drewnowski podział? — zniecierpliwił się naraz Święcki. — Specjalnie kazałem mu przyjść wcześniej. Ciekawy jestem, co ty o nim sądzisz? — zwrócił się do Weycherta.

— O Drewnowskim?

— Acha.

— Cóż? Robi wrażenie obrotnego chłopca.

— Prawda? Myślę, że warto go wziąć ze sobą do Warszawy.

— Masz, o wilku mowa...

Rzeczywiście we drzwiach stał Drewnowski i nieco oślepiony silnym światłem jarzących się żyrandoli, zacierał z głupawą miną dłonie, które tak mu ciążyły, że nie wiedział, co z nimi zrobić. Przez moment poczuł się zupełnie pijany. Cała sala wraz ze stołem, lustrami i pąsowymi ścianami zawirowała mu w oczach, przełamując się w krąg blasków, cieni i dziwacznych kształtów. Miał przecież na tyle przytomności, aby zmusić się do otrzeźwienia. Nienaturalnie wyprostowany i trochę zbyt sztywnym krokiem ruszył przed siebie, w kierunku stojących mężczyzn. Za nim, jak cień, wysunął się Pieniążek i obciągając przykusą marynarkę, podążył za swoim przyjacielem na mięciutko w kolanach uginających się nogach.

Święcki nie wierzył zrazu oczom. Gdy uwierzyć musiał, zalała go pasja.

— Co to za jeden? — spytał zaciekawiony Weychert.

— Psiakrew! — zaklął krótko wiceminister.

Drewnowski dotarł do nich tymczasem i mimo wyraźnego usztywnienia całego ciała osiągnął sukces dość znaczny, ponieważ udało mu się przywitać ze wszystkimi bez zarzutu. Święcki natychmiast odciągnął go na bok.

— Co to znaczy, panie Drewnowski? — zaczął ostro i z góry. — Co pan wyprawia? Co tu robi ten łobuz?

— Pieniążek? — zdziwił się Drewnowski. — A właśnie... tak się złożyło... myślałem, panie prezydencie, że prasa... że może w ogóle...

Zaplątał się i utknął. Poprzez szum, który w nim falował, poczuł się aż po sam naskórek przeniknięty jedną myślą: wyrżnąć Święckiego w mordę. Gdy to sobie uświadomił, oblał się potem.

— Myślałem — wydobył ze siebie słaby cień głosu — że z różnych względów...

Święcki poczerwieniał.

— Co mi pan za bzdury opowiada! Co z panem jest?

Obleśnie uśmiechnięty Pieniążek wysunął się spoza pleców Drewnowskiego.

— Mo... moje gratulacje — czknął bezwstydnie. — Pozwoli pan, pa... panie ministrze, że w imieniu de... demokratycznych dziennikarzy...

We drzwiach wszczął się ożywiony gwar. Nowi goście wchodzili.

— — — — — — —

PAWEŁ KONRAD

Marksizm bez przyłbicy

SŁOWO I CIAŁO

Coraz częściej i dobitniej mówi się na lewicy o marksistowskim humanizmie Coraz śmielej wypowiada się zdanie, że jedynym obliczem prawdziwego socjalizmu jest oblicze humanistyczne, że jedynym prawdziwym humanizmem naszej epoki jest marksizm. Niedawno Adam Schaff, znawca i popularyzator literatury marksistowskiej, w dwóch kolejnych numerach „Kuźnicy" (nr 7 i 8) uzasadnił tezę o socjalistycznym humanizmie, posługując się klasycznymi argumentami i klasyczną metodą jego dialektyki.

Teoretyczna argumentacja nie wyczerpuje jednak zagadnienia. Krytycy i przeciwnicy marksizmu polemizują bowiem nie tyle z klasycznym słowem marksizmu, ile z obiegowymi poglądami przeciętnych zwolenników Marxa. Nie tyle z **zamierzeniami** klasyków, ile ze sposobem, w jaki epigoni **pojmują i urzeczywistniają** te zamierzenia. Krytycy i przeciwnicy marksizmu interesują się nurtem i ujściem rzeki bardziej niż jej źródłem, odległym w czasie o pełne już stulecie. I nawet jeśli epigoni dobrze pojęli nauki mistrzów, to jednak idea, żyjąca i przechodząca z pokolenia na pokolenie, różni się od idei pierwotnej. Jak różni się ciało od słowa. Z biegiem czasu, w zmieniających się warunkach i w miarę jak wzbogaca się nasze doświadczenie, zmienia się kształt i barwa tych samych prawd. Z dobrze znanych tekstów wyłaniają się nagle na pierwszy plan słowa, które przedtem nie przykuwały naszej uwagi; tracą pierwotne znaczenie myśli, które wydawały się przedtem pierwszoplanowymi; w zmienionej perspektywie zmienia się układ i wzajemna proporcja poszczególnych członów tej samej idei. Marksizm jest jeden. Ale właśnie zgodnie z duchem, tendencją i wytycznymi marksizmu, sam marksizm przechodzi ewolucję. Dlatego prawdziwym marksizmem jest marksizm współczesny, to znaczy taki, który uwzględnia cały dorobek wiedzy i doświadczenia, oddzielający współczesność od okresu narodzin idei.

Raz po raz słyszy się nawoływania do tego, by wyjść poza dogmatyczne powtarzanie i talmudyczne komentowanie tekstów, by rozwinąć i uwspółcześnić teorię marksizmu. Jakże często jednak ci, którzy innych nawołują do wypłynięcia na szerokie wody, sami lękliwie pluszczą się u brzegu, spokojni, gdy czują pod nogami grunt klasycznych sformułowań i panicznie obawiający się głębi, która czyha na śmiałka niebezpiecznymi wirami rewizjonizmu.

Los marksistowskiego humanizmu zależy nie od tego, czy udowodni się teoretycznie, że marksizm zgodnie z własnymi założeniami, zamierzeniami i pojęciami jest „jako taki" humanistyczny, ale zależy od postawy samych marksistów, od tego, czy wykażą, że istotnie sprawa człowieka, jego wszechstronnego rozwoju, jego wolności i godności jest dla nich sprawą naczelną.

Trudno byłoby żądać od niemarksistów, żeby uznali marksistowski humanizm na kredyt, gdyby marksizm już dziś nie odsłaniał humanistycznego oblicza, gdyby postawa marksistów już dziś nie była humanistyczna. Istnieją jednak zagadnienia, które utrudniają totalnym humanistom dostęp do marksizmu i utrudniają totalnym marksistom pełne ujawnienie się w humanizmie. Krytykom marksizmu, skłonnym do symplifikowania pojęć, przeciwstawiają się fałszywi obrońcy, skłonni do talmudyzowania argumentów. Niejedna dyskusja pogłębia wzajemne urazy i przyczynia się do zupełnego pogmatwania pojęć. Narastają kompleksy. I chociaż praktyka politycznego życia rozwiązała już niejeden kompleks, to teoria — ociąga się jeszcze.

KOMPLEKS MATERII

Niektóre zagadnienia materializmu dialektycznego, a zwłaszcza samo zagadnienie materii, są źródłem stałych i — trzeba to przyznać — uzasadnionych nieporozumień. Chodzi o to, że sami marksiści, wbrew własnym twierdzeniom, często zapominają o tym, że materializm dialektyczny **nie jest wiedzą** o budowie i właściwościach materii, którymi zajmują się wyłącznie nauki przyrodnicze. Jednakowo świadczy o pomieszaniu pojęć, gdy się uważa teorie współczesnej fizyki za sprzeczne, czy też, gdy się je uważa za zgodne z materializmem. Sprzeczny lub zgodny z materializmem może być tylko **stosunek** do otaczającej nas rzeczywistości, a nie **wiedza** o niej.

W wypowiedziach klasyków marksizmu o materii należy odróżnić dwie części składowe: stosunek do rzeczywistości, zwanej materią, i wiedzę o tej rzeczywistości, zaczerpniętą z nauk przyrodniczych. Ten drugi czynnik jest wartością zmienną, dostarczaną marksizmowi przez nauki przyrodnicze, nie dla zatwierdzenia lub odrzucenia, ale tylko do wiadomości. Postęp nauk przyrodniczych może wpływać na sformułowanie poszczególnych tez materializmu, ale nie może naruszać jego istoty. Istotą materializmu dialektycznego jest bowiem naukowa postawa wobec rzeczywistości, akceptująca wszystko, co nauki ścisłe własnym językiem o tej rzeczywistości powiedzą.

Mówi Engels w „Ludwiku Feuerbachu". „Podobnie jednak jak idealizm, tak samo i materializm przebył cały szereg stopni rozwojowych. Musi on zmieniać formę wraz z każdym epokowym odkryciem, choćby tylko na polu nauk przyrodniczych..." Engels zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że epokowe odkrycia fizyki XX wieku nie zmieniły dotąd formy materializmu. Engels zdziwiłby się jeszcze bardziej, gdyby mu powiedziano, że ktokolwiek powołuje się na niego w dyskusji o budowie i właściwościach materiii. To, co klasycy marksizmu mówią o ruchu materii w czasie i przestrzeni, jest wyrazem ich wiedzy o materii, a nie wyrazem ich postawy wobec rzeczywistości. Jeśli fizyka współczesna poddała krytyce dotychczasowe pojęcia ruchu, czasu i przestrzeni, może to mieć wpływ tylko na zmianę naszej wiedzy o materii, na zmianę formy materializmu, nie może natomiast naruszyć racjonalnego, naukowego, tzn. materialistycznego stosunku do rzeczywistości.

Zupełnie niepotrzebnie niektórzy, bardzo nawet autorytatywni marksiści angażują marksizm w zagadnienia wiedzy o materii. W wydanych np. w r. 1946-ym „Principes élémentaires de philosophie", będących zbiorem wykładów zamordowanego przez Niemców, znanego marksisty francuskiego G. Politzera, czytamy, że **jedyną** własnością materii, o której mówi materializm dialektyczny, jest obiektywne istnienie poza naszą świadomością. Ale w ślad za tym autor powtarza tradycyjne sformułowania o ruchu, o czasie i o przestrzeni, określając tym samym dalsze własności materii, chociaż lepiej byłoby, żeby o tym mówili fizycy. Słuszniej czyni Roger Garaudy („Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej"), pisząc: „Na drugie pytanie „Jaka jest materia?", materialista odpowiada: „Wiemy o niej to tylko, co podaje nam nauka i nic więcej". Z odpowiedzi tej wynika, że każde wielkie odkrycie naukowe, wzbogacając naszą wiedzę o budowie materii, pozwala na nowy postęp filozofii materialistycznej".

Jedynym postulatem marksizmu wobec nauk ścisłych niech będzie postulat zachowania naukowej ścisłości, stosowania konsekwentnie naukowej metody i nie wprowadzania do nauki pojęć pozanaukowych. Jeśli np. fizyk powie, że ruchem materii rządzi wola boska lub duch świata, to będą to pojęcia zaczerpnięte ze sfery pozanaukowej. Taka teoria fizyczna byłaby sprzeczna z marksizmem, jako teoria nienaukowa. Jeśli fizyk powie, że materia nie istnieje, to będzie to sąd filozoficzny, a nie przyrodniczy. Dyskusja na ten temat byłaby dyskusją o pojęciach a nie o zjawiskach.

Postawa materialisty, to nic innego jak postawa naukowca. Prawa dialektyki, które w ujęciu niektórych komentatorów przybrały postać czarodziejskiego misterium, nie są żadną pozytywną wiedzą o ruchu materii. Dialektyka jest uzupełnieniem logiki formalnej. Myśleć dialektycznie, to nie znaczy stosować specjalne tricki myślowe, ale ujmować zjawiska w ich wzajemnej zależności od siebie, nie wyodrębniać ich sztucznie spośród ogółu zjawisk, nie ujmować statycznie tego, co jest dynamiką, nie trwać przy starych pojęciach w obliczu nowych zjawisk.

Uczony, który nie zanieczyszcza nauki przesądami, który badając wycinek rzeczywistości ogarnia wszystkie jego związki z innymi zagadnieniami, który dostrzega i bada współzależność przyczyn i skutków, który dostrzega i bada nie same zjawiska ale procesy, który uznaje autorytet doświadczenia a nie uznaje autorytetu sądów apriorycznych, który wreszcie odnosi się krytycznie do własnych pojęć i własnej metody — spełnia wszystkie postulaty dialektycznego materializmu.

Niestety nieświadomy materializm ludzi nauki ogranicza się często do specjalnej dziedziny ich zainteresowań i nie jest stosowany do zagadnień społecznych i politycznych. Zadaniem marksizmu jest apelowanie do świata nauki o naukowy stosunek do społecznej rzeczywistości, nie zaś kontrolowanie, czy prawidłowa jest sama wiedza przyrodnicza.

Nasuwa się jednak pytanie: jeśli materializm dialektyczny nie daje nam żadnej pozytywnej wiedzy o materii i jej ruchu, to jaką wartość ma samo stwierdzenie, że materia istnieje niezależnie od naszej świadomości? Czy klasyczne pojęcia i sformułowania materializmu wytrzymają próbę semantycznej analizy neopozytywistycznej krytyki? Nie przesądzając odpowiedzi, stwierdźmy, że próba taka jest konieczna. Jeśli materializm jej się nie podda, przestanie być nauką a stanie się wyznaniem wiary. Trudno przewidzieć, czy nie okaże się słusznym zastąpienie wielu klasycznych sformułowań nowymi. Nie trzeba się tego obawiać. Najistotniejsze w materializmie dialektycznym, to stosunek człowieka do przyrody, postawa człowieka wobec niej. Szukanie wiedzy o rzeczywistości w niej samej i czynne praktyczne kształtowanie tej rzeczywistości.

W okresie dziecięcego radykalizmu niektórzy marksiści prześcigali się w analizowaniu „z marksistowskiego punktu widzenia" osiągnięć nauk ścisłych i szukali linii klasowego podziału w fizyce, biologii czy matematyce, nie dostrzegając, że sam rozwój nauk ścisłych narzuca uczonemu mimowolną postawę materialistyczną. Z biegiem czasu zrozumiano, że w wielu wypadkach zamiast apelu: „bądźcie materialistami!" należało zawołać: „ależ wy jesteście materialistami!" Z biegiem czasu zrozumiano, że nauki ścisłe posiadają własne prawa rozwoju i mogą się rozwijać tylko w atmosferze wolności. Punkt ciężkości zainteresowań marksizmu przesunął się od zagadnień wiedzy przyrodniczej ku zagadnieniom postawy nauk i postawy uczonego. Przesunięcie to nastąpiło w praktyce wcześniej niż w teorii. Przesunęła się też linia podziału w świecie nauki, i marksiści - uczeni odkryli, że każdy uczony, który dochowuje wierności czystej nauce, jest ich rzeczywistym lub potencjalnym sprzymierzeńcem. Sojusz polityczny nie jest tu koniunkturalną grą, ale wyrazem rzeczywistego przymierza między ludźmi, którzy mogą różnie widzieć prawdę, ale którzy jednako ją cenią.

W miarę tego, jak marksizm przenosi swoją uwagę z zagadnienia wiedzy o świecie materialnym na zagadnienie postawy wobec tego świata, ujawnia się humanistyczne oblicze materializmu.

BYT I ŚWIADOMOŚĆ

Podkreślano już wielokrotnie, że pojmowanie świadomości jako prostej funkcji warunków bytu jest obce marksizmowi. Dialektyka nie uznaje w ogóle jednostronnej zależności skutku od przyczyny, ale tylko zależności wzajemne. Marx i Engels namiętnie protestowali przeciw pomawianiu ich o jednostronny ekonomizm w objaśnianiu procesów historycznych. Warto zwrócić uwagę na to, że pojmowanie świadomości jako prostego wykładnika interesów klasowych, doprowadziłoby marksizm do klasycznej antynomii. Jeśli wszystkie poglądy i idee są wyrazem klasowych interesów, to takim wyrazem jest i marksizm. Ergo jego materializm filozoficzny i dziejowy nie jest obiektywną prawdą, ale tylko wyrazem dążeń proletariatu, który, dążąc do przebudowania warunków społecznego bytu, przenosi swój „materialistyczny" pogląd również na historię i filozofię, i przypisuje naturze skłonność do rewolucyjnych skoków, jak inni Bogu przypisują pochodzenie ziemskiej władzy. Relatywizując klasowo własną prawdziwość, marksizm zniósłby sam siebie. Jeśli jednak marksizm jest nie tylko uwarunkowany klasowo, ale ponadto i prawdziwy obiektywnie, to tym samym podważona zostaje jego teza o klasowym uwarunkowaniu wszystkich prawd. Nie jest przecież dowodem obiektywnej prawdziwości własny sąd o tym, bowiem wszystkie klasowe prawdy głosiły własną obiektywną prawdziwość...

Marksizm nie wpada jednak w pułapkę takiej antynomii, bowiem stosunek między bytem i świadomością pojmuje jako stosunek zależności wzajemnej. Przemożny wpływ warunków bytu na kształtowanie się świadomości nie jest dla marksizmu absolutnym i wieczystym prawem. Beznamiętna, naukowa analiza dotychczasowych dziejów ludzkości wykazuje klasową zależność świadomości ludzkiej. Marksizm nie apoteozuje tej zależności. Przeciwnie, sam apeluje do świadomości ludzkiej o zmianę warunków bytu. Marksizm jest wyrazem dążeń ludzkiej świadomości do uniezależnienia się od warunków bytu przez podporządkowanie ich sobie.

W pierwszej fazie swego pochodu marksizm akcentował przede wszystkim stronę ekonomiczną procesów dziejowych. Pisze o tym Engels w liście do Józefa Blocha z dnia 21 września 1890 r.: „To, że młodzi przypisują większą, niż należy, wagę stronie ekonomicznej, jest zapewne częściowo winą Marxa i moją. W polemice z przeciwnikami wypadało nam akcentować zaprzeczaną przez nich zasadę naczelną, i wobec tego nie zawsze mieliśmy dosyć czasu, miejsca i sposobności do dostatecznego uwzględnienia pozostałych momentów, uczestniczących w procesie wzajemnego oddziaływania".

Z biegiem czasu, chociaż nie od razu, marksizm wyzbył się tej jednostronności, nieuniknionej w pierwszym okresie. Zarówno pogłębienie teorii jak i doświadczenie politycznej walki nauczyło marksistów właściwej oceny świadomości człowieka. Zrozumiano, że człowiek nie jest automatem, w którym naciśnięcie guzika klasowego interesu wywołuje bezpośrednią i pożądaną reakcję świadomości. Zrozumiano, że świadomość ludzka to nader skomplikowany splot myśli, przesądów, wyobrażeń i emocji, do którego nie zawsze można przemówić językiem rozumnej perswazji. Zrozumiano, że robotnik nie jest abstrakcyjnym proletariuszem, ale posiada również tradycje narodowe. Nauczono się przemawiać do człowieka potocznym językiem, ale i nauczono się apelować do jego najwznioślejszych uczuć. Nauczono się pojmować i traktować człowieka jako całość. Nauczono się oddziaływać na ludzką świadomość. Nauczono się też wszechstronniej pojmować ludzkie dzieje.

W miarę tego, jak narasta zrozumienie **wzajemnej** zależności między świadomością i bytem, ujawnia się humanistyczne oblicze materializmu dziejowego.

MORALNOŚĆ

Pisze Adam Schaff w artykule „Bezdroża pseudohumanizmu" („Kuźnica", nr 11 z dnia 19 marca br.): „Dla marksizmu moralne jest to, co odpowiada interesom klasy robotniczej, tzn. pośrednio interesom narodu". Czy tak? Czy istotnie marksizm w ocenie wartości moralnych kieruje się buszmeńską moralnością? Nie szukajmy odpowiedzi w cytatach, ale zastanówmy się. Jeśli istotnie relatywizm moralny jest zasadą marksizmu, to należy uznać za obłudę oburzanie się marksistów na zbrodnie niemieckie. Czy tylko dlatego potępia się tortury, dzieciobójstwo i gwałty hitlerowskie, że odpowiadały one interesom faszyzmu, a były sprzeczne z interesami proletariatu? Czy znęcanie się nad zwierzętami jest czynnością obojętną dla marksisty, ponieważ nie pomaga ono ani nie szkodzi sprawie proletariatu? Przecież nikt tak nie sądzi. Przecież odrzucamy i potępiamy hitlerowskie metody i zasadniczo nie stosujemy ich wobec wrogów. Czy dlatego, że nie odpowiadają one interesom klasy robotniczej? A dlaczego właściwie nie odpowiadają interesom klasy robotniczej? Bo są złe. Są złe same w sobie Nie trzeba faktu odrzucania takich metod uzasadniać utylitarnymi względami jak np., że kompromitują one marksizm na zewnątrz lub zezwierzęcają wykonawców Nie stosujemy tych metod, ponieważ potępiamy je moralnie. Nie trzeba się wstydzić takiego wyznania.

Kryteria moralności są oczywiście zmienne i społecznie uwarunkowane. Ale uznawać zmienność pewnych wartości, to nie znaczy negować w ogóle ich istnienie. Dialektyka rewolucyjnego rozwoju nie polega na zupełnym unicestwianiu starych wartości i powstawaniu nowych — z niczego. Niezależnie od rewolucyjnych skoków, a właściwie dzięki tym skokom, istnieje ciągłość rozwoju historycznego i istnieją trwałe wartości, które zdradzane przez jedną klasę odradzają się wraz ze zwycięstwem drugiej klasy. Klasa robotnicza bynajmniej nie opiera swojej moralności na zasadzie, że wszystko dobre, co nam służy, ale z całą świadomością ogłasza się za spadkobiercę wartości moralnych ob-

---

Jednopiętrowy drewniak, do którego Szczuka schronił się przed ulewą w powrotnej drodze do hotelu, miał wąską i niską sień wychodzącą na podwórko wiejskie prawie, ze studnią po środku i ogrodem w tyle 1 w sieni i na podwórzu pusto było na razie. Po chwili dopiero wpadli do bramy w pośpiechu nowi ludzie, mężczyzna z kobietą. Wyglądali na małżeństwo powracające z uroczystej wizyty. On, wysoki i szczupły, w meloniku i czarnym palcie, ona, również chuda i wzrostu więcej niż średniego, w wiosennym brązowym kostiumie. Nagła i gwałtowna ulewa musiała ich, podobnie, jak Szczukę, przychwycić na niezabudowanym odcinku ulicy i nim zdążyli dobiec do najbliższego domu, zmokli porządnie. Deszcz lał rzęsisty. Gęste strugi wody spadały z szumem, dudniło w rynnach, raz po raz przy ogłuszającym trzasku grzmotów zapalały się wśród półmroku oślepiające błyskawice. Była to prawdziwa burza wiosenna, pierwsza w tym roku.

Szczuka, po swojemu wsparłszy się na lasce, przystanął u samego prawie wylotu sieni. Zmęczony był spacerem i upałem. Złamana w swoim czasie, jeszcze podczas śledztwa, i źle później zestawiona noga zawsze mu od tej pory dokuczała przy dłuższym chodzeniu. Z sercem też się czuł ostatnio nie najlepiej. Oddychał teraz z prawdziwą ulgą. Parność przedburzowa już ustąpiła, powietrze szybko się odświeżało i z głębi podwórza, z ogrodu, niósł się orzeźwiający zapach wilgotnej ziemi i listowia. Tamci dwoje, trochę jeszcze zadyszani pośpieszną ucieczką przed ulewą, otrzepywali z ubrań wodę. W półmroku, który ogarniał i tak dość mroczną sień, przypominali duże i gwałtownie się trzepoczące ptaki.

— Widzisz — zaczęła z akcentem wyrzutu kobieta — mówiłam ci, żebyś wziął na wszelki wypadek parasol...

Mężczyzna w milczeniu wygładzał klapy swego palta. Błysnęło akurat i równocześnie prawie krótki piorun trzasnął gdzieś bardzo blisko.

— O Boże! — wzdrygnęła się kobieta. — Popatrz tylko, kapelusz zupełnie na nic. Trzeba mieć doprawdy moje szczęście, żeby raz się porządnie ubrać...

— Nie przesadzaj — mruknął mężczyzna. — Nic się kapeluszowi nie stanie.

Ogniste blaski raz po raz rozdzierały ciemność. Ulewa jeszcze przybrała na sile.

— Doskonale jednak ten deszcz zrobi — zauważył mężczyzna. — Upał już był nie do wytrzymania.

— Ciekawa jestem, jak my się teraz do domu dostaniemy?

— Dostaniemy się, nie bój się. Zaraz wszystko przejdzie. Przyjemnie było u Gajewskich, nie?

Rozmawiali półgłosem, lecz Szczuka słyszał każde słowo.

— Czy ja wiem? — odpowiedziała niechętnie. — Człowiek głowy nawet nie ma do jakiejś ludzkiej rozmowy...

— Znowu przesada.

— Dla ciebie wszystko jest przesadą.

— Przyznaj sama...

— Ja wiem, najłatwiej tak mówić. A mnie to wszystko dosyć zdrowia kosztuje.

— Co znowu wszystko? Kapelusz?

— Daj spokój! Wiesz doskonale, o czym myślę. Jak się robi z domu przytułek...

Szczuka nie lubił przysłuchiwać się cudzym, obcym sprawom. Sięgnął po papierosa i zapalił go, żeby zaznaczyć swoją obecność.

Mężczyzna ściszył głos.

— Moja droga, cóż my możemy na to poradzić? W tej sytuacji? Wiem, że nie jest wygodnie, ale sama powiedz...

— Powinieneś porozmawiać rozsądnie z Ireną.

— I co?

— Namówić, żeby się przeniosła do szpitala.

— Moja droga...

— I jej będzie lepiej i nam.

— Nam może, ale nie jej. Zastanów się, kobieta przed tygodniem wróciła z obozu, nie ma prócz nas nikogo... zdajesz sobie sprawę, jakie są teraz warunki po szpitalach?

Szczuka uważniej począł słuchać.

— A u nas? Jakież u nas są warunki?

— Zawsze nie to co szpital.

Deszcz lał niezmiennie, lecz burza wyraźnie już przemijała, pioruny uderzały dalej. Przez moment Szczuka zawahał się. Poczuł jednak, że jeśli tej sprawy nie wyjaśni zaraz, dręczyć się będzie później tym przeoczeniem. Szybko się zdecydował.

Podszedł do stojących po drugiej stronie sieni i uchylił kapelusza.

— Przepraszam, usłyszałem, że mówili państwo o kimś, kto wrócił z obozu...

Tamci, w pierwszej chwili zaskoczeni, wydawali się trochę spłoszeni.

— Owszem — odparł niepewnie mężczyzna. — Moja siostra wróciła.

— Z Ravensbrück może?

— Tak.

Szczuka milczał chwilę.

— Proszę mi wybaczyć niedyskrecję...

Mężczyzna nabrał już widocznie do niego zaufania.

— Ależ proszę bardzo — powiedział życzliwie. — Czym możemy służyć?

— Miałem w Ravensbrück kogoś bardzo bliskiego. Żonę. Wiem, że nie żyje, ale to wszystko. Żadnych poza tym bliższych szczegółów.

Mężczyzna skinął ze zrozumieniem głową.

— Rozpytuję się wszędzie, gdzie się da, ale bez żadnego, niestety, skutku. Pana siostra do końca była w Ravensbrück?

— Tak, do końca. Cztery lata przesiedziała.

— To długo.

— Tak, od czterdziestego drugiego. Teraz jest biedaczka chora, pojmuje pan po tym wszystkim... Ale na pewno udzieli panu wszelkich informacji, mogło się tak akurat zdarzyć, że zetknęła się z pańską żoną. Moje nazwisko jest Szretter, profesor Szretter.

Szczuka też się przedstawił.

—Jeżeli państwo pozwolą...

— Prosimy bardzo — odparł profesor. — Mieszkamy na Zielonej pod siódmym, wie pan, gdzie to jest, zaraz koło gimnazjum.

Szczuka przypomniał sobie jutrzejszy wyjazd.

— Jutro nie mogę niestety. Pojutrze też. Ale może we wtorek po południu?

— Kiedy panu dogadza. Siostra moja zawsze jest w domu. Choruje, jak panu wspomniałem. Właśnie w związku z tym mamy pewne kłopoty — widać było, że usiłuje zatrzeć wrażenie, jakie Szczuka mógł wynieść z podsłuchanej rozmowy. — Mamy nieduże mieszkanie, dwa tylko pokoje, a nas jest dwoje, syn, chłopak prawie już dorosły, poza tym dalsza rodzina żony z Warszawy i teraz jeszcze moja siostra. Rozumie pan, w tych warunkach...

—Mąż jest profesorem gimnazjalnym — odezwała się pani Szretterowa. — Pracuje też naukowo. I w tych warunkach nie ma nawet właściwie dla siebie kąta.

Profesor machnął ręką. Wyglądał na człowieka bardzo znużonego.

— Ech, o mnie już nie chodzi...

— Jak to? — oburzyła się z pewną emfazą. — O twoją pracę nie chodzi?

Starszy pan pobłażliwie się uśmiechnął.

— Miało się, wie pan, kiedyś różne ambicje. Praca naukowa, katedra, takie różne plany... Jestem historykiem z zawodu. Zresztą nie narzekam, broń Boże! Nauczanie w szkole średniej także daje dużo zadowolenia.

— Bardzo za to mało pieniędzy — zauważyła Szretterowa.

— Moja droga — odparł pośpiesznie — nie można z tego tylko punktu patrzeć na wszystko. Nie trzeba zresztą przesadzać, nie mamy się jeszcze najgorzej.

— Najgorzej! Dorożkarz lepiej zarabia niż ty po piętnastu latach ciężkiej pracy.

Szczuka nie starał się podtrzymać rozmowy. W milczeniu dopalał papierosa.

— Bardzo możliwe — odezwał się po chwili profesor — że od mojej siostry będzie się pan mógł czegoś dowiedzieć. Bardzo bym się cieszył. Teraz każdy kogoś bliskiego poszukuje. Cóż robić? Pogubili się ludzie, porozdzielali... Ach, co za powietrze! — odetchnął głęboko. — Świetnie taki deszczyk majowy robi. Przejaśnia się już zresztą.

Rzeczywiście deszcz padał o wiele mniejszy. Szczuka rzucił papieros i podniósł kołnierz płaszcza.

— We wtorek zatem

— Idzie pan już? — zdziwił się profesor. — Pada jeszcze.

— Niech pan zaczeka — poradziła Szretterowa. — Szkoda ubrania.

Ale Szczuka, tłumacząc się pośpiechem, pożegnał Szretterów i wyszedł na ulicę. Pusta była, spłukana deszczem i pełna czystego powietrza. Rynsztokami płynęła spieniona woda. Dokoła szumiał monotonny śpiew rynien. Deszcz ćmił gęsty jeszcze, bardzo za to równy i już spokojny. Ciągle błyskało, a głuche grzmoty, podobne do ogromnych kamieni, toczyły się w głąb nocy. Ale spomiędzy tych szumów, blasków i mgieł, spomiędzy ciemności odzyskujących powoli łagodna poświatę wiosennego i gwiaździstego wieczoru wyłaniać się poczynała zapowiedź najpiękniejszej i najświeższej młodości świata.

— — — — —

Podgórski odstawił swego Willysa do Partii i pożyczywszy od jednego z dyżurujących w gmachu milicjantów nieprzemakalny płaszcz, przeprawił się przez tonący w kałużach rynek na drugą stronę, do Monopolu. Przed hotelem stało już kilka aut. Przypuszczając, że Szczuka jest jeszcze u siebie, wstąpił do niego na górę. Zastukał raz i drugi. Nikt ze środka nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Pokój okazał się zamknięty.

Niezadowolony, że się spóźnił, zszedł na dół. Szczuka odbierał właśnie od pulchnego portiera klucz od swego numeru. Podgórski ucieszył się.

— Świetnie, że was spotykam! Byłem dopiero co u was, myślałem, że już zeszliście na bankiet...

— Zdążymy — mruknął Szczuka. — Nie ma obawy.

— Burza was złapała?

— Właśnie.

Szczuka chciał zajść na chwilę do siebie, poszli więc razem na górę. W pokoju parno było jak w łaźni. Szczuka natychmiast otworzył okno. Ostatki deszczu łagodnie szeleściły w ciemnościach. Gwiazdy już poczynały przebłyskiwać na niebie.

Podgórski rozpiął płaszcz i przysiadł na krawędzi otomany.

— Byłem, wiecie, u Kosseckiego.

Szczuka zdejmował przemoczony płaszcz i kapelusz.

— Tak?

— Powiedziałem, że chcecie się z nim zobaczyć.

— I co?

— Obiecał przyjść. Wspomniałem zresztą, że to o was chodzi.

— Pytał się?

— Tak.

— I cóż?

— Miałem wrażenie, że musiał albo się zetknąć z wami, albo przynajmniej słyszeć o was.

— Mam nadzieję — mruknął Szczuka, zdejmując marynarkę.

W samej koszuli wydawał się bardziej jeszcze barczysty w ramionach i szeroki w plecach. Podciągnąwszy rękawy począł myć ręce. Po chwili, wycierając dłonie, obrócił się do Podgórskiego.

— Muszę przyznać, że to dość zabawne.

Tamten spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

(c. d. n.)

łudnie zniekształconych i zdradzonych przez burżuazję. Więcej jeszcze: klasa robotnicza jest spadkobiercą wielu wzniosłych idei, głoszonych przez wielkich moralistów, jakich wydała ludzkość w ciągu tysiącleci dziejów. Klasa robotnicza jest spadkobiercą i pierwszym realizatorem tych idei, nadaje ich abstrakcyjnej treści treść społeczną i upowszechnia je.

Czy wartości takie jak np. odwaga, ofiarność, prawość, uczynność wolno kwalifikować tylko z punktu widzenia ich przydatności? I czy ktokolwiek tak je kwalifikuje? Czy jest cnotą patriotyzm? Relatywista odpowie: patriotyzm proletariacki jest cnotą, ale patriotyzm burżuazji jest złem. Dialektyk odpowie inaczej: Patriotyzm jest cnotą, ale patriotyzm burżuazyjny jest obłudny i burżuazja zalecając patriotyzm innym, sama go zdradza. Cnota patriotyzmu znajduje schronienie u ludu, razem z nim zwycięża, nabiera prawdziwej treści i upowszechnia się. Z takiego, a nie innego ujmowania sprawy wynikają dalekosiężne wnioski polityczne.

Hołdowanie relatywizmowi w ocenie wartości m. i. moralnych posiada złą tradycję. Jest to nurt obcy marksizmowi. Jest to ideologia zdezorientowanych i zdegustowanych schyłkowców. Przypadkowe skrawki marksizmu i teorii względności Einsteina, cudacznie przemieszane i posklejane śliną bezpłodnego cynizmu. Chyba nie inaczej ocenia to Adam Schaff i chyba zgodzi się na to, żeby jego tezę odwrócić i powiedzieć, że interesom klasy robotniczej odpowiada to, co jest społecznie moralne.

W społeczeństwach klasowych społeczna moralność nie zawsze pokrywa się z moralnością jednostkową. Kapitalista jest amoralny z racji swej społecznej funkcji wyzyskiwacza, ale może być indywidualnie uczciwy. Rewolucjonista, walczący z wyzyskiwaczami, jest społecznie moralny, co nie świadczy o jego uczciwości indywidualnej. Byłoby wyrazem tępoty nie widzieć i nie oceniać tej dwoistości. Ale byłoby wyrazem naiwności przeprowadzać linię politycznego podziału i politycznej walki nie według kryteriów moralności społecznej, lecz według oceny indywidualnych cnót.

Ta dwoistość jest źródłem wielu tragedii, zwłaszcza w okresach rewolucyjnych wstrząsów. Ofiarą wyniaru społecznej sprawiedliwości stają się często ludzie indywidualnie uczciwi. Wykonawcami wyroków społecznej sprawiedliwości są niekiedy ludzie indywidualnie amoralni. Nie brak na to przykładów, aż nadto bolesnych.

Usunięcie sprzeczności między społeczną a jednostkową moralnością jest jednym z celów socjalizmu, ale w okresie walki i długo jeszcze po zwycięstwie sprzeczność ta będzie istniała. W imię społecznej moralności socjalizm traktuje kryteria społeczne jako nadrzędne. Z tego nie wynika jednak, że marksizm wspomnianej sprzeczności nie dostrzega, albo że jest mu ona obojętna. Marksizm jawnie głosi nadrzędność społecznej moralności i winí tych, którzy się jej nie podporządkowują, ale daleki jest od zacierania różnic między cnotą osobistą a społeczną.

Zagadnienie moralności osobistej nie jest jednak tylko zagadnieniem interesującym psychologów i wychowawców. Jest to również zagadnienie polityczne. Nosicielami idei są ludzie. Tak już jest, że szary człowiek nie ufa szlachetnym ideom, propagowanym przez nikczemnych apostołów. Trzeba, żeby ludzie byli godni idei, którą głoszą. Partia polityczna jest nie tylko propagatorem, ale i wychowawcą. Idee polityczne zwyciężają, gdy wsparte są o charaktery.

Zagadnienie moralności ma znaczenie polityczne i w innym sensie. Wiemy, jaką przeszkodą w normalizacji naszego życia społecznego jest osobista nieuczciwość ludzi, zdeprawowanych okupacją. Sprawa umoralnienia kraju, sprawa wychowania młodzieży jest jednym z pierwszorzędnych zadań demokracji. Po latach wojny, po latach demoralizującego wpływu życia w niewoli wśród krematoryjnych dymów — sprawa wychowania nowego człowieka staje się jednym z czołowych zadań politycznych. Banalne komunały o staroświeckich cnotach uczciwości, uczynności i nawet grzeczności nabierają nowego znaczenia.

Właśnie marksizm jest powołany do podjęcia walki o osobistą moralność. Właśnie współczesny marksizm stawia zagadnienie moralnego człowieka i występuje przeciw złym tradycjom relatywizmu. I właśnie marksizm podejmuje wysiłek zniesienia przeciwieństw między moralnością osobistą a społeczną.

W miarę tego, jak marksizm uświadamia sobie własną rolę, spadkobiercy i nosiciela ideałów moralnych — ujawnia się humanistyczne oblicze jego etyki.

KULTURA

Dotyczy to również kultury. Nie „proletkult", ale nawiązanie do szczytowych osiągnięć kultury ludzkiej, mimo że były one klasowo obce proletariatowi. Nie schematyczne przeciwstawianie kultury proletariackiej kulturze burżuazyjnej, ale pojmowanie kultury socjalizmu jako realizowanej przez klasę robotniczą kultury ogólnoludzkiej.

O stylu socjalistycznej kultury i stosunku marksizmu do zagadnień estetyki powiedziano już wiele. Niezależnie od tego czy przewagę w dyskusji uzyskają zwolennicy realizmu czy formalizmu, i jedni i drudzy wyrzekną się chyba polityki eksterminacji wobec przeciwnika. Jakikolwiek monizm stylu, strzeżony milicyjnie, byłby zabójczy dla wszelkiej kultury. Nawet uznając realizm za jedyny dopuszczalny kierunek, musimy się liczyć z tym, że niektórzy artyści hołdować będą formalizmowi i że znajdą pewien krąg odbiorców. Gdybyśmy mieli środkami administracyjnego zakazu zlikwidować formalizm, to będzie to zwycięstwo tylko pozorne. Tak uzyskane zwycięstwo realizmu byłoby kresem tego rozwoju, byłoby zwycięstwem miernoty i szablonu. Nie można bowiem tworzyć wielkich dzieł sztuki z uczuciem lęku, że przekroczenie dozwolonych norm grozi represjami.

Niezależnie od tego, czy ktoś wyobraża sobie kulturę socjalizmu jako monolit czy też jako wielość kierunków i stylów, musi przyznać, że tylko swoboda twórcza sprzyja rozwojowi kultury. Trzeba, żeby sztuka walczyła i zwyciężała własnymi środkami. Marksizm nie wyrzeka się wobec sztuki postulatu spełniania zamówienia społecznego i nie zmienia swojej oceny poszczególnych kierunków. Ale marksizm świadomie rezygnuje z reglamentowania kultury środkami, które ją zabijają.

Ta zmiana polityki kulturalnej marksizmu jest wyrazem zrozumienia specjalnych praw rozwoju kultury i sztuki, bardziej złożonych niż prawa rozwoju gospodarczego. W miarę pogłębiania się tego zrozumienia i w tym zakresie ujawnia się humanistyczne oblicze marksizmu.

Z PRZYŁBICĄ I BEZ

Humanistyczne oblicze marksizmu ujawniło się ze szczególną wyrazistością, gdy marksizm przeciwstawił się nie burżuazyjnej demokracji, ale faszyzmowi. Ideologom burżuazyjnej demokracji, którzy odwracali wzrok od spraw ziemskich, bytowych, społecznych, którzy hołdowali ideom abstrakcyjnym — marksizm przeciwstawiał swoją tuziemskość, swój negatywny stosunek do czczych abstraktów. W ogniu walki, w polemicznym zapale podkreślano głównie zagadnienia materialnego i ekonomicznego bytu, demaskowano pozorną niezależność nauki, moralności i sztuki burżuazyjnej. Marksizm, demaskujący burżuazyjne świętości, rwał subtelne nici wrogiej ideologii, brutalnie i nawet niekiedy z cynizmem wskazywał na sprawy wstydliwie przez innych przemilczane. Mogło się niekiedy wydawać, że za spuszczoną przyłbicą materialistycznego szyszaku kryje się tępy pysk wilkołaka, któremu obce są ludzkie myśli i ludzkie wzruszenia.

W walce z faszyzmem marksizm odsłonił przyłbicę. Faszyzm pokazał jak względna i złudna jest swoboda nauki, kultury i sztuki w kapitalizmie, jak względna i złudna jest apolityczność i moralność w kapitalistycznym ustroju. Zamiast poszanowania czystej nauki, narodowy socjalizm przyniósł dyktaturę irracjonalnych mitów. Narodowy socjalizm zniweczył wszelką moralność i aż do potwornych rozmiarów wyniósł zasadę wyłącznie utylitarnej oceny wszelkich wartości. Elementarne poczucie człowieczeństwa, o którym nie wspominali klasycy marksizmu tylko dlatego, że je uważali za oczywiste, zostało pogwałcone. Uczonych wciągnięto do czynnego udziału w zbrodniach. Naukę zmuszono do uznawania absurdalnych mitów aryjskiej krwi. Sztukę podporządkowano kryteriom propagandy i uczyniono z niej wyłącznie narzędzie propagandy. Pod wielu względami faszyzm wystąpił nie tylko jako zaprzeczenie, ale i jako złośliwa karykatura marksizmu.

Nie jest tak, jak sądzą niektórzy pseudodemokraci, że marksizm mitom rasy przeciwstawia mity klasowe, że faszystowskiemu ujarzmieniu nauki, kultury i sztuki przeciwstawia własne, że utylitarnej moralności faszyzmu przeciwstawia własny moralny utylitaryzm. Punkt widzenia marksizmu jest nie tylko przeciwstawny faszystowskiemu, ale i zasadniczo inny. W walce z faszyzmem i po zwycięstwie nad nim marksizm występuje jako obrońca czystej nauki, jako spadkobierca najlepszych tradycji ludzkich dziejów, jako obrońca i nosiciel najtrwalszych wartości i pojęć. Klasowy wyraz jego pojęć jest wyrazem pojęć ogólnoludzkich. Temu nowemu, szerszemu, śmiałemu i bardziej światłemu stosunkowi do zagadnień ideowych towarzyszy też nowa, szersza, bardziej śmiała i bardziej światła polityka jego partii.

I nie jest to wyrazem taktycznych przypodobań. Nie jest wyrazem maskowania się, jak twierdzą jedni, lub odstępstwa od czystej nauki, jak chcą inni. Jest to wyrazem tych zmian rozwojowych, jakie wraz ze zmianą sytuacji nastąpiły w życiu marksistowskiej idei. Językiem dialektyki można by powiedzieć, że marksizm był w zarodku humanizmem, ideą światła i wszechstronną. Nieodzowne w pierwszym okresie walki spuszczenie klasowej przyłbicy, stronnicze i dogmatyczne skupienie się — było dialektyczną antytezą pierwotnych marksistowskich tez. Faza obecna jest „negacją negacji", fazą syntezy, odtwarzającej na wyższym szczeblu i w doskonalszy sposób tezy pierwotne...

Marksizm odsłonił przyłbicę i ukazał nieufnemu światu jasne oblicze rycerza humanizmu, który jasno patrzy na świat. I chyba tylko z przyzwyczajenia mruży jeszcze niekiedy oczy.

Paweł Konrad

„Niepokój" Tadeusza Różewicza

Nakładem „Przełomu" ukaże się w najbliższym czasie tomik poezyj Tadeusza Różewicza pt. „Niepokój". Ze zbioru tego wyjmujemy trzy wiersze.

Marzyciel

Ogrodnik pochylony
nad ślepym ziarnem
wywiódł za światła
gorejący krzew
i umieścił go w źrenicy
jak w pierścieniu

ogrodnik w ciemnych okularach
pochylony tak nisko
nie widział żarłocznej
chmury ptaków —
każdy z rubinowym okiem
unosił w dziobie ziarno
nim wzeszło

ogrodnik śmieszny ogrodnik
czuwa nad swym marzeniem
bezowocnym.

rys. T. Brzozowski

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Dwa wyroki

Widzę: uśmiech
zdjęty z twojej białej twarzy,
kiedy idziesz z rękami podniesionymi
w górę.

Zwiastun śmierci —
nieznajomy schylił głowę
w dół.

Widzę:
śmieszny posąg boleści
w przydeptanych pantoflach
przy kuchni —
małą krzywą
figurkę
skamieniałej matki.

Jabłko

Daj mi jabłko
powiedział mąż
i wyciągnął dłoń

z miseczki glinianej
sączył słodkie mleko
domowy łagodny wąż
czarny z pomarańczową
błyskawicą

w kolebce mały człowiek
ssał wielki palec u stopy
źdźbełko większej
niż kwiat „pantofelek"

pająk połączył
wskazówki zegara
które wytykały wieczność
szczęśliwym

a kiedy pękła słaba nić

żona czerwone jabłko
podała mężowi
i cicha
usiadła na progu
rodzinnego gniazda.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
• CZYTELNIK •

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

NOWOŚCI

JAN PARANDOWSKI
NIEBO W PŁOMIENIACH
WYDANIE TRZECIE
STRON 296
ZŁ 420

WACŁAW SIEROSZEWSKI
NA KRESACH LASÓW
WYDANIE NOWE
STRON 248
ZŁ 300

JÓZEF POGAN
UGORY
ZE SŁOWEM WSTĘPNYM STANISŁAWA PIGONIA
STRON 194
ZŁ 56

ADAM WAŻYK
WIERSZE WYBRANE
Z PORTRETEM AUTORA
STRON 128
ZŁ 240

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA
TOMIK 8
ELIZA ORZESZKOWA
A... B... C...
STRON 48
ZŁ 40

BIBLIOTECZKA NAUKOWA MŁODEGO CZYTELNIKA
JAN BOGUMIŁ SOKOŁOWSKI
DZIĘCIOŁ DRWAL LEŚNY
STRON 36
ZŁ 56

STANISŁAW KOWALEWSKI
OFIAROWANIE
OPOWIADANIA
STRON 190
ZŁ 320

IRENA KRZYWICKA
RODZINA MARTENÓW
POWIEŚĆ
STRON 189
ZŁ 380

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ
NAUCZYCIELE
POWIEŚĆ
STRON 350
ZŁ 380

JERZY PUTRAMENT
RZECZYWISTOŚĆ
POWIEŚĆ
STRON 522
ZŁ 600

JERZY PYTLAKOWSKI
WIELKI CIEŃ
NOWELE
STRON 283
ZŁ 360

WACŁAW BIELECKI
STARA I NOWA DEMOKRACJA
STRON 63
ZŁ 43

NATALIA GĄSIOROWSKA
KAPITALIZM W ROZWOJU DZIEJOWYM
STRON 151
ZŁ 150

EDMUND OSMAŃCZYK
DOKUMENTY PRUSKIE
STRON 182
ZŁ 220

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ
GWIAZDA WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO
STRON 454
ZŁ 400

STANISŁAW ŚRENIOWSKI
DZIEJE CHŁOPÓW W POLSCE
STRON 156
ZŁ 180

STANISŁAW CENTKIEWICZ
BIAŁA FOKA
STRON 210
ZŁ 380

MARIA KANN
PLOT GOTÓW
STRON 138
ZŁ 190

ZOFIA KOSSAK
WARNA
POWIEŚĆ
STRON 172
ZŁ 180

ZOFIA KOSSAK
GRÓD NAD JEZIOREM
STRON 142
ZŁ 180

WSZĘDOBYLSKI
300.000 KM./SEK. Z DREM WSZĘDOBYLSKIM
STRON 176
ZŁ 760

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Saga o Income Taxie

Stwierdziwszy, ze czterech jego dawnych kolegów z uniwersytetu amci już z powrotem w Ministerstwie Skarbu, jak amcili w nim przed wojną, że siedmiu zagorzałych oszerowców zasila prasę warszawską, jak za najlepszych czasów Ozonu, że kuzyn Gabryś pojechał na placówkę, a Genia jest z powrotem w Prezydium, Kleofas zadecydował, po jeszcze jednej przegranej w brydża w Edynburgu:

— Dość tego dobrego! Wracam do kraju, nim mnie ci zacni Anglicy zaproszą do kopalń!

W kilka tygodni po powzięciu tej heroicznej decyzji, w sam raz na czas, by spożyć wielkanocne mazurki i szynki, Kleofas znalazł się na łonie ojczyzny i rodziny. Ojczyzna nie zauważyła jakoś powrotu jeszcze jednego bohatera — może dlatego, że Kleofas nie widział innych frontów poza szkockim, może dlatego, że właśnie jak na złość ruszyły lody i kra zniosła w Warszawie dwa mosty. A może jeszcze dlatego, że widok battledressu na ulicach Warszawy już od dwóch lat przestał być sensacją.

Rodzina natomiast uradowała się nad wyraz z powrotu dzielnego wojaka, licząc, że przywiózł nieco dolarów, nylonów, szwajcarskich zegarków i tym podobnych odznaczeń bojowych — no i szereg informacyj z pierwszej ręki, kto ze znajomych zaopatrzył się w Anglii w nową żonę, kto kamieniczkę kupił w Londynie, a cottage w Dewonie, kto wreszcie gdzie i z kim i w ilu edycjach uwił sobie, tęskniąc za ojczyzną, przytulne gniazdko rodzinne. Kanclerskie głowy familii były żądne ścisłych informacyj o dacie wybuchu trzeciej światówki, ciotki znowu pragnęły danych o rozwoju bomby atomowej itd. Kleofas stanął tedy przed areopagiem rodzinnym, zebranym wokół pisanek i bab, jak premier przed żądnym wyjaśnień parlamentem. Odpowiadał powściągliwie, dokładnie i dość niewyraźnie, gdyż usta miał zapchane święconym. Na areopagu zrobiło to jednak duże wrażenie, albowiem wzięto to za objaw lakonicznej edukacji anglosaskiej.

Niestety, o ile informacje z dziedziny małżeństw szkockich zaspokoiły istotnie zgorszoną ciekawość areopagu, to polityczne zapowiedzi Kleofasa bynajmniej nie zachwyciły zgromadzenia. Nie znał bowiem ani ścisłej, ani nawet przybliżonej daty wybuchu nowej wojny, co gorsze odwlekał ją w jakąś mgławicową i pytajnikową przyszłość. Zapewnił też wuja Augusta, że nie ma się na co tak bardzo cieszyć, zwłaszcza gdy się jest Polakiem. O bombie atomowej wiedział znacznie mniej niż wszechwiedząca kuzynka Dziuba, i w ogóle mówił o wszystkim tonem ironiczno-niechętnym, co nawet mniej bystrym członkom rodziny podejrzenie nasunęło, iż musiał już chyba się przejąć destrukcyjną propagandą „Głosu Ludu" Gdy w dodatku warknął parę uwag o tym, jak „narody gentlemanów" dochowują swych sojuszniczych przyrzeczeń, i o ileż lepiej dzieje się dziś na dummym Albionie byłym jeńcom niemieckim niż byłym aliantom polskim, podejrzenia te wzrosły do tego stopnia, iż ciotka Balbina, znana z wytrawności politycznej, postanowiła rzucić podstępne pytanie:

— Więc **nic** ci się w Anglii nie podobało?

Niestety, demaskujący chwyt zawiódł, albowiem Kleofas odpowiedział z zapałem:

— Ależ pełno rzeczy, ciotko najdroższa! — Krajobraz, literatura, sposób dyskutowania, spokój, punktualność, dokładność, whisky, week-endy, dziewczyny...

— Dość! — przerwała czujna Balbina, choć ostatnie wyliczenia Kleofasa wydały się zgromadzeniu warte wnikliwszej analizy. I pragnąc zogniskować się na jednym temacie, gdzieby podsądny łatwiej puścił farbę, zapytała:

— Chodzi mi o to, co ci się **najbardziej** w Anglii podobało? — Jedno — ale najbardziej?

I uśmiechnęła się do rodziny swym mniej zezowatym okiem a uśmiech ten znaczył:

— Widzicie? Już go mam!

Ale właśnie w tym momencie, po krótkiej chwili zastanowienia, padła odpowiedź Kleofasa i odpowiedź ta brzmiała:

— Wie ciocia, co mi się najwięcej podobało w Anglii? Brytyjskie władze podatkowe!

— Co? — zaskandował rodzinny chór. Zdawało się, że nawet baranek wielkanocny na torcie zabeczał ze zdumienia.

I tylko ciotka nie wzięła w tym udziału, albowiem bywają takie odpowiedzi podsądnych, które czasem potrafią oniemić najbardziej szczwanego śledczego.

— Angielskie władze podatkowe — powtórzył Kleofas — i mogę wam opowiedzieć dlaczego.

Po czym opowiedział historię, która w przyszłych wypisach dla skarbowców i komorników, jakie opracowuje „Czytelnik", powinna figurować pod tytułem:

„DZIEJE CNOTLIWEGO POBORCY"

Na emigracji wojennej Kleofas miał przyjaciela, który tym się różnił, między innymi, od niego, Kleofasa, że zamiast dorabiać sobie nieco funtów przez uczciwe ogrywanie w pokera rodaków i tubylców, parał się piórem i pisywał, a to do pism angielskich, a to do radia. Koniec żałosny nie dał na siebie długo czekać i gdzieś w maju 1944 roku nieprzeborny kolega otrzymał na blankiecie stemplowym Income Taxe z Marylebone Road następujące pismo:

„Sir,
zdarzyło się, że zauważyliśmy, iż zaniedbał pan złożenia w przepisowym terminie zeznania o dochodach pana za okrągły rok skarbowy. Będziemy zatem szczerze zobowiązani, jeśli pan zechce... i td

Podpis był E. C. Murray, Income Taxe Collector.

Niezależnie od tego, iż nie brakło nader uprzejmej formuły pożegnalnej („I remain, Sir. Your etc, etc"), list ten nie sprawił nadmiernej radości koledze Kleofasa. Kolega miał zrazu nieopatrzny zamiar odpisać z punktu, podając niedawno przepuszczone dochody. Szczęściem, spotkał właśnie Kleofasa i ten wybił mu to z głowy.

— Poczekaj w każdym razie, aż przyjdzie nowe wezwanie; ja tymczasem coś wykombinuję — upewnił.

I odszedł rozmyślając, o ileż lepsze są jego, Kleofasa, sposoby pomnożenia majątku, jako że Income Taxe nie uwzględnia dochodów płynących z zajęć karcianej natury.

Następne wezwanie przyszło istotnie po jakimś tygodniu, wciąż w owym uprzejmym tonie.

„Sir,
pan zapewne, nie będąc obeznany z przepisami obowiązującymi w tym kraju, nie zwrócił głębszej uwagi na nasze pismo z dnia..., w którym... Wobec braku pańskiej odpowiedzi, pozwalamy sobie jednak prosić, by zechciał pan... itd.

I remain, Sir..."
kończył się znowu list.

Adresat już chciał odpowiedzieć i począł zrachowywać powoli owe nieregularne dochody z ubiegłego roku, ale Kleofas w porę i temu zapobiegł.

— Daj sobie spokój, ośle, napisz im, że przecież jako polski wojskowy jesteś taxe exempted!

Po czym zredagowali list do natrętnego pana Murraya z Marylebone Road, utrzymany w jego własnym stylu. Przyjaciel Kleofasa przyznawał, iż istotnie otrzymał oba listy w sprawach podatkowych. Nie odpisał na pierwszy, gdyż sądził (dyktował Kleofas), że był on pomyłką, którą niechybnie zauważy tymczasem sam Income Taxe Collector. Wobec przynaglenia pozwala sobie zauważyć iż, o ile mu wiadomo, członkowie polskich sił zbrojnych są wyjęci spod wymiaru angielskich stawek podatkowych. „Therefore.... I remain, Sir..." kończył się list, podyktowany przez Kleofasa, który był zeń nader dumny.

— Czy aby tylko to naprawdę tak jest. — niepokoił się podpisując pismo ów przyjaciel. W sprawach podatkowych brakło mu dotąd doświadczenia.

— Już ja cię upewniam — odpowiedział Kleofas, który i w tych sprawach, jak i w innych, zdawał się posiadać wspaniałą rutynę. — Jakby co — wal do mnie!

— Dziękuję ci — rozpływał się przyjaciel.

— Nie ma za co — odpowiadał wielkodusznie Kleofas. A opowiadając o tym zgromadzeniu rodzinnemu, skomentował:

— Bo ja, proszę rodziny, już mam taki charakter, że nie tylko sam podatków płacić nie zwykłem, ale wprost serce mi się kraje, gdy widzę, że kto inny...

— Słusznie! — orzekli chórem wszyscy zebrani — od razu widać, że jesteś nieodrodnym naszym synem, siostrzeńcem, bratankiem! Twoje zdrowie!

I nastroje w stosunku do Kleofasa tak naraz złagodniały, że zapomniano mu niepatriotyczne stanowisko w sprawie trzeciej światówki, tudzież żałosny brak sympatii do atomowego wyzwolenia.

W pełnym napięciu słuchano też dziejów dalszych bojów prowadzonych przez dwóch dzielnych Polaków z alianckimi władzami podatkowymi. Okazało się, że te nie zwlekały z odpowiedzią na list Kleofasowego przyjaciela, i zawiadomiły go niebawem, że jego wywody są tylko częściowo słuszne. Opodatkowaniu nie podlegają, istotnie, dochody ze źródeł polskich, natomiast dochody płynące ze źródeł angielskich podlegają im najzupełniej, wobec czego pan Murray nie widzi przeszkód, by adresat...

Nawet Kleofas doszedł wtedy do ponurych wniosków:

— Wiesz — oświadczył — zebrałem bliższe wiadomości o angielskim systemie podatkowym. Wszyscy są zgodni z tym, że mimo pozorów łagodnej uprzejmości, są to drapieżne, uporczywe i dokładne harpie, którym się nie wymknie jeden pens! Ach, za co my walczymy! Trzeba będzie, żebyś...

— Chciałem to zrobić od razu — burknął przyjaciel.

— Od razu się nie godzi — upomniał zgorszony Kleofas. — Tylko zły żołnierz kapituluje bez walki!

Tymczasem innego rodzaju wydarzenia nie dopuściły do kapitulacji. Od czterech tygodni trwała już bowiem inwazja. Prano się na przyczółku normandzkim. Polska dywizja pancerna została zmontowana do akcji i zapotrzebowała obu przyjaciół. Kleofas z godnością wymigał się od tego zaszczytu, jego przyjaciel pośpieszył na zew ojczyzny i aliantów.

Po tygodniu ładowano go na statek u ujścia Tamizy, gdy w porcie zjawił się Kleofas. Był adiutantem jakiegoś generalskiego nieroba.

— Najdrożsi! — wołał z mola — ujrzawszy odpływających kolegów. — Jakże ja wam zazdroszczę! Szczęściarze! Żeby mnie się tak udało! Ale duchem będę z wami! No i tylko mi nie splamcie naszych pułkowych barw!

Ujrzawszy zaś wśród armatniego bekonu przyjaciela, zahuczał:

— Czy — od — pisałeś — panu — Murrayowi — i — za — płaciłeś — po — datki?

Już na statku przyjaciel złapał się za głowę:

— Na śmierć zapomniałem! Ten ostatni tydzień...

Ale Kleofas nie zgnębił się tym. Przeciwnie.

— Od — pisz mu — że — jesteś — sorry — ale — posłano — cię robić — in — wazję — od — piszesz — kiedy — wrócisz.

I wracając do Londynu zacierał ręce.

— Wspaniale wyszło! Dywizja nie zejdzie z kontynentu przed końcem wojny. Niech sobie Murray pisze listy i monity! Raz wreszcie ktoś i angielskim władzom podatkowym dał radę!

Te przewidywania Kleofasa były wprawdzie w ogóle słuszne, ale zupełnie mylne we fragmentach. Zapomniały bowiem o tej drobnej okoliczności, znanej nawet piosence, iż „na wojnie świszczą kule" Nie minęły i trzy tygodnie, a biała Dakota ze znakami Czerwonego Krzyża odwiozła Kleofasowi przyjaciela wprost ze szpitala polowego w Arromanches, wraz z setkami rannych komandosów, spadochroniarzy, Kanadyjczyków, nierzadkich Francuzów, przypadkowych Holendrów — no i oczywiście Polaków. Jeden obojczyk w gipsie, noga na wyciągu, biodro — wszystko wskazywało, że przyjaciel nie na darmo był pod Falaise.

— Gorliwie w d... biorą — przypomniał sobie Kleofas cenną naukę pewnego kapitana służby stałej, który właśnie w dniu bitwy pod tąże Falaise kupił sobie zaciszny domek na Hampstedzie. — Ja przynajmniej nie byłem frajer! — pocieszył się.

I ażeby mieć jednak pewien współudział w emigracyjnej epopei, pospieszył do Emergency Military Hospital 212 w Leards, w środkowej Anglii.

Właśnie biało obandażowany kolega dyktował jakiejś zacnej Angielce odpowiedź do Income Taxe Collector z Marylebone Road.

„Sir,
istotnie byłem znowu dłużny Panu z odpowiedzią. W trakcie obliczeń, ile wynosiły moje dorywcze zarobki w ciągu ubiegłego roku, zostałem jednak powołany z powrotem do mojego oddziału i wysłany wraz z nim na kontynent, gdzie uległem..."

po czym następowało wyszczególnienie dość skomplikowanych ran. „W związku z tym upraszam...". List kończył się prośbą o zwłokę i sakramentalnym „I remain, Sir...".

Kleofas nie był zadowolony z listu.

— Ja bym im odpisał, jak śmią, od alianta, który... ranny, ten tego, narażał..., odznaczenia... pole chwały...

— But — zdziwiła się niebiesko uczynna Angielka. — Oni byliby strasznie zdumieni. Nic by nie zrozumieli, co to ma jedno z drugim. Fighting is fighting, and Income Taxe is Income Taxe...

Zirytowany Kleofas machnął ręką, stwierdzając raz jeden jeszcze płaskość i aheroiczność anglosaskiego myślenia. Wrócił do Londynu opowiadając o wyczynach przyjaciela niczym o swoich własnych. Czynił to tak barwnie, że przy okazji ograł profesora Olgierda Górkę o nadprogramowych (w tym miesiącu) osiem funtów. Zwykle ogrywał go zaledwie o dwanaście.

Przyjaciel zmieniał tymczasem opatrunki, pielęgniarki i szpitale. Pan Murray z Marylebone odpisał mu uprzejmym listem, wyrażając niepokój z powodu rany, radość z powodu ocalenia, oraz gorące życzenia powrotu do zdrowia. Prosił na razie nie zaprzątać sobie głowy sprawą owych podatków; za sześć miesięcy, on, pan Murray, przypomni się łaskawej pamięci. Ranny czytając to odczuł niewyraźne zakłopotanie. Postanowił też nie słuchać więcej rad podatkowych Kleofasa.

Była wiosna, kiedy w ostatnim tygodniu swego pobytu w Home for Reconvalescents w zielonym Berks otrzymał nowe pismo pana Murraya. Ten zaczynał zapytaniem o zdrowie i propozycją, w wypadku pomyślnej odpowiedzi, uregulowania tamtej sprawy podatkowej. Gdyby podatnik mógł być w tym czasie w Londynie i zechciał może zjawić się na Marylebone Road, on, Murray, chętnie by służył swą pomocą w uzupełnieniu zawiłych kwestionariuszy.

Długi i darmowy pobyt w szpitalu wpłynął ożywczo na finanse rannego, tym łatwiej mu też przyszło odpisać, że jeszcze przed Wielkanocą zamierza być w Londynie, nie omieszka więc... itd.

Istotnie, stukając często gęsto kulami, zjawił się niebawem polski oficer w Income Taxe Office na Marylebone Road i zapytał o p. Murraya.

Do okienka przybiegł po chwilce krągły, niski, pikwikowaty Anglik, z dużą czerwoną łysiną, na której tylko parę ocalałych mohikanów-włosów maskowało dawną rudość czupryny, z małymi niebieskimi oczkami zza złotych, staromodnych okularów.

— It's you? — ucieszył się tak jowialnie, jakby za młodu łaził ze swym gościem co niedziela na Bielany. — Very pleased — radował się w dalszym ciągu. — A to co?— oburzył się na kule. — How sad — mruczał — what a pity! — Aż ranny musiał go uspokajać.

— Let's go to the business — kończył wreszcie i przyniósł tekturową zieloną teczkę z nazwiskiem polskim na okładce. Przytaszczył ten kwestionariusz i wyjął złote pióro.

— Niech pan siądzie i tylko mi mówi, a ja będę pisał. Za chwilę będzie pan już po wszystkim! — zachęcał z tym miłym uśmiechem, z jakim dentyści zwykli zapowiadać, że wyrwanie zęba trzonowego nic nie będzie bolało.

Polak z tym samym uczuciem przyjął owo zapewnienie i poddał się operacji. Wyszczególnił swe dochody z londyńskiego radia, nie zapomniał o artykule w „World Review", o krytyce muzycznej w „Horizon", o honorarium w „Catholic Herald", o studium w „Dublin Review". Złota stalówka murrayowskiego staromodnego Parkera skakała, jakby wprawiona w ruch tymi wyznaniami, po różnych rubrykach kwestionariusza, wpisywała coś, dostawiała, zsumowywała. Istotnie, pomyślał Polak, oni to robią prędko.

Po chwili, jak na spowiedzi, wyznał, że więcej grzechów nie pamięta...

— Nie? — zaniepokoił się pan Murray. — A ja myślałem, że tam jeszcze było coś z „Cronicle" i z „Sunday Times"...?

— Istotnie — przypomniał sobie Polak.

— Nie szkodzi, nie szkodzi; to my jesteśmy od przypominania — wyjaśniał Murray takim tonem, jakim szatniarz wyjaśnia, że jest przecież od podawania palta. — My przecież wszystko mamy tu u nas— palnął w teczkę. — No, to już naprawdę będzie wszystko.

Zliczał. Wydawał się czegoś zmartwiony.

— Wie pan — westchnął, kończąc — że uzbierało się tego trochę? Teraz progresja podatkowa jest, jak panu wiadomo, bardzo wysoka. Okropnie wysoka! — stęknął. — Wojna, sir — tłumaczył się. — Potworne, sorry! W pańskim wypadku, sir, będzie pan musiał zapłacić aż 75 funtów. Awfully sorry, sir. Oczywiście zastosuję rozłożenie na raty. Pierwsza rata do 15 maja. I jeszcze niech pan podpisze tu, o, — wskazywał miejsce w kwestionariuszu i podsuwał pióro. — Tak, tutaj, tutaj. Imię, nazwisko... O, — a co to takiego, sir?

Polak położył był właśnie rękę na podpisywanym kwestionariuszu i Income Taxe Collector patrzył na tę rękę.

— Obrączka ślubna — wyjaśnił i pomyślał: co go to obchodzi? Jakiś niezwykły gadatywus...

— Obrączka? Pan jest żonaty? Pan mi tego nie powiedział, sir — rzekł Murray z takim wyrzutem jakby chodziło o jeszcze jedno, rozmyślnie zatajone źródło dochodu.

— Moja żona jest w Polsce — powiedział nie wiedzieć czemu podatnik.

— To nas już nic nie obchodzi — zastawił się Mr Murray. — Pan jest żonaty i to pan winien zeznać. Może pan ma i dzieci, sir?

— Mam — ociągał się Polak.

— Znakomicie! Ile, można wiedzieć?

— Troje — wyznał myśląc: — mój Boże, pewno pomyśli, że go bujam!

— Very good. Very good indeed— Mr Murray puścił znowu swe pióro w ruch. — Tak. Troje. Pan poda tylko imiona, daty urodzenia. Dat nie pamięta pan dokładnie? Piszemy: kwiecień 1936. Ojcowie w tych sprawach mają tak krótką pamięć, prawda? No tak. Very good. Jak to dobrze, że pan nosi obraczkę, sir. No tak. Rozłożenie na raty jest zatem nieaktualne. Pański dochód jest bowiem zwolniony od podatku, sir... Minimum wolne od podatku jest większe dla ludzi z rodzinami.

— Ja bym — opowiadał Kleofas familijnej radzie bezpieczeństwa — ukłonił się i wyszedł. — A wiecie co ten dureń zrobił? On zapytał się Anglika: dlaczego? Why?

Pikwik z Marylebone Road wyjaśnił, iż za żonę strąca się podatku tyle to, od jednego dziecka tyle, drugiego tyle, trzeciego... — Taka jest ustawa, sir. Szkoda, że pan nie miał dochodu większego o jeszcze jakieś piętnaście funtów; nie podlegałyby dalej progresji. Niech pan pamięta o tym na przyszły rok, sir.

— Dobrze — godził się Polak. — Ale przecież nie macie **żadnego dowodu** na to, że ja istotnie posiadam żonę i troje dzieci. Kto wam mówi, że to nie jest bujda. Na czym się opieracie?

Mr Murray wybałuszył oczy:

— Jak to na czym? My jesteśmy zawsze ściśli. On your word, sir. Na pańskim słowie. Czy to nie dosyć? — dziwiły się nieskończenie błękitne źreniczki pana Murraya.

Polak posmutniał. Temu dwa lata, gdy począł posyłać, via Portugalia, paczki do kraju, udał się do polskiego Ministerstwa Skarbu. Przyjął go jakiś naprawiacki dygnitarz ze Śląska i wywiązała się rozmowa nieco inna od tej na Marylebone.

— Podobno jest jakiś dodatek rodzinny...

— A jest, jest — upewniał niechętnie urzędnik. — Ma pan rodzinę tutaj?

— Nie, w Polsce.

— A, no to panu nie przysługuje — uspokoił się urzędas. — Dodatek rodzinny przyznano wyraźnie tylko tym, którzy mają swoje rodziny na emigracji.

— Premia za wywożenie rodzin?

— Panie, bo zrobię użytek służbowy z pańskiego odezwania się!— zagrzmiał dygnitarz (miał żonę w Kanadzie). — My, którzy mamy tu żony, łożymy na ich utrzymanie; wy nie potrzebujecie...

— Ależ ja co miesiąc wysyłam paczki...

— To złóż pan podanie, zobaczy się. Ale podanie z załącznikami. Akt ślubu, metryki dzieci...

— Skąd je wezmę? Nie brałem na wojnę metryk...

— Nie brał pan? Może ja temu jestem winien, żeś pan nie brał? Na drugi raz będzie pan pamiętał. A niby dlaczego państwo ma panu, tak na słowo, wierzyć, że pan naprawdę posiada żonę, dzieci?

Tę scenkę, jakże polską, przypomniał sobie właśnie przyjaciel Kleofasa na Marylebone Road. Tam go znano, słyszano o nim — i żądano metryk chrztu dzieci, załączników, dowodów; tu widziano go po raz pierwszy, nie umiano wymówić jego trudnego nazwiska, — i wierzono mu na słowo. On your word, sir.

— Tak, droga rodzinko — konkludował Kleofas opowiedziawszy owo wydarzenie. — Alianci, to oni są, lepiej nie gadać jacy. W stosunkach międzynarodowych też nie tacy, jak wuj łaskawie myśli. Wystawili nas do wiatru, już nie powiem cioci czym, i radzę wam, po dobroci, przestańcie na nich wszystkich tam rachować, chyba, że wam doprawdy ruin jednej Warszawy mało. Ale, co prawda, to prawda, i muszę powiedzieć, że mi ten angielski skarbowiec zaimponował i ślubnym wnukom o nim opowiadać będę! Przekażę w najdalszą przyszłość sagę o Income Taxie!

Tu zabrał się pracowicie do reszty święconego, nurzając usta w polskości świątecznych kiełbas, majonezów, rolac', jajek z bukszpanowym listkiem, bab.

Rodzina przeżuwała usłyszaną naukę w milczeniu pełnym nabożeństwa.

— No, ale z naszym narodem daleko by w ten sposób nie dojechali — orzekła kuzynka Dziuba.

I doszła do niepokojącego wniosku, że Imperium Brytyjskie da się orżnąć.

Ksawery Pruszyński

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

Jan Dembowski — NAUKA RADZIECKA, str. 238, zł. 400.-

(W wyczerpujących i barwnych szkicach informuje prof. Dembowski czytelnika polskiego o życiu kulturalnym Związku Radzieckiego w zakresie nauk biologicznych. Każdą z opisywanych instytucyj zwiedził prof. Dembowski osobiście, a powszechnie znane i szanowane nazwisko autora jest gwarancją obiektywizmu jego sądów.

Książka prof. Dembowskiego stanowi cenny wkład do zbliżenia kulturalnego polsko-radzieckiego).

„KSIĄŻKA"

K 140-1

KSIĘGARNIA I WYDAWNICTWO
„PANTEON"
WARSZAWA MARSZAŁKOWSKA 120 P.K.O. I-4565

Wysyłamy każdą książkę
Polecamy własne wydawnictwa
WYSYŁKA BEZPŁATNA

Bocheński Aleksander „Dzieje głupoty w Polsce" . . . . . cena zł 420.—
Dobraczyński Jan „Dwa stosy" . . . „ „ 360.—
Kisielewski Stefan „Sprzysiężenie" . . „ „ 400.—
Iwaszkiewicz Jarosław „Stara cegielnia" „ „ 160.—
Dróżdż-Satanowska Zofia „Niewydeptane ścieżki" . . . . . „ „ 350.—

K131-1

Do nabycia wszędzie!

ŚWIAT I POLSKA

TYGODNIOWY PRZEGLĄD polityki międzynarodowej

Cena egz. zł. 10 -
Prenumerata kwartalna zł. 100. -

Redakcja i Administracja:
WARSZAWA
ul. Daszyńskiego 18

Konto P.K.O. 1-4490. K 134-0

JUŻ SIĘ UKAZAŁ Nr 3 (17) „PRZEGLĄDU SOCJALISTYCZNEGO"

o następującej treści:

St. Szwalbe — Na nowym etapie
J. Hochfeld — Problematyka nowego okresu
O. Lange — Gospodarcze podstawy demokracji w Polsce
W. Jastrzębowski — U źródeł niemieckiej zaborczości
A. Kaduszkiewicz — Struktura eksportowa Niemiec a traktat pokojowy.
M. Rybicki — Perspektywy przedsiębiorczości komunalnej w Polsce
J. N. Miller — Uwagi na temat repertuaru współczesnego teatru polskiego

Kartki z historii socjalizmu

M. Szerer — Leon Berenson
I. Mulak — Władysław Andrzejczak (Antek)

Na horyzoncie

W Polsce — W Z. S. R. R. — W Europie — Za morzami

Idee — Myśli — Zagadnienia

H. Greniewski — Organizacja ubezpieczeń
A. Fidler — Nafta
T. Głowacki — Fikcja demokracji
A. Steinsberg — Nauka niemiecka w służbie Hitlera
W. Piotrowski — Nowa Europa
T. Bukowiecki — Film niesie oświatę
Z życia partii
Notatnik referenta
Książki i czasopisma nadesłane.

Cena numeru zł. 20.—

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego 18 m. 24. K. 139-1

Czy wskrzesić Polską Akademię Literatury?

Ankieta „Odrodzenia"*)

KONRAD GÓRSKI

Zanim zdobyłem się (wskutek przepracowania i grypy) na odpowiedź w sprawie przywrócenia do życia PAL, ukazało się na łamach „Odrodzenia" już sporo głosów na ten temat. Muszę niewątpliwie przyznać słuszność tym, co twierdzą, że prawnie Polska Akademia Literatury istnieje nadal, wobec czego sprawa jej uruchomienia jest właściwie jej sprawą wewnętrzną. Ale wyznam zarazem, że gdybym w obecnej chwili sam był członkiem tej instytucji, to bym się nie palił do uruchamiania jej na dotychczasowych prawnych podstawach i w dotychczasowej postaci. Wszystko tam jest do zreformowania: poczynając od nazwy, kończąc na ustawie.

Naprzód sprawa nazwy. Pierwszy inicjator Akademii, Stefan Żeromski, proponował jedynie logiczną nazwę: *Akademia Literatury Polskiej*. Twórcy PAL zapatrzyli się na Polską Akademię Umiejętności i wymyślili bezsensowny szyld: *Polska Akademia Literatury*. Jednakże *umiejętności*, czyli mówiąc językiem dzisiejszym: *nauki*, są wytworem pracy międzynarodowej, słuszną więc rzeczą było w nazwie polskiej akademii nauk wysunąć na czoło słowo *polska*, ponieważ ono stanowi w tym wypadku człon wyróżniający pojęcia złożonego. Przez niewolnicze naśladowanie nazwy, która nie powinna była być tu wzorem, ukuto nazwę, z której wcale nie wynika, że PAL jest akademią literatury *polskiej*; wynika z niej tylko, że członkowie akademii są Polakami, ale nie to, że są polskimi pisarzami i mają obowiązek polską literaturę pielęgnować.

A teraz podstawy prawne. Jeśli akademia literatury polskiej miała być instytucją państwową, to autorytet takiej instytucji wymagał: 1. erygowania drogą ustawy sejmowej; 2. udziału społeczeństwa w wyborze pierwszych członków akademii. Czasy kard. Richelieu dawno minęły, a Jędrzejewicz, jeśli był polskim Richelieu, to chyba tylko w tym znaczeniu, jak w epigramacie Hemara („Słowem był to polski Richelieu, jeśli chodzi o błędy: były *kardynalne*"). Innymi słowy: instytucja stworzona na mocy uchwały gabinetu przez rząd nie posiadający najmniejszego autorytetu moralnego musiała być od początku niepopularna. W cztery lata po jej powstaniu dopiero wniesiono do sejmu ustawę o akademii, ale to już nie mogło uratować sytuacji, bo było zresztą legalizacją stanu faktycznego, stworzonego w sposób, który nikogo nie mógł zadowolić.

Ponieważ wspomniałem o niewłaściwym sposobie desygnowania pierwszych członków, pragnąłbym zaznaczyć, że nie zgłaszam zastrzeżeń personalnych przeciwko tym czy innym ludziom, którzy się tam znaleźli. Nie ulega wątpliwości, że ogromna większość członków jędrzejewiczowskiej akademii powinnaby się znaleźć w każdej poważnej akademii literatury polskiej, ale z dokonanego wyboru wynikało, że proporcjonalnie do bogactwa naszej literatury ilość 15 członków była za mała. Bo jeśli się znaleźli ci, których tam zaproszono, to z równym prawem mogli tam wejść i powinni byli się tam znaleźć tacy, jak: Askenazy (historyk-artysta, znakomity pisarz), Borowy, Brückner, Chrzanowski, Maria Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Kołaczkowski, Pigoń, Tetmajer (pomimo choroby!), Tuwim i Zdziechowski. W każdym razie wybór nie powinien był zależeć od widzi mi się przygodnego satrapy, lecz być wyrazem zaufania przede wszystkim sfer literackich Polski.

Sądzę więc, że PAL nie powinna wracać do życia literackiego naszego kraju. Jeśli zaś na jej miejsce powstanie jakaś inna akademia, nie obarczona pierworodnym grzechem wadliwego poczęcia, to członkowie jej będą musieli być wybrani drogą plebiscytu samych pisarzy. Przy dzisiejszej organizacji życia zawodowego przeprowadzenie takiego plebiscytu nie byłoby wcale trudne. Wyłonione w ten sposób ciało zbiorowe posiadałoby autorytet w oczach samych twórców literatury i byłoby uprawnione moralnie do reprezentowania literatury polskiej przed swoimi i obcymi.

WACŁAW KUBACKI

Jestem zdania, że Akademia Literatury jest potrzebna.

Nie przekonały mnie głosy, jakie dotychczas padły przeciw Akademii. Muszę zresztą wyznać, że nie przemówiły mi również do przekonania niektóre wypowiedzi w obronie Akademii. To, że Akademia niewiele zrobiła, jak wypominają jej przeciwnicy, to niekoniecznie musi być dowodem przeciw samej instytucji. Czy Akademia była wyjątkiem? Wiele innych instytucji przedwojennych nie spełniało należycie swych zadań, np. Sejm albo Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej, a przecież nikomu do głowy nie przyjdzie wnioskować z tych faktów, że parlament jest niepotrzebny, albo, że nie należy opiekować się teatrem. Dodajmy, że P.E.N. Club i Związek Literatów przed wojną niewiele więcej zrobiły niż Akademia. W innych jednak warunkach ten sam Związek od razu wyrósł na potęgę. Dziwi mnie bardzo, że nie tylko przedstawiciele starszej generacji, lecz także młodsi pisarze nie uwzględniają zmian, które się dokonały i które nie pozwalają wyrokować bezapelacyjnie o przyszłej Akademii na podstawie doświadczeń, wysnutych z nieaktualnych warunków i stosunków przedwojennej Polski. Trzeba mieć więcej zaufania do naszej przebudowy i manifestować je nie tylko w okresach przedwyborczych, lecz także w codziennej, żmudnej i cichej realizacji głównych zadań programu kulturalnego polskiej demokracji.

Stosunek przyszłej Akademii do Związku i Ministerstwa Kultury i Sztuki to cura posterior, to sprawa dalsza. Mogę zrozumieć intencję Stefana Żółkiewskiego, który chciałby, żeby Związek zastąpił i Akademię i Ministerstwo. Jako wiceprezes Związku ma on obowiązek się dobijać, żeby także agendy, a zwłaszcza miliony, Funduszu Kultury Narodowej podporządkowano Związkowi. Mimo to nie zgadzam się z jego zdaniem, że tylko związki zawodowe są właściwymi reprezentantami społeczeństwa w ustroju demokratycznym. Jakto? więc pierwszy lepszy członek Związku Literatów ma prawo reprezentować społeczeństwo, a członek wybitny (Akademik) nie miałby tego prawa? Coś tu nie w porządku.

Niektórzy uważają Akademię za instytucję niedemokratyczną, tak jakby ta sprawa miała w ogóle coś wspólnego z demokracją polityczną. Szekspir, Goethe, Mickiewicz, Słowacki to są przykłady „niedemokratycznego" uprzywilejowania przez naturę pewnych osobników. Demokracja wcale nie polega na tym, żeby każdemu wierszopisowi oddawać te same honory co Mickiewiczowi, lub żeby Mickiewicza nie wynosić, broń Boże, ponad innych poetów; tylko na tym, żeby każdemu zdolnemu twórcy dać najlepsze warunki rozwoju, bez względu na jego pochodzenie społeczne i majątek rodziców.

Jeszcze inni wojują przeciw Akademii zarzutem „rangizmu", nie zdając sobie sprawy, że właśnie „rangizm" jest zasadą działalności w ustroju demokratycznym. Natomiast w ustrojach autorytatywnych lekceważy się „rangizm", czyli zdolności, pracę i zasługi społeczne; wystarczy należeć do kliki, być zięciem dyktatora lub adiutantem, żeby mieć nawet talent pisarski. Wracając do naszej sprawy, trzeba jasno postawić kwestię: rangizm nie jest niebezpieczny, niebezpieczne mogą być niewłaściwe zasady rangizmu. Idzie o to, żeby rangizm był naturalny, to znaczy, żeby był wykładnikiem zdolności i wyników pracy. I od tego nie wolno nam odstąpić nie tylko przy Akademii, lecz przy wszystkich sprawach publicznych.

Ustrój może i winien zagwarantować wszystkim równość szans. Talent jest czymś tak rzadkim i tak społecznie cennym, że trzeba go otaczać najwyższą opieką i wyróżniać! Jeden jest Staff, jeden Tuwim, jeden Przyboś, jedna Dąbrowska i jeden Iwaszkiewicz. Na to nikt nie poradzi. Cóż mi z tego, że jest nas około 600 osób w Związku Literatów, kiedy na redaktora „Odrodzenia" obierają jednego, do Paryża jedzie nas reprezentować tylko paru kolegów, do Pragi paru, do Moskwy, Sztokholmu i Londynu również tylko elita?! Ba! nawet na wypoczynek udaje się do Szwajcarii tylko elita! Nagrody dostaje elita, mieszkania elita, książki wydaje elita, posłami zostaje elita, w autach państwowych jeździ elita literacka! Gdzie tu demokracja? — miałby z nas każdy prawo zapytać, gdybyśmy zaczęli stosować do sztuki, do pracy twórczej kryteria powszechnej, bezpośredniej i proporcjonalnej demokracji politycznej.

Krótko i węzłowato: Akademia jest instytucją elitarną, bo sztuka jest elitarna. Akademia jest wykładnikiem tego elitaryzmu, który stanowi naturalną i konieczną podstawę wszelkiej działalności twórczej. Na tym właśnie polega sens instytucjonalny wszelkich Akademii i ich waga społeczna. Związek Zawodowy Literatów broni naszych interesów materialnych, społecznych i politycznych; to niejako nasza izba ustawodawcza. Ministerstwo Kultury i Sztuki z agendami wojewódzkimi i powiatowymi, to nasz organ wykonawczy, to nasza egzekutywa. Akademia zaś, to nasza Najwyższa Rada Literatury.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Moim zdaniem, Akademii nie ma potrzeby „wskrzeszać" albowiem prawnie istnieje ona nieprzerwanie. Powołana została do życia aktem państwowym, a następnie utrwalona uchwałą Sejmu. Nikt Akademii nie rozwiązywał i chyba jedynie Sejm mógłby odwołać uchwałę Sejmu.

Tak, jak Polska Akademia Umiejętności podjęła automatycznie swoje czynności, powinna je była podjąć i PAL. Rozproszenie i niemożność natychmiastowego porozumienia malutkiej garstki pozostałych przy życiu Akademików stanęły temu na przeszkodzie. W tej chwili przebywa w Polsce pięciu członków Akademii: Nałkowska, Staff, Szaniawski, Kleiner i Makuszyński. Jest to ilość niewystarczająca do wyboru nowych członków a liczba Akademików wedle uchwały sejmowej została powiększona z piętnastu do dwudziestu jeden. Wobec tego Rząd powinien mianować kilku nowych członków Akademii, a ci, w połączeniu z dawnymi, obraliby resztę.

Jest prawdą niewątpliwą, że PAL nie miała tego autorytetu, jaki mieć powinna, dokonała jednak wielu rzeczy dobrych, wprowadzając szkolne konkursy literackie, patronując wydawaniu znakomitych dzieł polskich autorów, rozdzielając stypendia i udzielając nagród. Książki nagrodzone przez PAL „robiły karierę". Akademia zgromadziła pokaźną bibliotekę, (która ocalała), zbierała portrety głośnych pisarzy polskich i dzieła sztuki. Byłem kwestarzem Akademii i udało mi się zebrać dość znaczną sumę. W r. 1939 miało wyjechać za te pieniądze dwóch stypendystów na półroczny pobyt za granicą. Dwa takie stypendia dla młodych poetów miały być udzielane corocznie. Nie jest to wiele, ale nie jest też i mało.

Błędom Akademii winny były czasy i ludzie. Ponieważ i czasy są inne i ludzie są inni, będzie też inna i Akademia, do której weszliby przede wszystkim ci najwybitniejsi, którzy ze względów zasadniczych do niej wejść nie chcieli.

Należy Akademię odmłodzić. Przeważna część członków Akademii była w wieku mocno sędziwym, wobec czego „Dafnis w drzewo bobkowe zamieniona" — zmartwiała. Wie się niemal niemyinie, który z młodego pokolenia pisarzy osiągnie z czasem najwyższą rangę, po cóż tedy czekać aż posiwieje? Niech wniesie do Akademii swoją młodość i bujność. Nie ma przeto potrzeby stwarzania nowej instytucji, skoro można znakomicie ożywić i uświetnić dawną.

Byłoby to dla mnie niepowetowaną krzywdą, gdyby mnie kto posądził, że piszę te słowa pro domo mea. Troską moją jest dola polskiej literatury, a nad tym, by ta dola nie stała się posępna, powinien czuwać wysoki sejm literacki, którym w wielu najbardziej kulturalnych krajach jest do dnia dzisiejszego, mimo gwałtownych zmian i przewrotów, właśnie Akademia. Nie należy sprzeczać się o nazwę, idzie bowiem jedynie o wspaniałość i powagę treści.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 119, 120 i 122 „Odrodzenia": Wacława Borowego, Kazimierza Brandysa, Jana Brzechwy, Stefana Flukowskiego, Wiktora Hahna, Pawła Hertza, Jarosława Iwaszkiewicza, Juliusza Kleinera, Jana Kotta, Marii Kuncewiczowej, Wandy Melcer, Janusza Minkiewicza, Czesława Miłosza, Gustawa Morcinka, Edmunda Osmańczyka, Stefana Otwinowskiego, Stefana Papéego, Jana Parandowskiego, Tadeusza Peipera, Ksawerego Pruszyńskiego, Artura Sandauera, Tadeusza Sinki, Włodzimierza Słobodnika, Lęopolda Staffa, Juliana Tuwima, Adama Ważyka, Kazimierza Wyki, Jerzego Zawieyskiego i Stefana Żółkiewskiego.

ANTONI BOHDZIEWICZ

SPRAWY I TROSKI POLSKIEGO FILMU

Kiedy rok temu, podczas dyskusji w łódzkim „Klubie Pickiwcka", wystąpiłem z krytyką działalności kierownictwa Filmu Polskiego, nie przypuszczałem, że rozpoczynam „wołanie na puszczy", od którego głos wołającego aż ochrypnie, długo nie wywołując echa.

Trzeba było dopiero „Zakazanych piosenek", żeby ów filmowy rezerwat, nie wiadomo dlaczego tak długo oszczędzany przez krytykę, stał się wreszcie miejscem wycieczek i badań, które w końcu, jak słyszę, poza zmianami personalnymi w kierownictwie, doprowadzić mają do zasadniczych zmian samej struktury przedsiębiorstwa. Jeśli się tak stanie — nie będę żałował ani chrypki, ani tego, że jako filmowca skazano mnie „za karę" na bezterminowy urlop.

Zaczęło się od powołania do życia przez rząd państwowego przedsiębiorstwa „Film Polski". Nie będziemy tu tracić czasu na pytania, dlaczego w tym dekrecie popełniono tyle poważnych niedociągnięć. Ukazały się one, jak pęknięcia na murze — dopiero po pewnym czasie i nie mogły ukazać się wcześniej. Za to teraz można przyjrzeć się im zupełnie dokładnie:

Przedsiębiorstwo, o którym mowa, jednoczy w sobie wszystkie możliwe agendy, a mianowicie:

— fabryki sprzętu i surowca (taśmy);

— laboratoria i atelier do zdjęć (na razie po jednym, inne w budowie);

— budownictwo nowych kin i nowych baz technicznych;

— administrację kin istniejących;

— kupno, sprzedaż i wynajem filmów, krajowych i zagranicznych;

— produkcję wszelkiego rodzaju filmów: rozrywkowych, dokumentarnych, naukowych, rysunkowych, kukiełkowych, kronik filmowych itd.;

— dział wydawnictw filmowych (prasa, książki);

— instytut filmowy (szkolenie, ośrodki badawcze);

— agencje fotograficzne...

To wszystko, zważmy, w jednym przedsiębiorstwie! Pod jednym zarządem!

Praktyka kilkunastu miesięcy wykazała dobitnie, że podobnie pomyślane przedsiębiorstwo zapada na elephantiasis zadań i czynności, że jeden zarząd choćby najsprawniej działający, nie może jednocześnie dysponować, produkować, kontrolować, uczyć itd. Mimo tylu, tak różnorodnych agend w jednym organizmie, pojawiają się nieuchronnie następujące schorzenia: kosztem agend produktywnych nadmiernie rozbudowana administracja, ograniczenie do jałowego minimum inicjatywy jednostek i grup, ustawiczne czekanie na decyzje paru przeciążonych pracą i odpowiedzialnością gabinetów, zła gospodarka materiałem ludzkim, marnotrawienie ludzkiego czasu i energii.

Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że już w niedalekiej przyszłości życie każe:

1) powierzyć planowanie i kontrolę realizacji programu filmowego osobnej, nadrzędnej grupie, reprezentującej całość interesów kultury;

2) rozbić przedsiębiorstwo „Film Polski" na kilka mniejszych przedsiębiorstw, które — posiadając wyraźnie określoną specjalność — będą mogły pracować i rozwijać się autonomicznie, z tym oczywistym zastrzeżeniem, że ich praca i gospodarka nie wyjdą poza ramy planu ogólnego, jaki nakreśli centralny ośrodek dyspozycyjny.

To jedno. Następnie, aby zapewnić polskiemu filmowi normalny rozwój w dziedzinie najważniejszej, tj. w dziedzinie produkcji, jest rzeczą konieczną powołanie do życia większej ilości wytwórni filmowych. Tylko bowiem istnienie kilku czy kilkunastu autonomicznych zespołów twórczych pozwoli wykorzystać w pełni inicjatywę i pomysłowość tych wszystkich jednostek uzdolnionych, jakimi dysponujemy, dalej pozwoli stworzyć zdrową i szlachetną rywalizację poziomu produkcji, wreszcie — wywoła szersze zainteresowanie filmem wśród ludzi nauki, oświaty i sztuki.

Monopolizacja twórczości nigdy i nigdzie nie dawała dobrych rezultatów. Nigdzie też nie jest praktykowana. Jest przecież nie do pomyślenia, by w kraju był jeden tylko teatr, jedna wyższa uczelnia czy jeden tygodnik — i to nie tylko z uwagi na rozmiary kraju, ale po prostu z uwagi na różnice między ludźmi, którzy tworzą, piszą czy uczą!... Indywidualności artystyczne bywają różne i nie można zmuszać ich do tworzenia na „jedno kopyto", a tak zwykle bywa w monopolach.

Tak więc — dział produkcji istniejącego obecnie przedsiębiorstwa „FP" stanie się w nowym schemacie samodzielną wytwórnią, która może się dalej nazywać „Film Polski", ale obok której — i to na równych prawach — powinny pracować inne grupy. Te inne wytwórnie mogą powstać z inicjatywy państwa, organizacji oświatowych i kulturalnych, samorządów, wreszcie z inicjatywy prywatnej. Dekret o „Filmie Polskim", nie dając mu monopolu na produkcję, stwarza już dzisiaj pełne możliwości prawne dla powstania i działalności podobnych placówek. Filmowa spółdzielnia organizacyj młodzieżowych „Gromada" jest na tym horyzoncie pierwszą jaskółką. Jaskółką, która ma zresztą niewiele przestrzeni do latania.

Sceptyk zapytać może: no dobrze, ale czy na to wszystko wystarczy ta skąpa liczba polskich filmowców? I tutaj przecież narzeka się na brak ludzi! Narzeka się, owszem, ale to tylko wybieg! Proszę policzyć dni i miesiące, które zmarnowali reżyserzy i operatorzy „Filmu Polskiego" przez te dwa lata. Nawet uwzględniwszy okoliczności łagodzące, cyfry przestraszą wszystkich!

Mamy na razie gotową do zdjęć jedną halę. A proszę: nawet ta jedna hala stała ostatnio przez październik, listopad i grudzień pusta, a jeden tylko dzień tego „stania" kosztował „FP" 72 tysiące złotych! Czy byłoby tak, gdybyśmy mieli więcej wytwórni?

Trzeba tu dodać, że powstanie nowych wytwórni pociągnie za sobą natychmiast utworzenie nowych laboratoriów, nowych hal zdjęciowych, choćby na początek najskromniejszych technicznie.

Schemat organizacji życia filmowego w Polsce, jaki tu proponuję, przewiduje przede wszystkim utworzenie **Centralnego Komitetu Filmowego.** Winno to być ciało zbiorowe, złożone z przedstawicieli CUP i ministerstw: Kultury, Oświaty, Skarbu, Przemysłu, Obrony Narodowej. Następnie: filmu (dwie osoby), literatury, muzyki i sztuk plastycznych (po jednej).

Nie upieram się przy takim, a nie innym składzie Komitetu. Jeżeli dla filmowców rezerwuję tylko dwa miejsca, to dlatego, że: po pierwsze, filmowcy są od tego, żeby kręcić filmy. Ich miejsce jest zatem w warsztatach produkcyjnych.

Po drugie: jeśli rzeczywiście trzeba się znać na filmie, ażeby filmy kręcić, to nie jest to potrzebne, a w każdym razie — nie w tym samym stopniu — żeby nakreślić dla kinematografii rozsądny i podyktowany potrzebami kraju program, czy kontrolować gospodarczą stronę przedsiębiorstw. Potrzebne są tu natomiast kwalifikacje inne: dobra znajomość społecznych i kulturalnych problemów kraju, doświadczenie, jakie daje jedynie dłuższy stage w służbie społecznej i wreszcie znajomość zasad „dobrej roboty" (organizacja, finanse, kontrola). Oto dlaczego — Komitet winien skupiać przede wszystkim działaczy kulturalnych i oświatowych, dalej — fachowców z dziedziny administracji i planowania.

Dodam wreszcie, że wciągnięcie do Komitetu ludzi spoza filmu jest jedynym sposobem wyprowadzenia polskiej kinematografii z ciasnego podwórka rzekomo fachowych, a w gruncie familijnych koteryj — na otwarte pole problemów stawianych i rozwiązywanych w skali ogólnopaństwowej.

Moje wołanie o nowych ludzi dotyczy zresztą nie tylko składu owej grupy nadrzędnej, jaką ma być Komitet, ale także składu samych zespołów produkcyjnych. Powtórzę tu z uporem to, co już nieraz pisałem: film wymaga rzetelnej fachowości jedynie w sprawach technicznych, i tu rzeczywiście nikt nie zdobędzie fachu na łapu capu! W sprawach artystycznych natomiast wystarczą jako punkt wyjścia: ogólne zdolności twórcze i to, co nazywamy zmysłem artystycznym. Jeśli zwerbowany do filmu „rekrut" „wykazał się" w którejś ze sztuk pokrewnych (literatura, teatr), to jest wiele danych, że po krótkiej praktyce stanie się także wartościowym filmowcem, tj. że pozna odrębny język X Muzy i nauczy się tym językiem przemawiać.

Prace Centralnego Komitetu Filmowego przebiegałyby permanentnie w komisjach, plenarne posiedzenie wystarczy odbywać kilka razy do roku. Komisyj proponuję pięć: programową, techniczną, finansową, oświatową, współpracy z zagranicą...

Komisja Programowa zajęłaby się ustaleniem ogólnej polityki repertuarowej, zatwierdzaniem konkretnie zgłaszanych projektów i scenariuszy, premiowaniem filmów szczególnie udałych, ogłaszaniem konkursów itd.
Jednakże pilnując w tym wszystkim jedynie „linii generalnej", nie wkraczając w szczegóły, nie zaglądając co chwila do kuchni realizatorów. Za „kuchnię" realizatorów odpowiadać winien zespół autorski danej wytwórni, która z chwilą zatwierdzenia przedłożonego projektu i uzyskania nań kredytów — pracuje już w spokoju ducha aż do momentu, kiedy powierzone sobie zadanie wykona.

Nie wykluczam kontroli w trakcie roboty, wydaje mi się jednak, że nie powinna ona dotyczyć tego, co nazywamy robotą artystyczną. Nie zniesie takiej kontroli ani pisarz, ani muzyk, dlaczego ma ją znosić scenarzysta czy reżyser? Nie mogą więc różni besserwisserzy zaglądać co chwila do autorskiego garnka i wrzucać tam swoje trzy grosze.

Komisja Techniczna kieruje pracą placówek technicznych (laboratoria, atelier, magazyny sprzętu, kina). Dba o ich wyposażenie i rozbudowę.

Wytwórcze placówki techniczne tworzą osobne przedsiębiorstwa w każdym mieście. Każdy, kto ma do tego prawo — znajduje tam gotowe warunki do nakręcenia filmu: sprzęt i fachowy personel techniczny. Za co płaci według ustalonych stawek.

Ośrodek wytwórczy w Łodzi pozostałby przedsiębiorstwem państwowym, podobnie jak powstająca wytwórnia warszawska. Zakładanie laboratoriów i hal zdjęciowych należy jednak także umożliwić spółdzielniom a nawet spółkom prywatnym. Chodzi bowiem o to, żeby na tym odcinku możliwie szybko przywrócić stan posiadania z r. 1939, czego nie da się osiągnąć bez popierania inicjatywy wszystkich trzech gałęzi naszej gospodarki.

Wszystkie pozostałe po zniszczeniach wojennych kina przejęło w swe ręce państwo. Bardzo słusznie. Był to bowiem przed wojną dziurawy worek, w którym bez korzyści dla filmu ginęła masa pieniędzy. Poza tym: właśnie prywatni właściciele kin obniżali poziom przedwojennej filmowej produkcji. Oni to, udzielając wekslowych zaliczek na produkcję, stawiali „programowe żądania", a jakie były te żądania, pamiętamy nazbyt dobrze!

Jednak, wydaje mi się, że aby przyśpieszyć rozbudowę sieci kinoteatrów w Polsce — także pozostałym dwom sektorom gospodarczym można pozwolić na budowę i remonty kin. Nie należy się tu obawiać inicjatywy spółdzielczej czy osób prywatnych. Nie należy, ponieważ kluczową pozycję: kupno, sprzedaż i wynajem filmów, zarówno krajowych jak i zagranicznych — państwo sobie i tak zastrzega na zupełną wyłączność. I tu zasada monopolu ma za sobą wszelkie racje. Jest to bowiem jedyny sposób poprowadzenia jakiejś określonej polityki repertuarowej na naszych ekranach, nie mówiąc już o oczywistych korzyściach materialnych, jakie polska kinematografia z tego osiągnie.

Centralny Zarząd Kinoteatrów w proponowanym tu schemacie tworzy osobną, autonomiczną, jeśli chodzi o zarząd, instytucję — o charakterze wyłącznie organizacyjno-administracyjnym.

Wszystkie fundusze, płynące z kas kinowych, wszystkie kredyty i subsydia na film przyznane przez państwo, zyski z obrotów zagranicznych — winny wpływać do **Banku Filmowego,** centralnej instytucji rozrachunkowej, którą należy powołać do życia. Bo, na chłopski rozum: tylko w takiej centralnej i prowadzonej przez fachowców instytucji można będzie orientować się w opłacalności filmowych imprez, w potrzebach finansowych poszczególnych filmowych placówek, w budżetach, bilansach itp. Tu miałyby swe konta wszystkie filmowe przedsiębiorstwa i spółdzielnie, tu pilnowałoby się wykonania budżetów i zużycia kredytów zgodnie z planem i zgodnie z zasadami zdrowej gospodarki. Kapitałami Banku dysponować winna **Komisja Finansowa** Centralnego Komitetu Filmowego.

Biuro Sprzedaży i Wynajmu Filmów, również autonomiczna, jeśli chodzi o szyld i zarząd, instytucja podlegać winna: w zakresie polityki repertuarowej Komisji Programowej Komitetu, w obrotach z zagranicą — **Komisji Współpracy z Zagranicą.**

Komisja Oświatowa Komitetu kieruje działalnością Instytutu Filmowego oraz wszelkich klubów i stowarzyszeń interesujących się filmem (np. klubami wąskotaśmowców).

Jest to jaskrawy nonsens, że Instytut Filmowy, instytucja o tak odrębnych celach — nie zdołał uzyskać do tej pory pełnej autonomii i pracuje jako agenda przedsiębiorstwa „Film Polski".

Przypomnę, czym się Filmowy Instytut zajmuje. Więc szkoleniem młodych filmowców, zakładaniem ośrodków badawczych i biur studiów, produkcją filmów naukowych i oświatowych, wydawaniem czasopism, książek itd. Zakres prac olbrzymi i wymagający pełnej autonomii administracyjno-gospodarczej.

Schemat mój pomija zupełnie dział fabrykacji sprzętu i surowca, który powinien od dawna przejść pod bezpośredni zarząd Ministerstwa Przemysłu. Pomija też agencje fotograficzne, które nie mają z filmem nic wspólnego i powinny być przekazane agencjom prasowym.

To jest, z grubsza rzecz biorąc, wszystko, co bym chciał zmieścić w tej mojej modlitwie filmowca do rządu.

Antoni Bohdziewicz

W poprzednim 13 (122) numerze „Odrodzenia" z dnia 30 marca 1947 r.: **Ludwik Krzywicki:** Ze wspomnień. — **Stefan Żółkiewski:** Materiały do dyskusji o uniwersytetach. — **Juliusz Starzyński:** Piękno dzisiejszej Warszawy w rysunkach Tadeusza Kulisiewicza. — **Mieczysław Jastrun:** Słów kilka o przekładzie poetyckim. — **Julian Tuwim:** Z notesu amerykańskiego (II). 1943—1944. — **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie: Powieść (10). — Czy wskrzesić Polską Akademię Literatury. Ankieta „Odrodzenia" **(Kazimierz Brandys, Maria Kuncewiczowa, Wanda Melcer, Czesław Miłosz, Gustaw Morcinek, Stefan Papée, Tadeusz Peiper, Ksawery Pruszyński, Artur Sandauer, Włodzimierz Słobodnik, Jerzy Zawieyski).** — **Jerzy Zawieyski:** „Oresteja" Ajschylosa. — **Stanisław Kulczyński:** „Ossolineum redivivum. — **Henryk Markiewicz:** Wiersze z obozu śmierci. Korespondencja **(Józef Maśliński, Aurelia Zaleska).** — **Jaszcz:** „Życie Słowiańskie". — **kjw:** Szkoła krytyków: Zmowa literatów czy dezercja krytyków? — Tydzień bibliograficzny. — **K. I. Gałczyński:** Śmierć inteligenta. III. Exitus letalis. — **Nemo:** Plotki, plotki... **Helena Wielowieyska** (rysunki **Andrzeja Stopki):** Na Plantach i na Krupniczej. List z Krakowa. — 12 ilustracji. — 8 stron.

JERZY ZARUBA

POCIĄG DO AKADEMII LITERATURY

Min. DYBOWSKI (jako nadkonduktor): – Wolnego, wolnego panowie! (Na dachu K. I. Gałczyński – z Zieloną Gęsią – i J. Kott). Wewnątrz sleepingu siedzą od lewej: L. Staff, K. Makuszyński, J. Szaniawski, Z. Nałkowska i J. Kleiner. Wchodzą: J. Iwaszkiewicz i J. Tuwim. Na peronie (od lewej); T. Breza z trąbą, A. Rudnicki, J. Brzechwa, J. Minkiewicz. Na froncie od lewej: J. Andrzejewski z Przybosiem, W. Broniewski, M. Dąbrowska, A. Ważyk. Pozostali kandydaci niewidoczni z braku miejsca (na rysunku).

Kronika muzyczna

Sezon koncertowy w Warszawie — w całej pełni. Co drugi dzień afisze zapowiadają mniej lub bardziej wartościową imprezę muzyczną. A już gdy nadejdzie niedziela, to nieszczęsny recenzent biega z jednego koncertu na drugi i wszędzie jest tylko na części programu! Dość zabawnie to wyglądało, gdy grupa „recenzentów warszawskich", śpiesząca po wysłuchaniu pierwszej części niedzielnego recitalu prof. Woytowicza na część drugą koncertu symfonicznego w „Romie" — zderzyła się na ulicy Brackiej z inną grupą, działającą w myśl odwrotnie opracowanego planu strategicznego. A wszystko to jest wynikiem braku koordynacji, płynącego zresztą ze znanej „wojny" pomiędzy Filharmonią Warszawską a Filharmonią Narodową, oraz drugiej—pomiędzy prezesem Związku i szefem resortu.

Ogół miłośników muzyki w Warszawie nie interesuje się głębiej perypetiami ludzi, pragnących uporządkować, a nawet — uzdrowić życie muzyczno - koncertowe w stolicy. Ogół ten pragnie jednego: słuchać dobrej muzyki w odpowiednich warunkach.

Zarejestrujemy pokrótce pokłosie muzyczne ostatnich dni kilkunastu.

Występ Polskiej Orkiestry Kameralnej, z udziałem Jana Ekiera, w sali YMCA był udany. Zaliczana do najlepszych w Polsce, Orkiestra Kameralna pod batutą utalentowanego dyrygenta, kompozytora i pianisty, **Stanisława Wisłockiego,** dała doskonałe wprost wykonanie Concerto grosso e-moll Fr. Geminianiego, Symfonii g-moll Mozarta, „Tańca szkieletów" Saint-Saënsa. St. Wisłocki znakomicie przygotował i przeprowadził akompaniament orkiestrowy do Koncertu f-moll Chopina. Tak subtelnych akcentów dynamicznych, takiej precyzji w skoordynowaniu brzmienia orkiestry z fortepianem — nie słyszeliśmy od dawna. Okazało się również, że skład Orkiestry Kameralnej całkowicie wystarcza w koncertach Chopina.

Jan Ekier, jako solista, grał z pełnym umiarem artystycznym. Nieskazitelna technicznie gra Ekiera była przemyślana jako konstrukcyjna całość, opracowana w najdrobniejszych szczegółach, pełna melancholijnej zadumy w części środkowej Koncertu.

Popularny, poświęcony muzyce czeskiej i polskiej siódmy koncert symfoniczny **Orkiestry Filharmonii Warszawskiej,** pod dyrekcją Olgierda Straszyńskiego, wykazał postęp we współbrzmieniu poszczególnych grup instrumentów, lepsze opanowanie rytmiczne. Zepsuł wrażenie Koncert es-dur Beethovena. Wykonany dziwnie sucho przez prof. Józefa Smidowicza, w niezbyt dobrej zgodzie z orkiestrą, która chwilami grała z różnicą całego taktu (!) — świadczył o zbyt zapewne małej ilości prób.

Natomiast prof. Irena Dubiska na koncercie polsko - czeskim miała swój dobry dzień. Odegrała popularny Koncert skrzypcowy M. Karłowicza z wirtuozoskim prawdziwie blaskiem, tonem pełnym, soczystym. Program przyniósł nam prócz tego Uwerturę do „Patrii" Moniuszki i symfonię „Z nowego świata" Dworzaka. Dyrygował gościnnie Zdzisław Górzyński. Indywidualność i talent wybitnego artysty odbiły się i na orkiestrze, która dała maksimum swych obecnych możliwości. Pełen polotu utwór wielkiego kompozytora czeskiego wypadł całkiem zadowalająco.

W cyklu urządzanych we własnej salce kameralnej przez **Instytut Fr. Chopina** koncertów, poświęconych muzyce poprzedzającej i współczesnej genialnemu mistrzowi, po koncercie, obejmującym przeważnie romanse Glinki (śpiew T. Mazurkiewicz i Bułat-Mironowicz, akompaniament — T. Wojtaszewska), po następnym, z udziałem Wł. Kędry i M. Drewniakówny, w trzecim z kolei usłyszeliśmy muzykę francuską. Ze smakiem odegrała szereg utworów Leclaira, Couperina i in. Irena Dubiska, przy akompaniamencie prof. Lefelda. Artystka grała z poczuciem stylu, miejscami może tylko ze zbyt małą precyzją w rytmie. R. Zambrzycka wykazała muzykalność, mimo pewnych braków w wyszkoleniu wokalnym, odśpiewawszy kilka „wdzięcznych i dźwięcznych" piosenek francuskich w stylu pastoralnym. Piosnka Chopina wypadła również dobrze. Natomiast zabrakło dramatycznego wyrazu, zabrakło koniecznej giętkości głosu w pieśniach Berlioza.

W niedzielę 16 marca mieliśmy aż dwa recitale wybitnych pianistów: Woytowicza i Sztompki.

Prof. Bolesław Woytowicz, tak pięknie zapisany w kronikach tragicznego życia Warszawy pod hitlerowską okupacją, gdy w swej kawiarni artystycznej na Nowym Świecie — podtrzymywał tlejący zaledwie wśród okupacyjnej nocy płomyczek polskiego życia muzycznego — dał licznym słuchaczom głęboko ujętego J. S. Bacha, mistrzowskiego pod względem stylowym i pianistycznym Mozarta, szereg utworów Chopina. Był to Chopin skąpy w barwie, ale bardzo piękny w rysunku. W tym ujęciu świetnie wypadły Preludia i Etiudy, doskonała w koncepcji całości II Ballada, mniej się nam podobały Mazurki, jakby nieco niezdecydowane rytmicznie. W drugiej części recitalu zamieścił prof. Woytowicz dzieła, w których wykonaniu jest mistrzem: Prokofiewa, Ravela, Debussyego, wreszcie trzy tańce własne, rzeczy napisane z doskonałą znajomością instrumentu, pełne gracji i finezji.

Przysięgły chopinista, **Henryk Sztompka,** grał przy przepełnionej sali w „Romie" długi szereg dzieł Chopina, drugie tyle jeszcze, co w programie, dając w bisach. Wśród polskich chopinistów Sztompka zajmuje pozycję odrębną, ze swym ujęciem romantycznym, z pewnym nawet przeczuleniem, ze skoncentrowaniem uwagi na lirycznych elementach muzyki Chopina. Pisałem kiedyś o tym, że poświęcenie talentu wyłącznie jednemu kompozytorowi stanowi pewne niebezpieczeństwo, które w tym wypadku nazwałbym „przechopinizowaniem" Chopina. W wykonaniu przez Sztompkę Nokturnu fis-dur jestem skłonny widzieć zarysowującą się groźbę zrealizowania mej zapowiedzi, co w przyszłości mogłoby się wyrodzić w — manieryczność.

Wiktor Brégy, mający poza sobą dwudziestoletnią karierę śpiewaczą na scenach polskich i zagranicznych, po milczeniu w okresie okupacji— zadziwia nas dzisiaj nie tylko swą umiejętnością śpiewaczą, ale czystością i dźwięcznością głosu. W programie recitalu, jaki ostatnio dał w sali YMCA, wykazał też duży smak artystyczny, grupując na wstępie klasyków, dalej — kompozycje polskie i rosyjskie, a wreszcie kończąc wyrafinowanymi tonami Debussyego, Duparca, de Falli. Doskonale opracowane i wykonane, zarówno pod względem wokalnym jak i ekspresji, arie i pieśni w ujęciu Brégyego przyniosły słuchaczom recitalu przeżycia estetyczne w najlepszym stylu.

Władysław Kędra — jest dziś najlepszym pianistą młodszego pokolenia. Nieskazitelna technika, olbrzymi repertuar, trafność ujęcia, poczucie stylu, bogactwo odcieni uderzenia — wysunęły Kędrę na czoło naszych wirtuozów. A przy tym — szukanie czegoś nowego, unikanie banalności i w układzie programów i w ich wykonaniu!

Poświęciwszy się, po przeniesieniu z Łodzi do Warszawy, całkowicie działalności wirtuozoskiej, Kędra dał poprzednio ciekawie zestawiony wieczór walców. Ostatnio zaś — koncert muzyki hiszpańskiej. Doskonały pomysł został równie dobrze zrealizowany. W części pierwszej, po noszącym charakter niby uwertury tańcu Granadosa, artysta grał utwory Moszkowskiego, Debussyego, Chopina (Bolero), Liszta. Nie dyskutując na temat mniej czy więcej autentycznej „hiszpańskości" tych kompozycji, podkreślić musimy łatwość, z jaką pianista przerzucał się od jednego stylu do drugiego, od pustawej acz pełnej blasku wirtuozerii Moszkowskiego i Liszta, do głębszych akcentów w utworach Chopina i Debussyego.

Po przerwie — długi szereg już prawdziwych Hiszpanów: Albeniz, de Falla, Infante. W utworach tych, efektownych w sensie czysto pianistycznym, porywających zmiennością nastrojów i czarem egzotyzmu — Kędra osiągnął całkowity sukces. Na tle tanecznych, szalonych miejscami rytmów Navarry czy Triany — głębokim liryzmem zadźwięczały tony Maiorki. Entuzjastycznie oklaskiwany, wykonał na bis dwie rzeczy Liszta, tak na ogół niesłusznie pomijanego w programach koncertowych.

Jerzy Kuryluk

Ambitna książka

Wznowienie „Rodowodu społecznego literatury polskiej" Ignacego Fika *) było nie tylko aktem pietyzmu wobec pamięci szlachetnego człowieka i wybitnego krytyka. Wynikło ono z palącej potrzeby socjologicznego ujęcia historii literatury polskiej. Czytelnik szuka dziś w historii literatury czegoś więcej niż tylko szczegółów biograficznych i oceny estetycznej dzieł. Żąda, by ukazała mu ona społeczne podłoże, opisała i oceniła społeczną funkcję twórczości literackiej.

Czy jednak książka Fika spełnia te postulaty?

Kazimierz Koźniewski w przedmowie do nowego wydania książki określa bogatą, nieszablonową indywidualność Ignacego Fika; autor rozprawy o rodowodzie społecznym literatury polskiej, to badacz literatury, popularyzator i publicysta zarazem. Badacz literatury szukał nowych dróg dla swej dyscypliny naukowej; popularyzator liczył się z masowym, nie przygotowanym czytelnikiem; publicysta był z rzędu tych, którym nie wystarczało zrozumieć i wyjaśnić opisywaną przez siebie rzeczywistość: pragnął ją w określonym kierunku — *zmienić.*

Nie łatwo było uczonemu, popularyzatorowi i publicyście dojść do zgody na stu kilkunastu stronicach rozprawy. Pragnął w niej autor zawrzeć swoje credo w dziedzinie teorii literatury i metodologii literaturoznawstwa, retrospektywny przegląd dawnej literatury polskiej, dokładniejsze omówienie i ocenę literatury Młodej Polski i pozytywizmu.

Uczony popadał w schematyzm, popularyzator upraszczał, a publicysta — zbyt rzadko dochodził jawnie do głosu, częściej występował pod maską uczonego i popularyzatora.

Największe trudności i niebezpieczeństwa zawierał w sobie rozdział pierwszy pt.: „Charakter społeczny literatury". Przystępnie tłumaczy tu Fik, dlaczego literatura jest zjawiskiem społecznym, referuje — powtarzając schemat Plechanowa— zależność literatury jako ideologicznej nadbudowy od innych „warstw", składających się na rzeczywistość społeczną. Gorzej dzieje się, gdy Fik od popularyzacji przechodzi do przedstawienia własnych poglądów na dynamikę literatury.

Biorąc za podstawę tezę o zależności literatury od rozwoju klasy społecznej, konstruuje on nastpujący schemat ewolucji literatury klasowej: w okresie przełomu i walki nowych warstw ze starymi literatura jest prekursorką życia: wyprzedza je i toruje mu drogę. Stąd jej charakter subiektywny i emocjonalny. Po zwycięstwie nowych tendencji — literatura staje się wiernym zwierciadłem życia, rejestruje je naturalistycznie. Dalsza stabilizacja układu sił społecznych przynosi zmianę funkcji literatury: opracowuje ona nasuwające się zagadnienia metodą realistyczną. Wreszcie okres upadku danej klasy wywołuje literaturę świadomie oderwaną od rzeczywistości, „sztukę dla sztuki".

Schemat taki (nb. przedstawiony tu w pewnym uproszczeniu) jest efektowny: pozornie rozwiązuje po marksistowsku zagadnienie dialektyki literatury. Cóż, kiedy stosowalność jego jest bardzo ograniczona. Wystarczy zapoznać się z dalszym ciągiem tej samej pracy Fika, by przekonać się, że nie da się on przymierzyć właśnie do literatury polskiej. Przy swobodnej interpretacji można by z jego pomocą wyjaśnić ewolucję francuskiej literatury mieszczańskiej, ale to chyba wszystko. Jest to więc — by przypomnieć stary koncept — ów uniwersalny pojazd bezkołowy, który ma wszystkie zalety i jedną tylko wadę: nie jedzie.

Fik, ciekawie i trafnie omawia przyczyny i mechanizm ewolucji społecznej Polski w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Szczególną wartość posiada rozdział o pozytywizmie, słusznie podkreślający rolę szlachty w powstaniu i rozwoju tego prądu, oraz łączność między ideologią pozytywistyczną a szlachecką ideologią przedpowstaniową w kraju. Natomiast socjologicznie ujęta historia literatury sprowadza się u Fika do przedstawienia panujących w danym okresie poglądów, o ile one znalazły swe odzwierciedlenie w utworach literackich. Analiza twórczości poszczególnych pisarzy również ogranicza się do przedstawienia ich postawy ideowej, a właściwie zacytowania lub wydedukowania ich poglądów społecznych i dość prymitywnego psychologizowania.

Tej metody zwalczać nie trzeba. Fik doprowadził ją do tak jaskrawej ostateczności, że zubożenie problematyki literackiej jest całkowicie widoczne. Warto wszakże dodać, że ujęcia takie są stosowane i dziś i nie tylko u nas. Niedawno przecież musiał Hervé przypominać francuskim marksistom, że George Sand, choć z przekonań socjalistka, pisała jednak książki reakcyjne...

Ale materiał mieszczący się w tych niepotrzebnie zacieśnionych ramach jest pożyteczny: rozprawa informuje o poglądach społecznych pisarzy rzeczowo, aczkolwiek z nieuniknionymi i rażącymi czasem uproszczeniami. Charakterystyki poszczególnych pisarzy zwracają nieraz uwagę świeżością i śmiałością spostrzeżeń, warto np. przypomnieć, jak trzeźwo ocenił Fik postawę społeczną Prusa; jego wnioski się niemal pokrywają z niedawnymi rewizjonistycznymi wywodami Zawodzińskiego.

Powyższe liczne zastrzeżenia nagromadzono nie po to by dyskwalifikować książkę Fika, lecz by ukazać ją we właściwym świetle: nie jako socjologicznie ujętą historię nowszej literatury polskiej, lecz jako utwór publicystyczny. Literatura pozytywizmu i Młodej Polski jest dla niego rzeczywistością w pełni aktualną. Co w niej może dla siebie znaleźć nowy czytelnik-robotnik i chłop, o ile literatura ta może przysłużyć się dziś sprawie postępu społecznego — to pytania, około których obracają się wywody autora. Trafne uwagi o pozytywizmie — ideologii mieszczaństwa „skrojonej na wyrost" i dlatego cennej również i dla innych klas społecznych — okazują obecnie w pełni swoją aktualność.

Kwestia aktualności ideowej i przydatności społecznej literatury szlachecko - mieszczańskiej dla nowych odbiorców nie wyczerpuje zresztą problematyki rozprawy. W pozytywizmie i Młodej Polsce szukać należy rodowodu ideowego i artystycznego literatury dwudziestolecia. Fik naświetlał krytycznie przeszłość, wytaczał jej ideowy proces, by przez to stawiać postulaty współczesnej sobie literaturze: „Droga do prawdziwego uspołecznienia sztuki prowadzi przez uspołecznienie jej twórców... Uświadomić sobie tendencje rozwojowe pewnych grup społecznych, z którymi jest autor związany, zająć wobec nich pewne aktywne stanowisko, dać mu na zewnątrz szczery wyraz literacki — oto warunek, który spełniając, pisarz dla każdej swej manifestacji literackiej zdobywa wartość społeczną".

„Naprawdę nową, awangardową literaturę można poznać po jednym: stoi ona frontem do rzeczywistości socjalnej, ma ambicję i siłę, by ją kształtować według jasno uświadomionych przez siebie hierarchii i celów, kocha człowieka, a w miłości ku niemu odważnie żąda od niego czynów heroicznych, rozumnych i dobrych. I pomaga mu".

Słowa te nie pochodzą z „Rodowodu społecznego". Stanowią one zakończenie innej pracy Ignacego Fika — „Dwadzieścia lat literatury polskiej". Cytuję je nie tylko dlatego, że są jakby niedopowiedzianą pointą ideową „Rodowodu", lecz i po to, by raz jeszcze upomnieć się o tę za mało znaną i niedostępną obecnie książkę. Ocena dorobku literatury dwudziestolecia staje się dziś jednym z centralnych zagadnień krytyki literackiej. Warto, by w tej sytuacji został przypomniany głos Ignacego Fika.

Henryk Markiewicz

*) Biblioteka Uniwersytetów Robotniczych. Tom VII. *Ignacy Fik.* Rodowód społeczny literatury polskiej. Wydanie drugie. Kraków, 1946; str. 119 i 5nl.

Korespondencja

WYJAŚNIENIA AUTORA
Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 9 „Odrodzenia" znalazłem recenzję Władysława Lecha z powieści mojej „Anna" pt.: „Epigon Staśki". Uznaję w pełni swobodę krytyka do wypowiadania swojego sądu i dlatego nigdy nie protestowałem przeciwko uwagom krytycznym o moich książkach; ponieważ sam czas jakiś zajmowałem się krytyką literacką, ceniłem sobie i cenię swobodę sądu krytyka jako podstawowy składnik jego pracy. Wydaje mi się jednak, że istnieje różnica między swobodą a nieodpowiedzialnością krytyka. Nieodpowiedzialnością krytyka nazywam sugerowanie autorowi wpływów i dzieł, których mógł nie znać i nie czytać, wzorowanie się na utworach, które nie mają najmniejszego podobieństwa do jego książki oraz lekceważące traktowanie autorów, którzy rzetelną pracą pisarską wyrobili sobie pewne stanowisko. Wydaje mi się, że Władysław Lech grzeszy ową nieodpowiedzialnością i dlatego pozwalam sobie na przesłanie tych paru uwag.

Recenzent „Odrodzenia" uważa, że mogłem napisać „jeszcze jedną bardzo niedobrą powieść", sugerując, że moja w r. 1931 wydana rzecz „Ciszy lasu"... była taką właśnie powieścią („Anna" jest drugą). Niech mi wolno będzie dodać, że nieco innego zdania byli w tej sprawie bardziej wytrawni i znani od p. W. Lecha krytycy, jak Kazimierz Czachowski (recenzja w „Czasie" a potem wzmianka w jego książce o piśmiennictwie współczesnej Polski), Leon Kruczkowski (bodaj w jednym z pism śląskich), Stanisław Adamczewski (spory artykuł w tygodniku „Kultura" redagowanym przez K. Wierzyńskiego), Pomirowski w swojej książce o literaturze Polski współczesnej, Płomieński w szkicu o powieści współczesnej, J. Lorentowicz w jednym z pism warszawskich, Stefan Napierski w „Wiadomościach Literackich" i in.

Ale nie w tym rzecz; p. W. Lech ma wszelkie prawo uważać moją młodzieńczą powieść za „bardzo niedobrą". Gorzej, iż imputuje mi rzeczy, których, jako żywo, nigdy nie popełniłem. Powiada oto: „Przeczytał „Kochankę lady Chatterley" przeczytał cykl „W poszukiwaniu straconego czasu", „Wstęp do psychoanalizy" i Van de Velde'a — i... postanowił napisać książkę „głęboką". Książkę „psychologiczną". Nie wyszło. Wyszła marna imitacja dobrej literatury".

Istotnie, czytałem „Kochanka lady Chatterley" i inne powieści D. H. Lawrence'a, o których miałem sposobność pisać jako anglista z zawodu. Czytałem także „Ulyssesa" James Joyce'a, o którym również pisałem (miałem nawet tłumaczyć tę powieść przed wojną na język polski; do polskiego wydania „Kochanka lady Chatterley", które zostało skonfiskowane przez cenzurę w Krakowie, a potem wyszło w Warszawie, napisałem wstęp). Istotnie, czytałem Prousta; podobnie jak czytałem Henry Jámesa i Josepha Conrada (o Conradzie napisałem w r. 1927-ym książkę, pierwszą polską książkę o tym autorze) i nie zamierzam twierdzić, że ich technika pisarska, szczególnie jeżeli chodzi o Joyce'a, nie pozostawiła na mnie trwałego wrażenia. Podobnie jak technika Ernesta Hemingway'a, którego powieść „Pożegnanie z bronią" tłumaczyłem przed laty (w czasie wojny wyjątki z jego świetnej powieści „For Whom the Bell Tolls", na tle wojny domowej w Hiszpanii). Freuda studiowałem i nie mam czego się wstydzić. Znam nie tylko jego „Wstęp do psychoanalizy"; znam również Adlera, Junga, Havelocka Ellisa i inne wielkości psychoanalizy. Moja powieść „Ciszy lasu..." była powieścią psychoanalityczną i — o ile wiem — dostąpiła przed wojną zaszczytu rozbioru na seminarium psychologii na jednej z wszechnic polskich.

Nie znam natomiast Van de Velde'a. Nie znam powieści Staśki. Nie znam również, o dziwo, Srokowskiego „Kultu ciała", którego p. W. Lech zapomniał mi sugerować. Znam natomiast G. Daniłowskiego „Marię Magdalenę" i oczywiście „Dzieje grzechu" Żeromskiego.

P. W. Lech w swojej recenzji stara się przedstawić moją powieść jako imitację i tandetę. Jako powieść sensacyjno - erotyczną. Można zarówno moją pierwszą jak drugą powieść uważać za rzeczy śmiałe, szczególnie w warunkach polskich, które pod wielu względami wykazywały więcej pruderii niż przysłowiowa „obłuda angielska" (znacznie mniejsza w sprawach płci niż polska). Sądzę jednak — a krytycy dobrej rangi byli łaskawi to przyznać — że jest w tych rzeczach coś więcej niż szczerość i otwarte ukazanie dziedziny, która jest decydująca dla życia człowieka. Jeżeli jeden z krytyków w Polsce pisząc o „Annie" wysunął zarzut, że jest ona zawieszona „w próżni społecznej", jest to poważny zarzut. Ale uwagi p. W. Lecha, pisane stylem „czerwoniaka" („w Kopenhadze naród jeździ na rowerach..."), nie wykazują nawet chęci zdobycia się na powagę i uczciwość krytyczną.

Mam uznanie dla krytyki powodowanej znawstwem, powagą myślenia i — dobrą wolą. Dotychczas prace moje i to zarówno polskie jak angielskie były tak właśnie oceniane. Trudno mi pogodzić się zatem z manierami bezceremonialności, nieodpowiedzialności i niechęci, które żadną miarą nie mogą stanowić cech rzetelnego krytyka.

Zbigniew Grabowski
(Londyn)

APEL
Do redaktora „Odrodzenia"

Wszystkich współpracowników, przyjaciół i sympatyków „Okolicy Poetów" proszę o porozumienie się ze mną. Adres: Ostrzeszów, woj. poznańskie, Zamkowa 35.

Autorów i wydawców proszę o nadsyłanie recenzyjnych egzemplarzy książek i czasopism.

Stanisław Czernik

PROŚBA
Do redaktora „Odrodzenia"

Proszę tych, którzy posiadają jakikolwiek egzemplarz wyczerpanych powieści moich „Polna grusza" i „Dziewczyna z zimorodkiem" oraz baśni scenicznej „Za siedmioma górami" o powiadomienie mnie, abym mogła je nabyć, gdyż są mi one niezbędnie potrzebne.

Ewa Szelburg Zarembina
(Warszawa)

Szaniawski laureatem Krakowa

Zaczął pisać w okresie pierwszej wojny światowej może więc obchodzić trzydziestolecie swej twórczości. Nigdy nie szukał rozgłosu, nie mówił o sobie, nie brał udziału w literackich walkach i polemikach. Obserwował i rozmyślał więcej, niż mówił; osiągał więcej, niż projektował. Interesów swoich nigdy bronić nie umiał; z bogatej jego twórczości dramatycznej wydano przed wojną zaledwie trzy sztuki. W katastrofie wojny ostatniej kilka utworów Szaniawskiego zginęło bezpowrotnie, kilka odszukano z największym trudem. O tym, że Szaniawski jest nie tylko dramaturgiem, ale i autorem utworów powieściowych oraz opowiadań, mało kto pamięta. Jeszcze rzadziej uświadamiamy sobie, że Szaniawski, gdy zdecyduje się zabrać głos jako essayista, uderza w samo sedno, w sprawy najbardziej istotne i najtrudniejsze.

Nie pisze łatwo. Każdy pomysł dojrzewa w nim powoli i zapuszcza głęboko korzenie; ma się wrażenie, że autor rozważa sprawę z różnych stron, wciąż od nowa konstruuje, oblicza wszelkie odcienie i wszelkie możliwości. Nieustanne odnawianie się sił twórczych Szaniawskiego jest jedną z tajemnic jego artystycznej żywotności.

Nie tylko „Dwa teatry", napisane już po wojnie, ale i przedwojenna twórczość Szaniawskiego zbiega się w interesujący sposób z dążeniami dramaturgii współczesnej. Łączy konkretność — z głębią. Jest przepojona poezją — ale zarazem mocno osadzona w rzeczywistości. Gdy w roku 1945 wznowiono „Ptaka" w jednym z mniejszych miast polskich, obraził się tamtejszy burmistrz, uważając, że pisarz go sparodiował. A przecież sztuka została napisana o wiele wcześniej, zanim ów burmistrz objął stanowisko. Jesienią 1946 r. zagrano w Krakowie „Żeglarza"; o kapitana Nuta, jego przeszłość i znacznie spierano się tak gorąco, jakby był żywym, chodzącym wśród nas człowiekiem. Takie same polemiki dotyczyły kilka miesięcy wcześniej — Dyrektora z „Dwóch teatrów". Czego to dowodzi? Że Szaniawski ma dar stwarzania postaci żywych. Ale owe postaci są nie tylko rezultatem obserwacji; twórca umie im nadać głębszy sens: filozoficzny i poetycki. Nut z „Żeglarza" jest żywym i konkretnym człowiekiem; ale jest także ścieraniem się dwóch odwiecznych zjawisk społecznych: głodu legendy i głodu prawdy. Nasz teatr poetycki nie szuka „czystego piękna" i „czystej formy", nie jest teatrem abstrakcji; ale nie jest też wyłącznie realizmem czy naturalizmem, który twórczość artysty sprowadza do prostego fotograficznego opisu. Umie łączyć; jest wieloznaczny. I w tym tkwi jego odkrywczość.

Nie koniec na tym. Problemy moralne przenikają dziś na wskroś sztukę. Przenikają na wskroś sztukę dramatopisarską Szaniawskiego. Przypomnijmy sobie „Most". Jest w tej sztuce scena, gdy młody architekt, opracowujący konkursowy projekt budynku „Ligi Przyjaciół Człowieka", dowiaduje się, że z powodu zerwania mostu nie będzie mógł zdążyć na czas z nadesłaniem projektu. I oto narzeczona owego architekta, panna Helena, nakłania jego ojca, starego przewoźnika, by podczas kry, z narażeniem życia — zawiózł łódką drogocenne, zawierające projekt papiery. Ryzykowna próba udała się, przewoźnik dojechał. Ale młody architekt odczuwa wyrzuty sumienia. Narzeczona gotowa ponieść konsekwencje swego czynu: zerwanie. Ale architekt mówi: „Nie, zostań jeszcze przy mnie... Chciej tylko zrozumieć... Przypuśćmy... że gmach mój zostanie wzniesiony. Będziemy patrzyli nań razem. Dzień będzie piękny, pogodny, słoneczny. Boję się, czy na jasnej fasadzie tego domu nie zamajaczy cień jadącego w łodzi przewoźnika".

Można by przytoczyć dalsze jeszcze argumenty, dowodzące jak nowoczesny jest teatr Szaniawskiego. Na przykład: precyzja słowa i gestu. Autor „Dwóch teatrów" operuje słowem ostrym i celnym. W trzecim akcie „Mostu" jedno tylko zdanie tajnego agenta decyduje o ostatecznym rozwiązaniu: kiedy wyjaśnia Helenie, że uratowanie starego przewoźnika od więzienia zgubiłoby kilku niewinnych chłopców, niesłusznie posądzonych o rozpiłowanie mostu.

Tak! Według mego najgłębszego przekonania — Szaniawski jest prekursorem naszego nowoczesnego dramatu. Oddziaływa na nas podwójnie: jako poszukujący coraz nowych rozwiązań autor współczesny oraz jako twórca, który już w epoce poprzedniej przeczuwał dążenia i tęsknoty czasów najnowszych.

Wojciech Natanson

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

WOJSKOWOŚĆ

Michał Hofman. Chmura nad Bikini. Z notatnika obserwatora eksperymentów z bombą atomową na atolu Bikini. Warszawa, „Książka", 1946; str. 75 i 5 nl. — 120 zł.

Stanisław Strumph - Wojtkiewicz. Gwiazda Władysława Sikorskiego. Warszawa, „Czytelnik", 1946; str. 454 i 2 nl. — 400 zł.

Apoloniusz Zawilski. Bateria została... Relacja uczestnika kampanii wrześniowej. Łódź. Księgarnia Ludowa, 1946; str. 289 i 3 nl. i 5 kln. ilustracyj.

PRZEMYSŁ, RZEMIOSŁO, HANDEL, TRANSPORT

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. Specjalizacja polskich portów morskich. Protokół obrad oraz referaty zgłoszone na I konferencję Naukowej Komisji Morskiej Instytutu Bałtyckiego w Bydgoszczy 14—15. VI. 1946. Gdańsk, 1946; str. XIX i 1 nl. i 255 i 1 nl.

TECHNIKA

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Franciszek Popiołek. Dzieje hutnictwa żelaznego na ziemiach polskich. Katowice, 1947; str. 136.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę (zł 1000) otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. **Jerzy Żułkwa, Wrocław, Plac Uniwersytecki 15 a, m. 8,** za wycinek z numeru 120 „Odrodzenia". Sumę powyższą przesyłamy przekazem pocztowym.

PRIMA „CAMERA" AB EGO

*

Na pierwszym miejscu odziedziczonej po dawnych „Wiadomościach Literackich" „Camery" umieszczamy własną gaffę. Robimy to nie dlatego, że jesteśmy tacy sprawiedliwi, bezstronni, obiektywni itd., ani ze zbytniego poczucia winy, ani dla okazania skruchy — ale dla powodów egoistycznych, nawet z wyrachowania: ośmieszając (bardzo łagodnie zresztą) samych siebie, będziemy mogli z tym większą złośliwością znęcać się nad potknięciami innych. Proste, prawda? Otóż w numerze 120 „Odrodzenia" ukazał się wiersz K. I. Gałczyńskiego „Śmierć inteligenta", który to tytuł nazwaliśmy ZABAWNYM.

Powód jest jasny: jeżeli życie inteligenta bynajmniej nie jest zabawne, to może zabawna, prawem kontrastu, jest jego śmierć.

Przy sposobności stwierdzamy, że autorem tego epitetu jest sam mistrz Ildefons.

REWELACJA

„Rzeczpospolita" (nr 80) w recenzji z „Orestei":

„Stanowisko Ajschylosa w sprawie matkobójstwa jest wyraźne: poeta potępia ten czyn, jako niezgodny z ludzkim sercem i sumieniem".

Odkrycie wprost rewelacyjne! Wszyscy dotąd myśleli, że jest inaczej. Dopiero recenzja w „Rzeczypospolitej" otworzyła nam oczy na ten niesłychany fakt, że poeta potępia matkobójstwo. Cześć szlachetnemu Ajschylosowi!

RYCERZ SPOD ZNAKU ŚW. PLEPLEUSZA

Wodospad, fontanna, siklawa, gejzer, etc. pseudohistoriozoficznego i filozofanckiego pustosłowia, p. Jerzy Braun, od wielu lat zalewający łamy pism wodą bezprzedmiotowego gadulstwa, wywalił w „Tygodniku Warszawskim" nowy artykulas—„Kryzys moralny Europy". Figuruje tam m. in. takie zdanie:

„Trzeba jednak schrystianizować dogłębnie nie tylko życie jednostki, ale instytucje publiczne i normy prawa międzynarodowego, przez poddanie ich absolutnemu prawu moralnemu, z którego wyprowadzić można cały katolicki wzorzec realizacyjny. Wszystkie elementy składowe naszej cywilizacji powinny być ujęte w jeden organiczny ład, oparty na właściwym stosunku przyrodzonego i nadprzyrodzonego, polityki i moralności, jednostki i zbiorowości, narodu i społeczności międzynarodowej, pracy i kultury".

Owszem. Ale może by p. Braun raczył podać jakieś k o n k r e t n e sposoby zrealizowania tego projektu? „Trzeba" i „powinny być" to mało. Trzeba i powinno się mieć jakieś r z e c z o w e pomysły. Rzeczowe — to znaczy takie, z których naród będzie mógł korzystać. A bełkot, choćby najbardziej napuszony i podniosły, nie da żadnych wyników. — W tym samym artykule wymienia p. Braun „potęgi spoza Europy":

„Wielka Brytania, Stany Zjednoczone AP i r o s y j s k a E u r a z j a".

I jeszcze jeden kwiatek p. Brauna:

„Choć protestant, nie był Kant wcale tak daleki ideom św. Tomasza z Akwinu, przeciwnie, żył on pod obsesją absolutnego prawa moralnego, m o ż e d l a t e g o, ż e d o k t r y n a j e g o p o w s t a ł a w K r ó l e w c u, w kręgu kultury polskiej, do głębi schrystianizowanej".

Hindenburg też pochodził z tamtych stron. I całe junkierskie prusactwo.

JESZCZE JEDEN

Do tej samej kategorii mętnego i szkodliwego pleciuchostwa zaliczyć należy wywody przedwojennego „zadrużanina", p. Jana Stachniuka, którego książka pt. „Człowieczeństwo i kultura" ukazała się w Poznaniu w r. 1946 (tak! w 1946!). Próbkę tych bezecnych bredni cytujemy według artykułu Krzysztofa Radziwiłła pt. „Widma przedwojennej „Zadrugi" straszą w nowej książce Stachniuka". Podtytuł: „Hitlerowska filozofia, która odżegnywuje się od hitleryzmu" („Kurier Codzienny", nr. 81):

„Znamieniem kultury duchowej, syntezy jutra będzie konstrukcja wiązalników energii emocjonalnej, dzięki której możliwym się stanie zestalenie ekstatycznego napiętego przeżywania każdej chwili w życiu. Czujemy, że ekstatyczne stany duchowe to właśnie pełnia życia, jego normalność... Oznacza to upajającą swobodę działania wycelowanego na naczelne cele".

„Nie mówiąc już o niezrozumialstwie tych wywodów", pisze Krzysztof Radziwiłł, „przyznać trzeba, że ostatnie zdanie jest, niestety, zupełnie zgodne z głoszoną przez Nietzschego a w y k o n y w a n ą p r z e z H i t l e r a doktryną w sprawach, które są poza wymiarami dobra i zła. W końcu, z u p e ł n i e j u ż p o n a z i s t o w s k u, wszystkie te jeszcze zrozumiałe ostatecznie, jako hasła, ogólnoludzkie przykazania, Stachniuk stara się wtłoczyć w jakąś kulturę narodową, którą nazywa po swojemu „wspólnotą tworzącą". — Wszystko to, wraz ze „Spakulturą" (termin ukuty przez p. Stachniuka; por. niemiecką „Gegen - kultur") śmierdzi o milę Rosenbergiem i Goebbelsem. A ukazało się, powtarzamy, w r. 1946, w Poznaniu. W Poznaniu! Nicht in Posen.

ŁAKOMY

Niejaki dr Ludwik Łakomy (cytujemy za „Odrą", nr. 12) rozpoczął w poznańskiej „Polsce Zachodniej" osobliwą „dyskusję" dokoła śp. prof. Aleksandra Brücknera. Oto zarzuty owego Łakomego:

„że Brückner był „volksdeutschem", że „specjalnie preparował" dzieje kultury polskiej „ad maiorem Germaniae gloriam a na szkodę nauki polskiej", że „zdeptał, poniżył i ośmieszył wszystkich piewców przeszłości Polski wolnej od wpływów germańskich", że „pozbawił nas Wandy, co nie chciała Niemca" (!), że nie umiał się jako uczony nie - polskiego pochodzenia wczuć w ducha kultury i języka polskiego itd. Jak się zapewne czytelnicy domyślają, rewelacje dra Łakomego wywołały w społeczeństwie polskim niesłychane poruszenie. Odkryto przecież w Brücknerze asa piątej kolumny szczególnie niebezpiecznego przez to, że demoralizował naukę polską i wprowadzał sabotaż w naukowe spory polsko - niemieckie. Poruszenie było tak wielkie, że nr 5 „Polski Zachodniej" został w Katowicach momentalnie rozchwytany przez uczniów pierwszej i drugiej klasy szkół powszechnych. Uczniowie ci zorganizowali natychmiast protestacyjny strajk szkolny, sterroryzowali opornych nauczycieli i ruszyli pochodem na miasto, gdzie walcząc bohatersko z olbrzymimi zwałami śniegu i błota na ulicach, wznosili protestacyjne okrzyki będące wariantami hasła wypisanego trochę niezdarnie na transparentach: „Precz z Brücknerem, który pozbawił nas Wandy, co nie chciała Niemca!!"

A oto, według „Odry", personalia pogromcy prof. Brücknera: doktor chemii, autor niechlujnej kompilacji „Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademii Krakowskiej" (Katowice 1934), oraz „wynalazca" etymologii, że nazwa „Śląsk" pochodzi od słowa „żelazo".

Strajk szkolny... protesty... transparenty... „precz z Brücknerem!..." Trzeba koniecznie za tę ordynarną hecę spuścić komuś portki i wlepić 25 ostrych, zapiekanych, uprzednio sempiterną wodą obficie skropiwszy... Nie uczniom oczywiście.

FESTINA LENTE

Z opowiadania „Czarny meteor" („Przekrój"):

„2000 kilometrów z Norymbergi do Frankfurtu przebyliśmy w długie siedem godzin".

Przy czym okazało się, że jesteśmy niedaleko Islandii.

STYL

Z artykułu w „Ilustrowanym Kurierze Polskim" (nr 78).

„Nie należy zapominać o tym, iż bliższa koszula ciała, niż sukmana. Nasza koszula, zlana krwią 6 milionów wymordowanych przez Niemców — Polaków, drażniąca nie skrzepłe jeszcze rany poniemieckiego bestialstwa, nakazuje nam przezwyciężyć uraz psychiczny nienawiści ku Niemcom, nakazuje uczyć się języka niemieckiego, jako klucza do rozwiązania tajemnic nowych Niemiec".

KSIĄŻĘTA

Ze wspomnień o Franciszku Fiszerze („Nowiny Literackie", nr 1):

„W czasie pierwszej wojny światowej w pewnym okresie majątek Fiszera znalazł się na linii frontu. Któregoś dnia do dworu zajechał sztab carskiej armii z wielkim księciem Konstantym na czele".

— Czy mogę się widzieć z wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem? — zapytał Fiszera wielki i wielce sędziwy książę Konstanty.

Na co Wielki Franz odrzekł wspaniałym swym basem:

— Nikoim obrazom. Jego Wysokość uśmierza właśnie powstanie listopadowe.

IDEALNA ŻONA

Ogłoszenie w „Trybunie Robotniczej (nr 78):

Upominam po raz ostatni pannę Matyldę Skotarską o spotykanie się z moim mężem Pawłem Kulawikiem. Żona.

Dobra, dbała małżonko! Żeby tak inne!...

SWOIMI SŁOWAMI

Łódzkie „Echo Wieczorne" (nr 78) donosi, że na zebraniu w YMCA przemawiał m. i. poeta Marian Piechal:

— Człowieka — mówił — różni od zwierząt... umiejętność wysławiania się. Uprawianie literatury jest sztuką, nie każdemu dostępną. Kto tą sztukę posiadł — ma prawo twierdzić, iż odnalazł sobie w chaosie codzienności. Służba słowa, to przekreślenie własnych małostek na rzecz idei.

Mistrz i poeta Marian Piechal zdawał się być wzruszonym zaufaniem, jakim słuchacze darzyli prezydium zebrania.

— YMCA podała wszystkim rękę — kończył — wystarczy ją podjąć tylko i uścisnąć w swojej.

Byłoby pożądane, aby pp. dziennikarze ściślej cytowali przemówienia pisarzy. Marian Piechal nie mógł tego powiedzieć.

A TO ŁOTRY!

W dniu „Święta Kobiet" rozdawano w Łodzi, przed dworcem kolejowym, ulotkę, w której czytamy m. i.:

„...rozpocznijmy walkę o nasze prawa, które nam się słusznie należą, rozpocznijmy walkę dyplomatyczną z tym męskim tałatajstwem... Tałatajstwem nazywam mężczyzn, którzy po łotrowsku z nami postępują. Mam na względzie przede wszystkim młode dziewczyny, które przez swoją nieświadomość stają się ofiarami tych panów. Najczęściej bywa tak: chodzi mężczyzna do panny czy kobiety, stara się rozkochać w sobie i zdobyć zaufanie, a gdy to osiąga, wykorzystuje, jak mu się tylko udaje, nie pomyśli takie bydlę, że rujnuje całe życie swojej ofierze... W takim wypadku mężczyzna powinien być skazany na ożenek lub długoletnie więzienie... Niech wybiera, co woli... Musimy ukrócić tych panów, którzy noszą pokrywkę demokratyczną, a pod nią kryją pozostałości szlachty"...

Serio, koledzy mężczyźni — opamiętajmy się. Zrzućmy ze siebie, jak jeden mąż, demokratyczną pokrywkę i hurmem — do więzienia!

PIPER

Z artykułu w „Skrzydlatej Polsce" (luty):

Jak widać z powyższego opisu, zresztą dość szczegółowego, zasadniczo biorąc, należy uważać, że samolot Piper to maszyna owszem, owszem.

Nie Piper Piprze Pipra pieprzem.

CIEMNE MIEJSCE

Ze sztuki Jerzego Zawieyskiego „Dzień sądu" („Tygodnik Powszechny", nr 105):

Piłat siedzi zamyślony. Naprzeciw niego miejsce wyodrębnione sposobem siedzenia Piłata, gdzie stał Jezus.

LA VIE DES ABEILLES

Z artykułu „Wielka rewolucja w psychologii" („Od A do Z" z 16. III. 47):

Pszczoła wyróżnia zapachy okrągłe i kwadratowe, wonie twarde i miękkie, gładkie i szorstkie, wypukłe i wklęsłe, a zatem wrażenia, dla których odbioru człowiek nie posiada żadnego odpowiednika ani w narządach, ani w wrażeniach.

Bardzo możliwe... Ale skąd autor (człowiek) o tym wie, skoro „nie posiada żadnego odpowiednika ani w narządach, ani we wrażeniach"? Musiała mu jakaś pszczółka powiedzieć...

SENS

W recenzji z koncertu czytamy w „Kurierze Codziennym" (25. II):

Carlos Granados to typ kompozytora w stylu na wskroś subiektywnym, wyrażający w swej muzyce wszystkie odcienie uczuć zbiorowych ludu hiszpańskiego, nie dające się ująć bardziej ogólnie.

A pisać należy bardziej szczególnie tj. z sensem.

KĄCIK POETYCKI

Ogłoszenie w „Dzienniku Polskim" (nr 73):

Czym dla zakochanych
Czar nocy majowych,
Tym dla podatników
Zrzeszenie księgowych

ROCZNICA

„Dziennik Zachodni" (22. III) donosi, że

Filharmonia Narodowa zostanie otwarta w r. 1949 tj. w setną rocznicę urodzin Chopina.

Wiadomość tę najwidoczniej podał do druku ktoś, obchodzący piątą rocznicę własnych urodzin.

Z DESZCZU POD RYNNĘ

Parokrotnie w krakowskim etapie „Odrodzenia" informowałem czytelników „Przeglądu prasy" o przemianach i kłopotach „Zrzeszy Kaszebskiej", centralnego czasopisma regionu kaszubskiego. Dostrzegając w „Zrzeszy" pewien szkodliwy przerost regionalizmu, zmierzający aż do podkreślenia narodowej odrębności Kaszubów, zwracałem uwagę na szkodliwość tej roboty w warunkach polskich i ostrzegałem przed jej kontynuowaniem. Poglądom moim zawtórowali inni i nie bez satysfakcji, przyznaję, dowiedziałem się niebawem, że w Wejherowie wybuchła „rewolucja", że „Zrzesz Kaszebską" zawieszono i że postanowiono ją zreorganizować w duchu — jak zapowiadano — regionalizmu bez wyskoków i przerostów.

Obecnie „Zrzesz Kaszebska" zaczęła ponownie wychodzić w Wejherowie pod redakcją Ignacego Szutenberga, już ongiś redaktora „Zrzeszy" i długoletniego działacza regionalnego. Zdawałoby się — wszystko dobrze. Niestety, z informacyj p. Bogisława Vanogi w poznańskim „Zrywie" wynika, że w dalszym ciągu — jest źle. P. Vanoga słusznie bowiem, potępiając reakcyjne nastawienie polityczne poprzednich kierowników „Zrzeszy", zarzuca jej równocześnie — niedostateczne pielęgnowanie słowiańskich — nie polskich! — odrębności kaszubskich i słowiańskich, osłabianie tradycyj Ceynowy itp. Autor pragnie łączności Kaszubów z Polską, ale nazywa Kaszubów „ostatnimi potomkami Obodrytów i Lutyków"; i cel „Zrzeszy" widzi przede wszystkim w wierności dla idei słowiańskiej i słowiańskiej „tatczezny". I w imieniu „tysięcy Słowińców i Kaszubów w kraju i na venekanjim" wyraża przekonanie, że wznowione czasopismo nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

Jest to pogląd równie błędny, jak poprzednio poglądy Brunona Richerta. Istota błędu tkwi w pojmowaniu celów regionalizmu kaszubskiego: upieranie się przy koncepcji odrębności narodowej czy pielęgnowanie odrębności regionalnej. Rzecz jasna, na żadną „narodowość" kaszubską miejsca nie ma. Im prędzej zrozumieją to wejherowscy działacze — tym lepiej. Cieszą nas odrębności góralskie, szanujemy odrębności śląskie, cenimy odrębności kaszubskie — i ani kroku dalej. Po co więc wciąż mącić wodę w pięknych jeziorach krainy kaszubskiej?

Jaszcz

NIEOCZEKIWANY SOJUSZNIK

Dlaczego zaatakowano tak gwałtownie recenzję Tadeusza Borowskiego z książki Zofii Kossak o Oświęcimiu? Dlaczego nie oszczędzono żadnego monitu młodemu krytykowi, dlaczego „Dziś i Jutro" posunęło się aż do wołania o sankcje zawodowe przeciw Borowskiemu?

I nagle czytamy w przesłanym do „Tygodnika Powszechnego" liście Izabelli Sosnowskiej, więźniarki Oświęcimia, szczegóły na temat pobytu Zofii Kossak w obozie, pokrywające się najzupełniej z sądem Borowskiego. Sosnowska stwierdza, że Zofia Kossak „żyła w lagrze otulona w watę serdeczności i starań, którą pragnęło się ją izolować od właściwej atmosfery lagrowej", że „nie znalazła się osobiście w samych trybach tego makabrycznego młyna, jakim był Oświęcim" ze „pobyt w Oświęcimiu nie pozwolił jej wniknąć we wszystkie zaułki perfidnego systemu", że „skutki solidarności polskich więźniarek politycznych, pozytywne dla Zofii Kossak - człowieka, nie były jednak korzystne dla Zofii Kossak-powieściopisarki" i że „wata izolacji, którą oświęcimianki odseparowały świetną pisarkę od sieci skomplikowanych i wyrafinowanych zbrodni i metod lagrowych — stłumiła dopływ do jej jaźni istotnych wiadomości z lagru. Ucierpiała na tym perspektywa problemu jej relacji o Oświęcimiu". Książka Zofii Kossak — zdaniem I. Sosnowskiej — uwzględniła zatem „dokumenty zbrodni niemieckich, fakty, źródła, dowody rzeczowe drugoplanowo i niejednokrotnie błędnie".

Więc o co chodzi? Co innego twierdził Borowski? Wiadomo, że przebywanie w pewnym środowisku na wyjątkowych prawach nie sprzyja prawdziwemu opisaniu tego środowiska. Podobna sytuacja przydarzyła się Ludwikowi Hirszfeldowi, który — otulony w watę izolacji i starań — jakiś czas żył w ghetcie warszawskim. Niby widział wszystko — a jednak stworzył obraz zniekształcony. To jest taki sam fakt, jak i ten drugi, że ocalenie powieściopisarki i uczonego jest jednym z niewielu najbardziej szczęśliwych zjawisk w okropnych dziejach wyniszczania narodu polskiego przez Niemców.

Jaszcz

RUBRYKA Nr 47

„TYGODNIK POWSZECHNY" FRYWOLNIEJE. Np. w poważny i przejęty głęboką troską artykuł Wojciecha Natansona o pijaństwie włamano podobiznę wcale sympatycznego Bachusa, który fruwa na butelce. Maluczko a na pierwszej stronie tego pisma ujrzymy fotografie aktorek. Groza i skandal.

✤

JAK WIADOMO, ARTUR MARYA ŚWINARSKI nie jest megalomanem! Chodzi po Polsce, w ręku trzymając transparent z napisem „Proszę mnie nie fotografować!"

✤

OD ZNAKOMITEGO RZEŹBIARZA KARNEGO otrzymał K. I. Gałczyński w prezencie na jednym ze swoich warszawskich poranków autorskich autentyczną gęś pomalowaną na kolor nadziei. Na sali powstała panika, a na skutek gęgania niedosłyszenie najtkliwszych liryków. Mała dziewczynka w czwartym rzędzie, przytulając się do swojej mamy:

— Mamo, jak to dobrze, że p. Gałczyński nie pisze w „Przekroju" Zielonej Krowy!

✤

„TEATR BEZ PUBLICZNOŚCI" powstał w Krakowie, założony przez grono dramatopisarzy w sile wieku. Maleńka, ale przytulna widownia obliczona jest tylko na rodziny autorów. Kierownikiem nowego teatru jest Stefan Flukowski, autor książki „Dębem rosnę".

✤

CUDOWNE NAWRÓCENIE JANA ALFREDA SZCZEPAŃSKIEGO, osławionego antyklerykała Jaszcza, wywołało zrozumiałą sensację. Jaszcz, jak wiadomo, rozstał się z „Dziennikiem Polskim", wyzwolił spod szatańskich wpływów Stan. Witolda Balickiego i ma niebawem opublikować w „Tygodniku Powszechnym" cykl wierszy religijnych „Światło w mroku".

✤

LITERATURA BYŁABY wcale dobrym zajęciem, gdyby nie to pisanie.

Król Herod

Plotki, plotki...

Dawno przed wojną Antoni Słonimski zapytał kiedyś Mieczysława Grydzewskiego, redaktora „Wiadomości Literackich", co robi wieczorem?

— Zostaję w domu — odpowiedział Grydzewski, który zawsze uważał, że jego praca redakcyjna jest przez jego przyjaciół poetów niedoceniana. — Będę przez noc całą łamał numer, żebyś miał potem za co pojechać do Zakopanego!

Słonimski zabrał się do wyjścia.

— Dokąd idziesz? — zaniepokoił się Grydzewski.

— Idę do Ziemiańskiej — odpowiedział Słonimski. — Popiszę tam przez dwadzieścia minut „Kronikę tygodniową", abyś mógł potem spędzić tydzień w Paryżu!

■

Jedna ze znanych spółdzielni wydawniczych otrzymała w ostatnich dniach depeszę od znakomitego pisarza i madagaskarczyka Arkadego Fiedlera:

— Przyjeżdżam do Gdyni w piątek z rodzinami.

Ta poczta tak złośliwie przekręca depesze!

(Niemniej, jak słychać, w jednym z hoteli gdyńskich opróżniono całe piętro.

Tak, na wszelki wypadek...

■

W ostatnim numerze poważnej na ogół „Twórczości" nowy recenzent tego pisma omawiając wojenne pisarstwo Ksawerego Pruszyńskiego, konkluduje o nim:

„Jak słychać, na terenie Narodów Zjednoczonych potyka się dzielnie. Szkoda tylko, że nic nie pisze".

Szkoda tylko, że naczelny redaktor „Twórczości" nie przeczytał, że „Wiedza" zapowiada dalszy ciąg „Narviku" („Dni kołatania"), szkoda także, że nie poinformował się w „Czytelniku", czy w opracowaniu nie ma tam nowego tomu opowiadań pod tytułem „Karabela z Meschedu", szkoda wreszcie, że nie zajrzał do własnej szuflady redakcyjnej, w której leżą (jeśli się nie zgubiły) dwa nowe opowiadania tegoż Pruszyńskiego. Nie. Dom na Krupniczej, na Bandurskiego i kawiarnia „Kopciuszek" nie są jedynymi oazami literackiej płodności. Fiedler lubi Madagaskar a Pruszyński świat.

Ach, kiedyż w Polsce redaktorzy będą sprawdzać swych recenzentów, a recenzenci swe informacje?

■

Na jakimś wiecu czy zebraniu politycznym w Poznańskiem natchniony mówca wołał w zapale:

— Położyliśmy kres ostateczny tym przerostom epoki feudalnej i mohikanom minionych czasów! Skończyły się wielkopańskie hulanki i szlacheckie trwonienia, krocie wydawane na sfory psów gończych, polowania, bale, karty, kobiety. Nie będzie więcej wyjazdów na bankruckie hazardy w Monte Cassino!

Monte Cassino? Czy aby, obywatelu, nie pomyliło się wam z niejakim Monte Carlo?

■

Mnożą się ostatnio pocieszające fakty, iż sprawa odbudowy stolicy spotyka się z entuzjastycznym poparciem inicjatywy prywatnej, a kult Belwederu w narodzie nie wygasł.

Niedawno dwaj znani literaci i publicyści pp. W. B. i W. B. zwrócili się do władz z podaniami, utrzymanymi w najlepszym dyplomatycznym stylu, o przyznanie im skromniutkich parcelek pod budowę will.

Oba podania kończyły się identycznie: „...i, o ile możności, w pobliżu Belwederu."

■

Wśród licznych podań składanych do władz miejskich Warszawy wpłynęło onegdaj podanie o zezwolenie na odbudowę i otwarcie znanego w bujnym okresie dwudziestolecia kabaretu i lokaliku nocnego „Oaza."

Podanie wniósł jeden z byłych wspólników tego figlarnego przybytku.

Drugi wspólnik — o ile nam wiadomo—jeszcze się dotąd nie zgłosił.

■

Dziennikarka przeprowadza wywiad ze Zbigniewem Pronaszką:

— Jakie ma pan zamiary artystyczne na najbliższą przyszłość?

— Mam zamiar malować gitarzystów w gamie żółtej, zaprojektowałem już kilkaset ram.

— A czy mistrz nie ma zamiaru malować kobiet?

— Owszem, proszę pani, będę również malował gitarzystki.

■

Rozmowa o Taranczewskim, który jeden motyw opracowuje kilkadziesiąt razy i nigdy właściwie obrazu nie kończy.

— Trzeba, żeby mu ktoś poradził jak Malczewskiemu — odzywa się ktoś. — Był czas, kiedy Jacek nic innego nie malował tylko „Pieśni". Raz: lirnik z lirą — tytuł „Za późno z pieśnią", to znów: kobieta ze skrzypcami — tytuł „Za wcześnie z pieśnią" — itd. Cykl się nie kończył, a Malczewski myślał już o jakimś efektownym tytule dla nowego obrazu. Przyjaciel poradził: Namaluj jeszcze jeden obraz pt. „Do dupy z pieśnią". Malczewski przerwał cykl.

■

Matejko zadawał swoim uczniom tematy historyczne do namalowania. Jackowi Malczewskiemu przypadł temat: „Leszek Biały ucieka zaskoczony w sypialni".

Malczewski namalował tylko fragment zadanego tematu i zatytułował „Stare gacie w tarapacie". Matejko przez piętnaście lat nie odzywał się do Malczewskiego.

Nemo

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14, tel. 86693 — Redaktor przyjmuje od godziny 13 do 14. — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16, pokój nr 16, tel. 85 794. Konto w PKO nr I-4739

Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 60 zł., kwartalna 180 zł. B - 20335. Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"